KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 11/133 1958



• « La Culture » • Revue mensuelle •

DIALOG O TYGRYSACH I SARNACH

CZESŁAW MIŁOSZ:
WYCIECZKA W POEZJĘ KILKU EPOK

ŻYDZI POLSCY W NOWEJ OJCZYŹNIE

SPIS RZECZY

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad — Novembre 1958

INSTYTUT  LITERACKI

KRAJOWA NAGRODA "KULTURY"

Postanowiliśmy w bieżącym roku nie przyznawać Krajowej Nagrody ,,Kultury" za najwybitniejsze dzieło literackie, napisane i wydane w Kraju. Zdajemy sobie bowiem sprawę, że w obecnej sytuacji usiłowano by naszej nagrodzie nadać sens polityczny, a laureata ,,Kultury" mogłyby spotkać szykany, a w każdym razie nieprzyjemności. Naszą intencją jest — w miarę naszych sił i możliwości — służyć pomocą pisarzom krajowym, nie zaś szkodzić im ,,niebłagonadiożnym" laurem.

Tegoroczna emigracyjna Nagroda Literacka ,,Kultury", jak również Nagroda Plastyczna (zakup obrazu) będą ogłoszone przez Redakcję w grudniowym numerze ,,Kultury".

◆

SUBSKRYPCJA NA "HISTORIĘ POLSKI"

Wobec dużego zainteresowania jakie wzbudziła ,,Historia Polski" w opracowaniu Pawła Zaremby, która ukaże się jako kolejny tom « Biblioteki ,,Kultury" » — przedłużamy ogłoszoną subskrypcję do końca bieżącego roku.

Przypominamy, że cena ,,Historii Polski" w subskrypcji wynosi 900 frs (2 dol., 15 sh.).

◆

DALSZE WPŁATY NA DOM "KULTURY"

Czesław Borzobohaty, Omaha, Nebraska (USA) .... 4.200 fr.

DZIĘKUJEMY

Imprimé en France.

Dialog o tygrysach i sarnach

W sali konferencyjnej londyńskiego Biura Redakcji ,,Kultury'' — odbyła się dyskusja między J. Mieroszewskim a Londyńczykiem. Fragment tej rozmowy drukujemy poniżej.

LOND. Czy zwrócił pan uwagę na artykuł prof. Schaffa w ,,Przeglądzie Kulturalnym'' o moralności i polityce?

MIER. Nie czytałem tego artykułu, ale o determinizmie historycznym powiem panu rzeczy, o których Schaff z całą pewnością by nie napisał. Niezależnie od tego czy ta koncepcja jest prawdziwa czy fałszywa — idzie zawsze po linii interesów wielkich mocarstw. Jeżeli porządek rzeczy jest tak zdeterminowany, że tygrysy pożerają sarny — jest oczywiste, iż każdy tygrys jest entuzjastą zdeterminowanej prawidłowości tego procesu. Jest natomiast dziwne, gdy apostołami determinizmu stają się sarny.

LOND. Co innego jest historia naturalna a co innego historia nasza, ludzka.

MIER. I tak i nie. Ale dla jasności zwężmy problem. W tej całej sprawie osobiście interesuje mnie tylko aspekt polityczny. Wszystko w gruncie rzeczy zaczyna się i kończy na polityce i byłby czas, panie kolego, by pan to zrozumiał. Upadają imperia — gasną rewolucje — wietrzeją ideologie — ale polityka nie kończy się nigdy.

LOND. Co to jest polityka?

MIER. Tylko na miły Bóg dajmy sobie spokój z semantyką i definicjo-manią bo w ogóle niczego nie przedyskutujemy. Pewien mędrzec krajowy polemizując z moimi

artykułami stale stosuje analogiczną taktykę. Mędrzec pisze: ,,Mieroszewski jest za socjalizmem i za demokracją. Ale co to jest socjalizm — co to jest demokracja?'' W ten sposób jak kiedyś napiszę, że mucha chodzi po ścianie, mędrzec będzie mógł wytoczyć metafizyczny problem: co to jest mucha? Ostatecznie pisuję do ,,Kultury'' od 1948 roku. Nasi Czytelnicy dobrze wiedzą co w redakcji ,,Kultury'' rozumiemy przez terminy: Socjalizm — Demokracja — Totalizm itd. Jeżeli po 130 numerach ,,Kultury'' ktoś jeszcze w tych sprawach ma wątpliwości powinien złożyć 1000 funtów na Dom ,,Kultury'' w Paryżu a z prenumeraty naszego miesięcznika zrezygnować.

LOND. Suma tysiąca funtów przerasta moją wyobraźnię wracajmy więc do tematu.

MIER. Aspekt polityczny zagadnienia, które rozważamy jest kapitalnej wagi. Imre Nagy był komunistą podobnie jak Chruszczow i podobnie jak Chruszczow wierzył, że proces historyczny wykazuje pewne prawidłowości. Ale różnica między tymi dwoma marksistami polegała na tym, że o tym co jest zgodne z prawami rozwoju społecznego na Węgrzech — decydował nie Imre Nagy lecz wyłącznie i jednostronnie Chruszczow. Ponieważ o wszelkich determinizmach wyrokują zawsze tygrysy — nigdy sarny.

LOND. Więc cóż pozostaje biednym sarnom?

MIER. Moralność.

LOND. Co to jest moralność?

MIER. Czekałem na to pytanie. Definicji może być tysiąc. Lecz niech pan pamięta, że rozpatrujemy wszystko jako politycy. W tym świetle moralność jest protestem przeciwko przemocy.

LOND. Więc przemoc uważa pan za pra-źródło wszelkiego zła?

MIER. Tak jest — ponieważ przemoc determinuje pewne określone rozwiązania obrabowując ludzi z prawa wyboru. Tam gdzie nie ma możliwości wyboru — tam nie może być mowy o żadnej moralności. Jestem głęboko przekonany, że przemoc zdeprawowała moralnie daleko więcej ludzi niż wszystkie grzechy główne razem wzięte.

LOND. Nie w pełni podzielam pański pogląd. Jednostka ma de facto zawsze prawo wyboru i żaden dyktator nie jest

w stanie człowieka obrabować z tego przywileju. Iluż ludzi nie pozwoliło wydrzeć sobie tego prawa ani Gestapo ani Bezpiece wybierając świadomie śmierć.

MIER. Jesteśmy o krok od problemu wolnej woli. Przypominam, że mówimy o polityce. Poza tym stwierdzam nie bez melancholii, że się nie rozumiemy. Jednostka posiada istotnie prawo wyboru — choć prawo to podlega licznym ograniczeniom. W ostateczności jednak człowiek niemal zawsze może odrzucić kompromis i wybrać śmierć. Ale naród nie może wybrać śmierci. Pan Iks w Polsce może odrzucić komunizm, socjalizm, marksizm, sojusz polsko-sowiecki i w milczeniu łowić ryby w jeziorze. Ale naród polski nie może tego zrobić. Nie może wybierać, bo wyboru przed nim nie ma. Naród by żyć, by utrzymać w ruchu przemysł, musi przyjąć narzucony schemat sytuacji.

LOND. Myślę, że słysząc pańskie słowa prof. Schaff byłby zadowolony. Naród jako całość musi się poddać rytmowi Historii. Łatwo wykazać, że za tym rytmem przemawiają wszystkie racje z racją geopolityczną na czele.

MIER. Za tym wszystkim, jak słusznie pan zauważył, przemawia wiele racji z wyjątkiem jednej. Każdy naród ma prawo do własnej historii a zatem do życia własnym, indywidualnym rytmem rozwojowym. Jeżeli miałbym panu przyznać rację to musiałbym zaakceptować pogląd, że historiotwórcze są tylko pewne narody i tylko pewnym narodom przysługuje przywilej decydowania o tym co jest i co nie jest zgodne z rytmem procesu historycznego. W sumie musiałbym przyznać, że narodami historiotwórczymi są tylko nasi sąsiedzi — Rosja i Niemcy — a my jesteśmy tylko sublokatorami w krwawym panteonie ich dziejów.

LOND. A czy w praktyce tak nie jest?

MIER. Proces dziejowy to nie tylko ,,praktyka'' — to jeszcze coś więcej. Praktykę można zawsze narzucić drogą przemocy i nacisku. Praktyka to konformizm ideologiczny, polityczny czy gospodarczy. Istotą dziejów są przemiany treściowe a nie narzucone ,,praktyki''. Chciałbym jeszcze zwrócić pańską uwagę na jeden problem, który w tej sprawie gra bardzo istotną rolę. Istnieje ścisły związek między sferą wolności osobistej a sferą wolności narodowej czy państwowej. Choćby demokratyzacja ustroju w Polsce postąpiła wydatnie naprzód — Polacy nie poczują się ludźmi wolnymi, dopóki ich własną historię będzie redagować ktoś inny.

można być dentystą i nie mieć nic wspólnego z rolnictwem. Ale i dentysta nie będzie się mógł uważać za człowieka w pełni wolnego jeżeli ustrój rolny w jego ojczyźnie zależeć będzie w znacznej mierze od nacisków z zewnątrz. Sfera wolności osobistej obywatela zależna jest wprost proporcjonalnie od stopnia niepodległości danego państwa. To już jest problem nie tylko polityczny lecz i socjalny. Owo poczucie krzywdy i zależności dynamizuje poczucie nacjonalistyczne sprowadzając do wspólnego mianownika ludzi wszystkich odcieni i przekonań politycznych. Tak było na Węgrzech, tak było i w Polsce w Październiku. I jeszcze jedno. Na ograniczanie sfery wolności osobistej może sobie raczej pozwolić potężne, w pełni suwerenne państwo. Tajemnica faszyzmu i hitleryzmu polegała m. in. na tym, że ludziom wydawało się, iż na drodze ograniczeń osobistej wolności wzmogą potencjał siły i wolności swojego państwa. Sądzili, że za cenę rezygnacji z ,,masła'' swobód demokratycznych kupią armaty i czołgi będące wykładnikiem nacjonalistycznej potęgi i wolności.

LOND. Jeżeli wolno przerwać potok pańskiej wymowy to chciałbym zauważyć, że wolność osobista jest przecież niezależna od poczucia narodowego czy państwowego.

MIER. Wolność jednostki rozpatrywać można z różnych punktów widzenia. Ale umówiliśmy się, że dyskutujemy aspekt polityczny interesujących nas zagadnień. Politycznie wolnym można być tylko poprzez własne państwo. Mieszkając stale w Londynie jako prywatny człowiek i cudzoziemiec jestem wolny. Lecz nie jako Polak. Jako prywatny człowiek korzystam z większej swobody niż moi rodacy w Kraju. Lecz w pełni wolnymi ludźmi bylibyśmy dopiero wówczas, gdybyśmy mogli korzystać w Warszawie z tych swobód, z których korzystamy w Londynie. I oto, jak pan widzi, istnieje ścisły i niezaprzeczalny związek pomiędzy wolnością osobistą a przynależnością narodową. To zjawisko jest podstawą prawa rekompensaty, które wykorzystują wszystkie ustroje totalne. Rosjanin może sobie powiedzieć: ,,Istotnie w moim kraju nie ma pełni wolności osobistej. Ale Rosja jest super-mocarstwem i współdecyduje o losach świata. Rosja, to znaczy my, Rosjanie''. A Polak musi sobie powiedzieć: ,,W moim kraju wolności jest również nie wiele, ale Polska nie decyduje o niczym''. To prawo rekompensaty w stosunku do Rosjanina działa pozytywnie — ponieważ niedobory wolności osobistej rekompensuje poczuciem potęgi i suwerenności własnego państwa. To

samo prawo w stosunku do Polaka działa negatywnie, gdyż ograniczenia wolności nie są niczym rekompensowane. Mało tego, każde dziecko w Kraju wie doskonale, że ograniczenia wolności w Polsce dyktowane są nie interesami mocarstwowymi Polski lecz interesami mocarstwowymi Rosji. Nie jestem zwolennikiem zasady ,,right or wrong — my country''. Ale dla każdego nacjonalisty jest to zasada zrozumiała. Żaden Polak nie przyjmie jednak nigdy zasady ,,right or wrong — Russia''.

LOND. Stuprocentowi komuniści wyznają tę zasadę. Stanowi ona przecież istotę pojęcia proletariackiego internacjonalizmu.

MIER. Nie szedłbym tak daleko. Zasada ,,right or wrong — Russia'' — to jest tylko credo natolińczyków i stalinowców.

LOND. Zboczyliśmy od tematu. Co to wszystko ma wspólnego z determinizmem i moralnością?

MIER. Każda ideologia z chwilą kiedy staje się oficjalną doktryną imperialistycznego państwa musi ulec zdogmatyzowaniu. Komunizm tylko tak długo służy interesom Związku Sowieckiego jak długo o tym co jest komunizmem wyrokuje autorytatywnie Moskwa. Gdyby kiedyś — załóżmy dla przykładu — doszło do wojny pomiędzy Chinami a Ameryką — to jeżeli Rosja starałaby się wywinąć ze swych sojuszniczych zobowiązań — Mao-Tse z całą pewnością ogłosiłby Chruszczowa za heretyka i odstępcę od komunizmu. Ponieważ dla Mao komunizmem jest to co idzie po linii interesów Chin. Natomiast wszystko co jest sprzeczne z interesami — komunizmem nie jest. Silni mówią zawsze o dogmatach, o konieczności podporządkowania się autorytetom, o prawidłowościach procesu historycznego itd. Słabi natomiast mówią o wolności, o antydogmatyzmie, o rewizjonizmie, o moralności.

LOND. Wydaje mi się, że pan nieco upraszcza zagadnienie. Osobiście skłonny jestem wierzyć, że Chruszczow jest przekonanym komunistą. Ponieważ jest równocześnie szefem rządu i przywódcą partii — łączy w sobie władzę ideologiczną z władzą państwową. Państwo jest instytucją i jego ideologia musi mieć zawsze charakter instytucjonalny. Katolicyzm swój dogmatyzm i ustrój autorytatywny zawdzięcza rzymskiej schedzie. Papież do dziś dnia jest koronowaną głową i panującym. Wie-

lu komunistów zdaje sobie sprawę z faktu, że upaństwowienie ideologii niesie z sobą instytucjonalizm i zdogmatyzowanie, ale ludzie ci uważają to za mniejsze złe niż rewizjonizm. W ich mniemaniu rewizjonizm doprowadziłby w końcu do rozbicia komunizmu na dziesiątki sekt zwalczających się wzajemnie i, w konsekwencji, do triumfu kapitalistycznej reakcji.

MIER. Są i rewizjoniści, którzy rozumują po tych liniach. Niemniej jest to rozumowanie błędne. Jest już czas najwyższy byśmy sobie uświadomili, że komunizm z autorytatywnym centrum w Moskwie to jest ,,blueprint'' świata rządzonego przez wielkie narody. Gdyby kiedyś komunizm zwyciężył, Rosja bardzo niechętnie dzieliłaby się z kimkolwiek władzą nad światem. Jestem przekonany, że po zwycięstwie nastąpiłby okres tarć a może i walk z ,,Jugosławiami'' to jest z tymi państwami komunistycznymi, które pragnęłyby zachować pewną niezależność. Ideałem Kremla byłby Światowy Związek Sowieckich Socjalistycznych Republik ze związkową stolicą w Moskwie. Choćby nie udało się zrealizować tego planu to jednak przyjąć można za pewne, że w światowym najwyższym sowiecie ,,ludzie radzieccy'' stanowiliby większość. W praktyce oznaczałoby to dyktaturę dwóch lub trzech najpotężniejszych narodów świata nad pozostałą resztą. Los małych i średnich narodów zostałby przypieczętowany raz na zawsze.

Niech pan sobie wyobrazi kapitalistyczne państwo sprzed trzydziestu lat. Kto mówił tam o socjalizmie, o demokracji, o wolności? Hasła tego typu głosili ludzie biedni i wyzyskiwani. Przenieśmy ów obraz o szczebel wyżej. Istnieją narody biedne, proletariackie, wyzyskiwane i istnieją narody bogate, potężne, imperialistyczne. Polacy należą do proletariatu w światowej rodzinie narodów. Są biedni i wyzyskiwani. Lecz cóż się stało z proletariacką ideologią? Ideologię ludzi wyzyskiwanych przejęło drugie z kolei najpotężniejsze, imperialistyczne mocarstwo świata i obróciło ją przeciwko nam. Sowiecki komunizm to jest socjalizm odebrany proletariatowi przez imperialistów. Rewizja marksizmu podjęta w Polsce w okresie październikowym musiała upaść bo rzetelny, prawdziwy socjalizm potrzebny jest tylko nam, wyzyskiwanym, ale zgoła nie jest potrzebny wyzyskiwaczom i imperialistom. Czołgi sowieckie osadziły Węgry w orbicie ,,prawidłowego rozwoju społecznego''. Gdyby Październik w Kraju osiągnął swe zamierzenia niewątpliwie i nam Armia Czerwona pomogłaby odzyskać właściwy kurs historyczny.

LOND. Przyznam się panu, że trudno mi jest sobie wyobrazić jakby wyglądał świat po zwycięstwie komunizmu i nie jestem pewien czy stosunki ułożyłyby się tak jak pan to przewiduje.

MIER. Być może, że świat w ogóle by nie wyglądał po zwycięstwie komunizmu. Ale nie będziemy się o to spierali. Istotnym punktem w tej całej sprawie jest fakt, że sowiecki komunizm jest doktryną, która musi prowadzić do imperialistycznego ucisku. Państwa demokratyczne wykazują olbrzymie różnice. Demokracja szwajcarska jest różną od demokracji brytyjskiej, a brytyjska od amerykańskiej czy szwedzkiej. Ale tak jak nie może być dwóch katolicyzmów tak nie może być dwóch komunizmów. Ponieważ komunizm jest monolitycznym zamkniętym systemem — państwo, które decyduje o czystości doktryny w praktyce decyduje o wszystkim. I to jest istota satelictwa. W Polsce, czy w jakimkolwiek innym państwie komunistycznego świata, może nie być ani jednego sowieckiego żołnierza. Niemniej Moskwa ciąży nad wszystkim. Przemoc dawnego stylu wyczerpywała się w zakazach. Nie wolno było zakładać pewnego typu organizacji, wydawać pewnego typu pism, itd. Przemoc ideologiczna to są przede wszystkim nakazy. Carska cenzura uniemożliwiała wydawanie pewnych książek, ale w Petersburgu nie przychodziło nikomu do głowy opracowywać wskazań dla polskiej literatury. Satelictwo to nie jest okupacja — to jest odebranie historycznej podmiotowości danemu narodowi. Nie twierdzę, że ten plan w stosunku do Polski jest w pełni przeprowadzony — niemniej zarys tego planu jest całkowicie jasny i widoczny. I w pewnej mierze ów plan nie jest pozbawiony logiki. Jeżeli mamy być państwem komunistycznym, nie ma powodu byśmy mieli literaturę innej szkoły niż Rosjanie. Jeżeli Rosjanie, którzy decydują o czystości doktryny, uważają Freuda za szarlatana, nie możemy my uważać go za geniusza. To samo dotyczy socjologii, filozofii, historii, malarstwa, rzeźby — wszystkiego. Totalność doktryny komunistycznej polega na tym, że dla komunistów żadne zagadnienie i żadna wartość nie są neutralne. Albo dane malarstwo jest komunistyczne albo jest złym malarstwem. Albo dane dzieło literackie jest w treści i formie komunistyczne albo jest złym dziełem. Złym, to znaczy z punktu widzenia doktryny, szkodliwym.

W sumie trzeba stwierdzić, że w świecie komunistycznym małe i średnie narody byłyby skazane na historyczną zagładę. Naród arcykapłański, to jest Rosjanie, redagowałby życie tych narodów od kolebki do

grobu. Redagowaliby naszą literaturę, naukę, filozofię, sztukę, wychowanie młodzieży, styl pracy i rozrywki — wszystko. Ideałem końcowym tego procesu, obliczonego na dziesiątki lat, są sub-narody radzieckie mówiące po polsku, po czesku, po ukraińsku itd. Ideałowi temu przyświeca oficjalny marksistowski mit o... zanikaniu państwa i stopieniu się narodów świata w jeden naród — oczywiście radziecki. Koncepcja jednej owczarni i jednego pasterza istnieje również i w doktrynie komunistycznej.

LOND. Tej mitologii wykształceni marksiści nie biorą chyba poważnie?

MIER. Myli się pan. W artykule „Komunista" — który notabene znajdzie pan w przekładzie polskim wraz z materiałami jugosłowiańskimi w następnym zeszycie „Dokumentów" — zanikanie państwa i przetworzenie się narodów świata w jeden naród — zaliczono oficjalnie do podstawowych artykułów wiary. Co ciekawsze, „Komunist" powołał się w tej sprawie na wypowiedź Stalina na 18 Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego. Stalin wówczas oświadczył, że państwo w systemie komunistycznym jest organizacją przejściową i zniknie wraz z otoczeniem kapitalistycznym. Innymi słowy państwo, względnie sojusz państw komunistycznych konieczne jest do zlikwidowania otoczenia kapitalistycznego.

LOND. Nie podzielam pańskiego pesymizmu. Obraz naszkicowany przez pana można by uznać za prawdopodobną perspektywę przyszłości, gdyby proces historyczny — na wzór matematycznej konstrukcji — rozwijał się konsekwentnie z kilku logicznych założeń. Istnieją jeszcze potencjalne siły, jak głód wolności, które często wbrew logice dochodzą do głosu. Powstanie węgierskie — podobnie jak i nasze wszystkie powstania — zakończyło się klęską. Ale doświadczenie uczy, że groby powstańcze choć synów klęski uczą pozytywizmu — dla wnuków bywają natchnieniem nowego zrywu.

MIER. Błagam pana dajmy sobie spokój z powstaniami, wnukami i zrywami. Osobiście nic mnie tak nie wyprowadza z równowagi jak owa naiwna, romantyczna wiara wszystkich pokonanych i krzywdzonych, że jakaś metafizyczna super-racja stoi za nimi. W gruncie rzeczy nikt i nic za nimi nie stoi i im krzywdzeni i pokonani prędzej sobie z tego zdadzą sprawę tym dla nich lepiej. Pokonani, wypracowali również na swój prywatny benefis romantyczną teorię wolności. Teoria ta gło

si, że wolność musi w końcu zwyciężyć, że wolność jest nieodzownym dynamem postępu, że zanik wolności musiałby przynieść upadek kultury i cywilizacji. Innymi słowy krzywdzeni wierzyli i wierzą, że duch dziejów, dzierżący szalę ludzkich losów, jest po ich stronie. Takie powiedzenia jak np. ,,prawda wypłynie zawsze na wierzch jak oliwa'', ,,słuszność musi w końcu zwyciężyć'', ,,wolności nie da się zadławić'' — dowodzą, że krzywdzeni i pokonani wierzą uporczywie w mit dziejowej sprawiedliwości, która pracuje niezależnie od ich wysiłku, z nadprzyrodzonego mandatu. Ta naiwna mitologia datuje się z okresu historycznego, kiedy przemoc legitymowała się tylko siłą. Powstańcy polscy likwidowani przez cara to byli buntownicy. To byli ludzie, którzy podnieśli bunt z bronią w ręku przeciwko najeźdźcy w swoim własnym kraju. Słuszność była po ich stronie — siła po stronie Rosjan. Rosjanie nie usiłowali w nas wmawiać, że ci co zawiśli na stokach warszawskiej cytadeli — zdradzili Polskę, zdradzili ideały i nadzieje wyzyskiwanego proletariatu, zdradzili postęp i rewolucję. Imre Nagy i jego towarzysze buntowali się nie przeciwko najeźdźcy lecz przeciwko rewolucji. Powstańcy węgierscy zdradzili Węgry — zdradzili sprawę wyzyskiwanych i pokrzywdzonych, oddali się w niewolę reakcji imperialistów i kapitalistów. Nie tylko ponieśli klęskę ale ponieśli klęskę w obronie haniebnej sprawy. Nie tylko zmiażdżono ich gąsiennicami czołgów, ale odebrano im biały pióropusz. Dziś imperialiści są znacznie subtelniejsi niż 150 lat temu. Mit dziejowej sprawiedliwości odebrali krzywdzonym i wyzyskiwanym. Setki wybitnych teoretyków, na obszarze między Odrą a Pekinem, udowadnia każdego dnia w tysiącach artykułów, że sprawiedliwość dziejowa realizuje się poprzez politykę Moskwy — poprzez politykę tych, którzy posiedli tajemnicę obiektywnych prawd społecznego rozwoju i wprzęgli je w rydwan postępu ludzkości. Za nimi jest wszystko — historia, siła, moralność, słuszność. Komunizm zmierza do budowy odrębnej cywilizacji. W ramach tej cywilizacji niekonformistyczne mniejszości są tylko czasowo tolerowane. Tolerowane są ze względów taktycznych. Ale los każdej niekonformistycznej mniejszości jest z góry przekreślony, ponieważ w świecie komunistycznym nikt poza partią nie może legitymować się słusznością, sprawiedliwością, prawem do wolności czy moralnością. Katolicyzm w pewnych państwach świata komunistycznego jest tolerowany, ale nie oznacza to, by partia przyznawała w czymkolwiek rację katolikom. W zrozumieniu partii jest to doktryna całkowicie błędna i skazana na zagła-

dę. W systemie komunistycznym przemoc staje się instytucją cywilizacyjną. Konformizm ideowy, polityczny, gospodarczy i kulturalny nie byłby do osiągnięcia na innej drodze.

Tak oto buduje się zręby cywilizacji tygrysów. Cywilizacji wielkich narodów. Liczebnie wielkie i potężne narody, jak Rosjanie czy Chińczycy, w świecie skomunizowanym należałyby do rasy panów. Owe wielkie narody tworzyłyby ,,nową klasę'' w skali światowej i traktowałyby małe narody jako uciążliwe mniejszości. Satelictwo zostałoby doprowadzone do nieznanej dotąd doskonałości. ,,Nowa klasa'' nie musiałaby się wówczas liczyć ani z opinią międzynarodową ani w ogóle z nikim i z niczym.

Komunizm jest systemem dla wielkich imperialistycznych narodów. Małe i średnie narody mogą istnieć i rozwijać się wyłącznie w ramach cywilizacji opartej o fundament kultury humanistycznej. To samo dotyczy mniejszości narodowych. Mniejszości narodowe czy religijne mogą żyć i rozwijać się bezpiecznie tylko w państwach rządzonych demokratycznie. Demokracja i demokratyczny socjalizm nie są wszystkim niezbędne. Potężni korzystają z wolności i z przywilejów w każdym systemie. Chruszczow z całą pewnością nie narzeka na brak wolności i przywilejów. Podobnie ład międzynarodowy, oparty o prawo, potrzebny jest nie Rosji tylko Polsce.

Humanizm — demokracja — socjalizm bez cudzysłowów — dla jednych to niebezpieczne herezje i zachodnie miazmaty — dla drugich temat do uczonych rozpraw w antykomunistycznych periodykach. Ale nam wschodnio-Europejczykom chodzi o życie — dosłownie o życie. Musimy walczyć o humanistycznie pojmowaną kulturę, o humanistyczny socjalizm i ład międzynarodowy. Musimy walczyć do upadłego. Tej walki nie możemy przegrać, bo to jest wojna ostatnia.

LOND. Może to jest i mądre co pan wywodzi, ale dlaczego nasi publicyści poruszają zawsze arcy-kwestię, dlaczego zawsze mówią o fundamentach i zrębach — o humanizmach i cywilizacjach. Przecież w tym pra-bycie nikt się nie obraca poza Polakami!

MIER. Dlaczego? Bo Europa i jej humanistyczna scheda nikomu nie jest tak niezbędna jak nam. Jesteśmy tej Europy późnymi wnukami ale poza tą schedą nie mamy nic. Dla nas nie ma ratunkowych łodzi. My stanowimy trzecią klasę tego ,,Titanica''. Gdy bagaż europejski pójdzie na dno to my z nim razem. W totalistycznej, skolektywizowanej cywilizacji azjatyckiej dla nas

nie zapalą się zielone światła, bo to jest systemat kontynentów, mas i wielkich cyfr.

LOND. Więc pan uważa, że z tych wzniosłości dla nas — a w każdym razie dla polskich publicystów — nie ma wyjścia? Bezterminowo skazani na wielkość — czy tak?

MIER. Drogi panie — mieszkańcy wioski, na którą obsuwa się olbrzymia góra myślą o wymiarach góry.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Struktura klasowa i jej interpretacja

Dzieło Stanisława Ossowskiego ,,Struktura Klasowa w Społecznej Świadomości'' (1) jest w polskiej socjologii i filozofii społecznej znakomitym osiągnięciem. Gdyby ukazało się w jednym z języków zachodnich, stałoby się również poważną pozycją w światowej literaturze (2).

Trzeba stwierdzić na wstępie, a to dla uniknięcia nieporozumień i ewentualnych gniewnych wypomnień, iż stawiam stop nie według politycznie zorientowanej skali : znakomitość ,,Struktury Klasowej'' (tak skracam tytuł dla uniknięcia słownych dłużyzn) upatruję w jej osiągnięciach teoretycznych, w doniosłych i odkrywczych analizach oraz opartych na nich uogólnieniach systematycznych i metodologicznych. Funkcją systemów socjologicznych, filozofii społecznej lub politycznej jest m. in. stworzenie aparatury pojęciowej, która pozwala wydobyć istotny sens sporów społecznych, moralnych, politycznych i przenieść go z jego naturalnego żywiołu uprzedzeń, przesądów i gwał

(1) S. Ossowski, *Struktura Klasowa w Społecznej Świadomości*, Łódzkie Towarzystwo Naukowe, Wydział II, Nr 21, Łódź, Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu, 1957, str. 186.

(2) Powrót polskiej socjologii do nauki światowej na Kongresie w Amsterdamie (1956) powitany był z zadowoleniem w kołach międzynarodowych. Wkład efektywny pozostał jednak znikomy, a w pewnych wypadkach jego poziom — by rzec prawdę — nie był wysoki (mam na myśli niektóre artykuły w International Social Science Bulletin (2/57). Jeśli chodzi o opublikowane książki, Polska istnieje w międzynarodowym świecie nauk społecznych dzięki pracom polskich socjologów przebywających na Zachodzie — Andrzejewskiemu, Grossowi, Grygierowi, Hertzowi, Zubrzyckiemu, Zwegowi i oczywiście Znanieckiemu, którego pamięć i zasługi uczciła ,,Kultura'' w ostatnim numerze. Dodać wreszcie należy prace dwóch etnologów — S. Stefaniszyna i J. Śląskiego, których badania terenowe nad plemionami Północnej Rodezji oraz graniczących z nią okolic Belgijskiego Kongo zostały opublikowane w dziele Ethnographic Survey of Africa : Bomba and Related People, International African Institute 1951.

towych emocji na płaszczyznę myśli racjonalnej, co umożliwia metodyczną kontrolę nad tym, o czym mówimy i nad logiczną strukturą naszych wywodów. W tym sensie ,,Struktura Klasowa'' posiada implikacje polityczne; dostarcza bowiem aparatury pojęciowej pomocnej w racjonalnym rozważaniu m. in. zagadnień politycznych. ,,Struktura Klasowa'' nie posiada natomiast tych implikacji, jeśli przez to rozumiemy dostarczanie teoretycznych uzasadnień dla określonych politycznych poglądów. Nie podbudowuje ona ani ideologii komunistycznej, ani anty-komunistycznej.

Rozróżnienie dwojakiego znaczenia zwrotu ,,implikacje polityczne'' oraz wskazanie, które z nich można słusznie łączyć z wynikami analiz i uogólnieniami ,,Struktury Klasowej'' było konieczne, gdyż w czerwcowym numerze ,,Nowych Dróg'' Stefan Żółkiewski zajmuje się politycznymi implikacjami tego dzieła w drugim z wyróżnionych znaczeń. ,,Ta książka'', pisze Żółkiewski, ,,wbrew zamierzeniom autora będzie służyła walce politycznej'' (p. 26), a przez walkę polityczną rozumie on argumenty, jakie w jego mniemaniu zaczerpnąć z niej *może* publicystyka antykomunistyczna. Ta niezrealizowana ewentualność stanowi z kolei uzasadnienie dla poddania ,,Struktury Klasowej'' politycznej ocenie (w drugim z wyróżnionych znaczeń) z pozycji komunistycznych, ocenie oczywiście ujemnej. Jakaś logika obowiązuje, nawet jeśli użyteczność logiki sprowadza się do funkcji erystycznych. Co może służyć jednej stronie w konflikcie, jest szkodliwe dla strony przeciwnej. Sprawa jest przeto jasna i konkluzywnie rozstrzygnięta.

,,Struktura Klasowa'' jest książką o złudnej prostocie. Jej prostota jest złudna, gdyż precyzja pojęciowa i jasność wysłowienia (3) idzie w parze z licznymi i subtelnymi rozróżnieniami terminologicznymi, bogatym aparatem pojęciowym, zwartością wywodu, który przebiega na czterech płaszczyznach o wzrastającym stopniu abstrakcyjności (do tej sprawy jeszcze wrócimy). Słuszna jest teza Żółkiewskiego, iż teorie humanistyczne mają określoną strukturę logiczną. Specyficzną własnością tej struktury jest jej wielowarstwowość, wykazująca pewną analogię ze stratyfikacją logiczną. Jak się zdaje, wielowarstwowości teorii humanistycznych nie można jednak opisać w kategoriach formalnej składni języka, w terminach zdań elementarnych, teorii i metateorii, lecz odwołać się trzeba do analogii wielowymiarowości przestrzennej. Kto tego nie dostrzega, a w każdym razie

(3) Jasność wysłowienia w ,,Strukturze Klasowej'' jest regułą nie pozbawioną wyjątków. Tak np. na str. 120 czytamy: ,,W pierwszym założeniu należy wyróżnić dwa elementy: a) że klasy są grupami najwyższego rzędu i b) że klasy stanowią system takich grup''. Ponieważ klasa nie może być jednocześnie grupą najwyższego rzędu i systemem takich grup, w zdaniu następującym po (b) chodzi zapewne o myśl, iż klasy tworzą system lub że są elementami systemu. Na str. 133 czytamy o ,,negatywnej zależności interesów'', gdy chodzi o wykluczające się interesy, a na str. 158 o ,,apologii wobec ideału''.

nie widzi, iż w „Strukturze Klasowej" mamy do czynienia z wielowarstwową rzeczywistością społeczną, ten, jak Żółkiewski, staje się ofiarą własnych uproszczeń. Żółkiewski pisze :

„Z grubsza biorąc prof. Ossowski stwierdza, że w ciągu długich wieków istniały dwa typy zasadnicze stratygrafii społecznej, jedna — klasowa, posługująca się kryterium ekonomicznym podziału na grupy krańcowe (i często pośrednie między nimi) oraz druga teoria — funkcjonalna, posługująca się kryterium roli społecznej odgrywanej przez określone, wyodrębnione na tej zasadzie, grupy" (p. 24).

O tej wersji „Struktury Klasowej", o upatrywaniu w tej tezie jej głównego wyniku, można powiedzieć słowami Wellingtona : *Sir, if you believe this, you will believe anything.*

Nie zamierzamy podejmować szczegółowej polemiki ze stanowiskiem Żółkiewskiego, gdyż nie jest to naszym zadaniem. Jedna jednak sprawa wymaga zatrzymania się na chwilę, gdyż ma ogólno-metodologiczny charakter. Żółkiewski stawia Ossowskiemu zarzut, iż opisuje główne schematy struktury klasowej w społecznej świadomości poprzez stulecia w oparciu o wypowiedzi wybitnych ideologów i filozofów zamiast podjąć badania nad świadomością społeczną określonych grup. Odpowiedź na ten zarzut jest oczywista i nie wymaga sformułowania *explicite*. Chodzi jednak o okazję, jaka się nadarza, zapytania się autorytatywnych przedstawicieli szkoły marksistowskiej : za czym się opowiadacie, za empirycznymi metodami badania zjawisk społecznych, za metodą dokumentów osobistych, ankiet, kwestionariuszy, wywiadów, tekstów, za badaniami opinii publicznej metodą reprezentatywną, czy też za jakimiś innymi spekulatywno-dedukcyjnymi metodami, które inspirował Marks i Engels w „Świętej Rodzinie" :

„Nie chodzi o to, w czym chwilowo widzi swój cel ten lub ów proletariusz, lub nawet cały proletariat. Idzie o to, czym jest proletariat i co on, zgodnie z swym bytem, będzie zmuszony uczynić. Jego cel i jego historyczna działalność są w sposób oczywisty i nieodwołalny ukazane w jego własnej sytuacji życiowej, jak i w całej organizacji współczesnego społeczeństwa burżuazyjnego" (4).

Jakkolwiek oceniać się będzie powyższy tekst młodego Marksa, pisany w czasach, gdy nawet idea empirycznych badań społecznych nie pojawiła się w umysłach, jedno zdaje się być pewne. Nie można jednocześnie propagować badań empirycznych nad świadomością społeczną oraz uzasadniać jakichś tez o świadomości pewnej klasy jak gdyby były to zdania analityczne, zdania eksplikujące sens występujących w nich pojęć, odzwierciedlających „istotę" tej klasy i jej dziejowe zadania. W swych uwagach krytycznych Żółkiewski alternatywnie zajmuje zaś raz jedno, raz drugie stanowisko.

(4) Cytuję według wydania angielskiego : *The Holy Family or Critique of Critical Critique*, Foreign Languages Publishing House, Moscow 1956, p. 53.

II

Pierwszą płaszczyznę, na której Ossowski rozpatruje klasową strukturę, to płaszczyzna świadomości społecznej. Dwa wyjaśnienia są niezbędne. Po pierwsze, termin ,,klasa'' oznacza w tym kontekście każdą grupę, która jest podstawowym składnikiem struktury społecznej. Nie trzeba więc klasy w znaczeniu, o którym mowa, utożsamiać z klasą ekonomiczną, a tym mniej z klasą w sensie marksowskim, chyba że na to wskazuje kontekst lub odpowiednie określenie. Po wtóre, świadomość społeczna nie jest jakimś hipostazowanym bytem. Świadomość społeczna to nazwa pozorna lecz użyteczna na oznaczenie poglądów, przekonań, ocen i wiążących się z nimi stanów wzruszeniowych wspólnych ludziom pewnego środowiska i świadomym tego, iż je wspólnie podzielają. Ta ostatnia okoliczność sprawia, iż jednostka umacnia się w swych przekonaniach i ocenach, traktuje je jako obiektywne, a nie tylko jako wyraz osobistych przeświadczeń. Mówiąc językiem Durkheima, jej opinie stają się zewnętrznymi faktami, ,,rzeczą'' o obiektywnych, od jednostki niezależnych cechach.

Dla Ossowskiego pojęcie klasy, a tym mniej pojęcie klasy ekonomicznej, nie jest pojęciem socjopsychologicznym, szeroko rozpowszechnionym w amerykańskiej literaturze socjologicznej. Badania socjologiczne w Stanach Zjednoczonych często wychodzą z założenia, iż klasy społeczne lub ekonomiczne są funkcją świadomości społecznej; istnieją wtedy i tylko wtedy, jeżeli ludzie są świadomi ich istnienia. Wynika z tego wniosek, iż jeśli klasy nie występują w opiniach ludzi, nie ma też klas w tej zbiorowości. W społeczeństwie amerykańskim faktycznie rozpowszechniony jest pogląd, iż pojęcie klasy społecznej lub ekonomicznej nie posiada w tym społeczeństwie realnego odpowiednika.

Socjopsychologiczne pojęcie klasy jest bardzo ważnym instrumentem w badaniach socjologicznych, lecz funkcji pojęcia klasy, społecznej lub ekonomicznej, nie wyczerpuje. Fakty społeczne są całością materialnej i niematerialnej natury, pojęcia socjopsychologiczne stanowią korelat tylko jednego aspektu tej całości. Jak się nam wydaje, ,,Struktura Klasowa'' byłaby niezrozumiała, jeżeli się nie założy, iż Ossowski przyjmuje realistyczną koncepcję klasy, tzn. uważa, iż klasy istnieją niezależnie od tego, czy przejawiają się w świadomości ludzi uczestniczących w systemie klas. Sceną zjawisk społecznych nie jest świat przeżyć wewnętrznych jednostki lub świadomości społecznej (chociaż jak dotąd nie znaleziono innych naukowo zadowalających metod badań zjawisk społecznych prócz badań ich właśnie jako treści socjopsychologicznych, z czego marksiści wyprowadzili wniosek — dla niemarksistowskiego socjologa

esse=percipi). Zjawiska społeczne zachodzą w określonym czasie i przestrzeni, należą, jak pisał Czarnowski, do świata „faktów zmysłowych i obiektywnych" (*Dzieła*, T. 2, p. 219).

Nie wystarcza przyjąć, iż Ossowski podziela realistyczną koncepcję klasy, lecz trzeba iść bodaj dalej i założyć, że Ossowski uważa klasy ekonomiczne za klasy podstawowe w każdej strukturze społecznej. Nie pomija on żadnej okazji wykazania zależności klas społecznych od klas ekonomicznych (p. 48-49, 123). Klasy społeczne to grupy wyodrębnione na podstawie kryteriów kulturowych, obyczajowych, stylu życia, pozycji w zbiorowości, itp. Otóż Ossowski konsekwentnie zwraca uwagę na okoliczność, iż wszystkie kryteria klasy społecznej są na ogół pośrednio lub bezpośrednio wyznaczone wysokością dochodu, dochód zaś może być rozpatrywany jako jedno z doniosłych znamion przynależności do klasy ekonomicznej. Istnieje bowiem statystyczna korelacja między wysokością dochodu a klasową przynależnością (5).

Po tych wyjaśnieniach wróćmy do badań struktur klasowych. W spuściźnie piśmienniczej kultury europejskiej, „od legend biblijnych do współczesnej socjologii", można wyróżnić trzy podstawowe, powtarzające się w różnych czasach i środowiskach, schematy ujmowania struktury klasowej w społecznej świadomości — podział dychotomiczny, gradację prostą lub syntetyczną i koncepcję funkcjonalną. Podział dychotomiczny to podział na rządzących i rządzonych, bogatych i ubogich, pracujących i niepracujących. Stosunek między tymi dwoma grupami jest asymetrycznym stosunkiem zależności, często również interpretowanym jako związek przyczynowy. Na stosunku zależności obustronnej (symetrycznej), co nie zawsze wyklucza antagonizm, oparta jest druga podstawowa koncepcja struktury klasowej, mianowicie schemat funkcjonalny. Przykładem tego schematu jest ustrój stanowy lub kastowy (który może się łączyć lub przenikać z innymi podziałami klasowymi) lub klasyczny trójpodział Adama Smitha na tych, którzy czerpią dochód z renty gruntowej, z kapitału lub wynagrodzenia za pracę. Wreszcie przykładem schematu gradacji są znane z badań Gallupa lub ze stosunków angielskich podziały na klasy społeczne (*upper, middle, lower classes* wraz ze zmienną liczbą klas pośrednich między nimi). W przeciwieństwie do dwóch poprzednich ten ostatni schemat nie opiera się na stosunku zależności między wyróżnionymi klasami, lecz na stosunku porządkującym.

Trudności związane ze schematem struktury klasowej Marksa polegają na tym, iż posługiwał się on wszystkimi trzem

(5) Omawiany pogląd Ossowskiego przypuszczalnie tłumaczy ironiczn stosunek do J. Schumpetera (p. 133, 141) i jego orientacyjnej definicji kl sy społecznej, sformułowanej dla określonego i ograniczonego zadania, jak Schumpeter sobie postawił w studium *Social Classes in an Ethnically H mogeneous Environment*.

wymienionymi schematami oraz, iż w specyficzny dla siebie sposób uzyskiwał nowe podziały klasowe przez krzyżowanie schematu dychotomicznego opartego na różnych zasadach podziału. Rozwikłanie tych splątanych a różnych wątków w myśleniu Marksa jest pierwszym krokiem w subtelnej analizie marksowskiego pojęcia klasy i klasowej struktury. Nie znajdujemy niczego podobnego w całej marksistowskiej i niemarksistowskiej literaturze poświęconej temu zagadnieniu; Ossowski dokonał pod tym względem pionierskiej pracy, za którą winni są mu wdzięczność marksiści, marksolodzy i socjolodzy. Trudno jest wątpić po zaznajomieniu się z analizami ,,Struktury Klasowej" iż w dziełach Marksa spotykamy kilka pojęć klas i struktur klasowych, iż pojęcie klasy spełnia w systemie Marksa co najmniej trzy funkcje — typu idealnego w sensie Maxa Webera, opisowego pojęcia socjologicznego i pojęcia ,,pragmatycznego", określonego potrzebami politycznej strategii. Tym różnym pojęciom klasy odpowiadają różne struktury klasowe od bardzo prostych, opartych na dychotomicznym podziale w apokaliptycznej wizji ,,Manifestu" lub XXXII rozdziału pierwszego tomu ,,Kapitału", poprzez wieloznaczne i niewyczerpujące trójdziały do wieloczłonowej i rozbudowanej struktury klasowej, jaką Marks posługiwał się w pracach historycznych (6).

Na tym tle widoczne stają się uproszczenia, jakich dokonał Lenin sprowadzając marksowskie pojęcia klasy do pojęcia pragmatycznego (określam je w ten sposób, gdyż definicja klasy jest formułowana z punktu widzenia jej użyteczności w walce politycznej). Według znanego określenia Lenina klasy są to wielkie grupy ludzi różniące się miejscem w historycznie określonym systemie produkcji społecznej:

> ,,Klasy to takie grupy ludzi, z których jedna może przywłaszczać sobie pracę innej, dzięki różnicy miejsc, które zajmują w określonym systemie gospodarki społecznej" (7).

Można by z tego tekstu wyciągnąć wniosek, iż proletariat nie jest klasą, gdyż nie spełnia wskazanego wyżej kryterium — nie przywłaszcza sobie bowiem pracy klas innych.

Niezależnie od trzech podstawowych schematów ujmowania struktury klasowej w społecznej świadomości i marksowskiej syntezy Ossowski wyróżnia jeszcze czwarty schemat, który nazywa wizją społeczeństwa bezklasowego i nieegalitarnego, rozpowszechnioną w Stanach Zjednoczonych i w Rosji Sowieckiej. U podstawy tej wizji kryje się chyba schemat funkcjonalny i gra-

---

(6) Rozważania ,,Struktury Klasowej" poświęcone marksowskiej koncepcji klasy i struktury klasowej mogą stać się szczególnie cenne dla badań nad historią myśli filozoficznej i społecznej w XIX wieku w Polsce. Ich zasadniczą wadą jest posługiwanie się nieodmiennie podziałem dychotomicznym, wzmocnionym leninowską teorią ,,dwóch nurtów", co w rezultacie prowadzi do stereotypowych opisów i formułek.

(7) Cytuję za *Krótkim Słownikiem Filozoficznym* pod redakcją M. Rozentala i P. Judina, Książka i Wiedza, 1955, p. 285.

dacji syntetycznej. Mogą się nasuwać wątpliwości, czy w przedstawionej postaci koncepcja nieegalitarnego społeczeństwa bezklasowego należy do tej części książki, czy mianowicie autor nie powinien był ograniczyć się w części pierwszej do opisu formalnego tego schematu struktury klasowej i rozważyć go obszerniej tam, gdzie zajmuje się interpretacją tych struktur i ich typologią.

III

Na drugiej płaszczyźnie abstrakcji Ossowski rozpatruje interpretacje różnych schematów, w jakich stosunki międzyludzkie najbardziej podstawowe występują w różnych czasach i warunkach w świadomości społecznej. Możemy rozróżnić jego zdaniem dwa zasadnicze typy interpretacji, mianowicie stosownie do tego, czy widzimy stosunki między klasami wyróżnionymi jako stosunki porządkujące, konstytuujące system klasowej stratyfikacji, czy też jako stosunki zależności. Stosunki zależności mogą, jak pamiętamy, być pojmowane bądź jako jednostronne (asymetryczne), bądź jako zależność wzajemna (symetryczna).

Istnieją przeto dwie zasadnicze interpretacje struktur klasowych, jedne oparte na schemacie gradacji, drugie — na podziale dychotomicznym lub funkcjonalnym. Pierwsze biorą pod uwagę pewną stopniowalną cechę, prostą lub złożoną, oraz na ogół podkreślają „organiczny" charakter zbiorowości, drugie przypisują klasom różne lub przeciwstawne atrybuty (odmienne źródło dochodu, posiadanie lub nieposiadanie na własność środków produkcji) i ujmują relacje między klasami w kategoriach antagonizmu interesów. Interpretacje drugiego typu rozumieją przez stosunek zależności związek przyczynowy (np. bogactwo jednych jest przyczyną ubóstwa drugich ze względu na stałą sumę dóbr do rozdziału) i także podleganie czyjejś władzy.

Pod tym jednak względem interpretacje struktur klasowych jako systemów międzyklasowych zależności nie są jednolite, z czego może należy wyciągnąć wniosek, iż należy je traktować jako dwa typy interpretacji, a nie — jak czyni Ossowski — jako dwa gatunki tego samego rodzaju. Albowiem nawet w tych interpretacjach, które traktują zależności międzyklasowe jako współzależność i podział zadań oraz nie wykluczają występowania antagonistycznych interesów klasowych (zysk jednej klasy jest stratą dla drugiej), nie antagonistyczny aspekt zależności góruje nad antagonistycznym. W systemie Adama Smitha, który egzemplifikuje właśnie obydwa aspekty wzajemnej zależności, harmonia egoizmów i interesów powstaje samorzutnie w wyniku immanentnych procesów społecznych.

Ossowski uważa, iż rozróżnienie dwóch typów interpretacji struktury klasowej jest niezależne od wyboru kryteriów przyna

leżności klasowej. Istnieją jego zdaniem cztery najczęściej stosowane kryteria : ze względu na przywileje i upośledzenia przysługujące w różnej mierze członkom danej zbiorowości, (przy czym w grę mogą wchodzić wszelkiego rodzaju przywileje bogactwa, władzy, przywileje wynikające ze stosunku do środków produkcji, itp.); odrębność lub przeciwieństwo trwałych interesów; świadomość klasowa łącznie z orientacją co do względnego położenia klas w danym systemie; oraz izolacja klasowa. Otóż wydaje się, że stopień doniosłości przyznany każdemu z tych czterech kryterii, uwzględnienie wszystkich lub tylko wybranych z pominięciem pozostałych, rozróżnienie kryteriów pierwotnych i wtórnych (stosownie do uznania istnienia związków między nimi) w pewnym stopniu przesądzają do jakiego typu interpretacji struktur klasowych dojdziemy. Staje się to, jak się zdaje, jasne gdy porównujemy np. ekonomiczną marksowską koncepcję klasy z koncepcją socjopsychologiczną amerykańskiej socjologii, nawet w jej bardziej krytycznych i realistycznych odmianach.

W tej części omówienia ,,Struktury Klasowej'' chcemy uwzględnić wywód Ossowskiego, iż interpretacja własnej struktury klasowej w dwóch społeczeństwach, mianowicie amerykańskim i sowieckim, wykazuje wiele cech wspólnych, pomimo oczywistych różnic w ustroju politycznym i gospodarczym oraz rywalizacji politycznej i ideologicznej. Ossowski sądzi, iż z wypowiedzi oficjalnych rzeczników, z badań nad postawami i z innych źródeł wyłania się wniosek, że oba społeczeństwa, amerykańskie i sowieckie, widzą same siebie — lecz nie siebie wzajemnie — jako nieegalitarne społeczeństwa bezklasowe. Metodologicznie ta teza o tyle kuleje, iż w wypadku społeczeństwa amerykańskiego Ossowski ma do rozporządzenia wyniki badań socjologicznych i dane statystyczne wszelkiego rodzaju, którymi nie dysponuje jeśli chodzi o społeczeństwo sowieckie. Trzeba więc zdawać sobie sprawę, iż Ossowski porównuje oficjalną wersję sposobu w jaki społeczeństwo sowieckie widzi same siebie (bez możności sprawdzenia, czy badania socjologiczne potwierdziłyby zgodność tej wersji z świadomością społeczną) z wersją oficjalną struktury klasowej Stanów Zjednoczonych w pewnym stopniu sprawdzoną badaniami socjologicznymi i danymi statystycznymi. Gdy mowa jest o weryfikacji nie chodzi mi o to, czy według obiektywnych kryteriów teza, która mówi, iż społeczeństwo amerykańskie jest nieegalitarnym społeczeństwem bezklasowym, jest zdaniem prawdziwym, lecz jedynie o sprawdzenie faktu, że społeczeństwo amerykańskie właśnie za takie społeczeństwo się uważa.

Podobieństwo wizji społeczeństwa amerykańskiego i sowieckiego dotyczącej własnej struktury społecznej polega w pierwszym rzędzie na tym, iż bezklasowość nie wyklucza różnic pozycji społecznych i dochodów. Zasadę ,,każdemu stosownie do pracy'' trzeba zestawić z postulatem wolnej konkurencji w warunkach równych praw i szans ubiegania się o stanowiska. W

obu wypadkach pozycja i dochód są funkcją osobistych kwalifikacji i wysiłku. Różnice pozycji i dochodu są w obu społeczeństwach uznane za fakt społecznie dodatni, za sprężynę postępu i dynamicznego rozwoju. W Rosji Sowieckiej istnieje przekonanie o szkodliwości urawniłówki, społeczeństwo amerykańskie jest przeświadczone o koniecznych związkach między demokratycznymi swobodami i nierównością ekonomiczną.

Bezklasowy charakter zbiorowości uzasadnia się w obu społeczeństwach odmiennie. Społeczeństwo amerykańskie jest bezklasowe, ponieważ klasy nie istnieją w społecznej świadomości, pochodzenie jednostki nie wyznacza jej pozycji i sytuacji ekonomicznej, w gradacji społecznej nie ma sztywnych granic, pozycje społeczne tworzą kontinuum, po którym jednostka może się swobodnie przesuwać, żadne określone przywileje nie są związane z poszczególnymi pozycjami na skali społecznej. Z tej skali można odczytać istnienie luźnych warstw, odcinków gradacji, lecz pozbawionych znaczenia wobec braku niezgodnych interesów i swobody kontaktów społecznych między członkami warstw różnych.

W społeczeństwie sowieckim bezklasowość nie oznacza obecnie zniknięcia wszelkich klas, lecz brak klas antagonistycznych, klas o sprzecznych interesach. Nie ma wyzysku człowieka przez człowieka i przywilejów związanych z urodzeniem. ,,Nieantagonistyczne'' klasy, jakie pozostały, robotnicy i chłopi oraz warstwa inteligencji różnią się na wzór schematu Adama Smitha różnymi funkcjami spełnianymi w społeczeństwie, a stosunki między nimi oparte są na współzależności i współpracy wiodących do zniesienia również klas ,,nieantagonistycznych'' i ustanowienia społeczeństwa bezklasowego w dosłownym i pełnym znaczeniu tego słowa. Pod tym właśnie względem ujawnia się jedna z ważnych różnic wizji amerykańskiej i sowieckiej. Ta ostatnia zakłada dalszą ewolucję do wzoru perfekcjonistycznego, podczas gdy pierwsza przyjmuje osiągnięcie wzoru doskonałego wymagającego jedynie w praktyce udoskonaleń i ulepszeń.

Ossowski wypowiada opinię (p. 138), iż nieegalitarne społeczeństwo bezklasowe stanowi praktyczne rozwiązanie problemu, który zawsze istniał w stanie utajonym w marzeniach o doskonałym ustroju społecznym i który z całą ostrością wystąpił po Rewolucji Francuskiej w konflikcie między postulatem powszechnej równości i faktem naturalnych nierówności między ludźmi — nierówności fizycznych, uzdolnień i talentów. Ta nierówność naturalna stwarza z kolei rozwartą skalę pozycji społecznych i dochodów — nierówność moralną i polityczną, jak ją Rousseau określał — w pewnym stopniu niezbędną, jeśli zbiorowość nie ma popaść w stan bezruchu, lecz wydobyć z siebie maksimum energii i uzdolnień, bezpośrednio lub pośrednio służących zbiorowości. Przeciw rozległej skali wymienionych nierówności społecznych zwraca się jednak postulat powszechnej równości. Domaga się on bowiem czegoś więcej niż to, co stanowi egalitaryzm liberalny, czerpiący inspirację z artykułu

pierwszego „Deklaracji praw człowieka i obywatela". Istotną zawartością liberalnej tradycji egalitaryzmu jest według określenia Adama Krzyżanowskiego „wolność równa dla wszystkich".

Zdaniem Ossowskiego, nieegalitarne społeczeństwo bezklasowe daje rozwiązanie wyżej sformułowanego dylematu, gdyż w jego ramach nierówności pozycji społecznych i przywilejów ekonomicznych są funkcją indywidualnych kwalifikacji, a nie przynależności do klas. Wydaje się przeto, iż Ossowski staje na stanowisku Engelsa wypowiedzianym w „Anty-Duhringu". Co jest słuszne w pierwotnym roszczeniu wszystkich ludzi do równego politycznego i społecznego znaczenia, co stanowi „treść proletariackiego postulatu równości", pisał Engels, znajduje wyraz w „żądaniu zniesienia klas". Jak wiadomo, Engels dodaje, iż „wszelki postulat równości wychodzący poza to prowadzi nieuchronnie do absurdu" (8).

Powyższa interpretacja postulatu równości ma cechy paradoksu, nieznacznie tylko ustępującego hegeliańskiej definicji wolności, utożsamianej ze zrozumieniem konieczności. Zniesienie klas uznać można za warunek konieczny, lecz nie za warunek wystarczający równości. Następujące względy prowadzą do tego wniosku. Chociaż naturalne nierówności między ludźmi pociągają za sobą nierówności pozycji społecznych i wynagrodzeń za pracę, postulat powszechnej równości pozostaje w konflikcie z nadmierną rozpiętością skali tych nierówności. Pozostaje on niespełniony dopóty niezaspokojone są rudymentarne wymagania równości — zapewnienie minimum życia dla wszystkich, nie wyłączając ludzi pozbawionych pracy, niezdolnych do niej i starych, godziwego wynagrodzenia za pracę umożliwiającego utrzymanie rodziny bez lęku, iż bezrobocie, choroba lub nieszczęśliwy wypadek pozbawi ją podstaw egzystencji. A gdy te wymagania równości są spełnione, pozostaje nieograniczona dziedzina wykształcenia, jedno z ważnych i niedocenianych źródeł nierówności między ludźmi. Nawet jeśli klasy przestałyby faktycznie istnieć, postulat powszechnej równości jest daleki od realizacji.

IV

Interpretacje struktur klasowych, z jakimi mieliśmy co dopiero do czynienia, stanowią naturalne przejście na trzecią z kolei płaszczyznę abstrakcji. Na płaszczyźnie pierwszej, jak przypominamy, przedmiotem badania były struktury klasowe jako fakty społeczne ukonstytuowane w społecznej świadomości. Na drugiej płaszczyźnie przedmiotem badania były interpretacje

---

(8) Cytuję według polskiego tłumaczenia, wydanie Książki i Wiedzy z 1956 roku, p. 120.

tych treści świadomości społecznej, rozważenie ich typów i aparatury pojęciowej. Na trzecim stopniu abstrakcji same interpretacje traktowane są jako fakty społeczne. Nie można bowiem zaprzeczyć, że są to fakty społeczne wielkiej doniosłości.

Najlepiej można dostrzec problematykę, jaką teraz napotykamy, jeżeli obierzemy za punkt wyjścia co dopiero rozpatrywane interpretacje struktury klasowej w społeczeństwie amerykańskim i sowieckim. Podobieństwo tych interpretacji jest stwierdzeniem obserwatora stojącego na zewnątrz obu społeczeństw. Gdy natomiast badamy wypowiedzi członków tych społeczeństw o sobie wzajemnie, wówczas okaże się, że tam gdzie obserwator z zewnątrz widział uderzające podobieństwa strony zainteresowane widzą zasadnicze i głębokie różnice. Każda ze stron posługuje się różnym schematem struktury klasowej i różną interpretacją w odniesieniu do siebie samej i do strony przeciwnej. Dla sowieckiego marksisty interpretacja struktury klasowej Stanów Zjednoczonych w kategoriach nieegalitarnego społeczeństwa bezklasowego jest absurdem, twierdzeniem jawnie fałszywym i wewnętrznie sprzecznym (społeczeństwo kapitalistyczne nie może być bezklasowe i społeczeństwo bezklasowe nie może być kapitalistyczne). Odstępując od zasad interpretacji marksowskiej w stosunku do własnego społeczeństwa, sowiecki marksista będzie stosował te zasady do społeczeństwa amerykańskiego i dowodził, iż omawiana interpretacja amerykańskiej struktury klasowej jest mistyfikacją, przewidzianą w teorii marksowskiej i dającą się w pełni w kategoriach tej teorii wyjaśnić. Zdemaskowanie tej mistyfikacji ukazuje rzeczywistą strukturę klasową Stanów Zjednoczonych, której członami są antagonistyczne klasy toczące z sobą walkę o wzrastającej intensywności. Z drugiej strony amerykańska interpretacja struktury klasowej sowieckiego społeczeństwa będzie diametralnie różna od interpretacji sowieckiej. Dowiemy się, że bezklasowy charakter społeczeństwa sowieckiego jest fikcją bez pokrycia w rzeczywistości i scholastyczną konstrukcją. Jeżeli definiuje się klasy jako grupy wyznaczone stosunkiem do środków produkcji, to z upaństwowieniem środków produkcji nie likwiduje się klas lecz ich definicje. Zmiana tytułu prawnego własności nie znosi nierówności przywilejów, pozycji społecznej i dochodów, których rozpiętość w Rosji Sowieckiej niepomiernie wzrosła w stosunku do rozpiętości przed Rewolucją Październikową. Fikcja społeczeństwa bezklasowego lub zmierzającego do społeczeństwa bezklasowego ukrywa wzrastającą ostrość podziałów klasowych. Zamaskowaną rzeczywistość sowiecką odkrywa autentyczna marksowska — w przeciwstawieniu do marksistowskiej — analiza społeczeństwa sowieckiego (analizy której jednak nie stosuje się do społeczeństwa amerykańskiego).

Wobec tego stanu rzeczy — różnych interpretacji w zasadzie tych samych faktów przez różnych obserwatorów — socjolog postawiony jest wobec następującego pytania : co sprawia i jaki wzgląd kieruje nami, gdy obieramy taki właśnie a nie inny

typ interpretacji struktury klasowej w stosunku do danej zbiorowości. Tak postawione pytanie należy do tzw. socjologii wiedzy. Pewnym wybranym i doniosłym zagadnieniom socjologii wiedzy poświęcony jest rozdział XI ,,Struktury Klasowej''. Lecz treści tego rozdziału dotkniemy tylko fragmentarycznie, a skupimy uwagę na postawionym pytaniu oraz odpowiedzi na nie, jaką znajdujemy w rozproszeniu w różnych częściach książki. Nie będzie to pełna i wyczerpująca odpowiedź. Gdybyśmy umieli rozwiązać nasuwające się zagadnienia, znaleźlibyśmy się w położeniu psychoanalityka zdolnego wyleczyć pacjenta z neuroz lub histerii. W tym porównaniu funkcję neurozy spełnia ideologia, płód nieodpartej skłonności człowieka traktowania pewnych sądów wartościujących jako zdań o faktach.

Pierwsza uwaga, jaka się nasuwa, to okoliczność, iż w naukach społecznych występują terminy i pojęcia, które nie są neutralne, jak neutralne jest w fizyce pojęcie masy lub przyspieszenia. Terminy i pojęcia nauk społecznych obrosłe są uczuciowymi i wartościującymi skojarzeniami, od których uwolnić się jest rzeczą niemal niemożliwą. Dokonując wyboru terminów i aparatury pojęciowej zajmujemy jednocześnie pewne stanowisko w stosunku do rzeczywistości, tzn. zanim zaczęliśmy ją opisywać już ją w jakiś sposób oceniliśmy. Niebezpieczeństwo jest tym większe, im mniej zdajemy sobie sprawę z wartościujących i emocjonalnych składników terminów i pojęć nauk społecznych oraz wynikających z tego konsekwencji.

Jeżeli w naukach społecznych nie ma czystego opisu, wolnego od sądów oceniających, jeżeli to, co w etyce nosi miano *the naturalistic fallacy* jest inherentną cechą myślenia o zjawiskach społecznych, sposób opisu rzeczywistości społecznej zawiera również sugestie określonych działań praktycznych. Dotyczy to także interpretacji struktur klasowych. One również jakoś wyznaczają określone dyrektywy działania, różne dyrektywy w różnych typach interpretacji. Obrońcy istniejącego ładu społecznego, pisze Ossowski, ,,czy to będzie Agryppa, czy Teodoret, Spencer czy Stalin, mają tendencję do ujmowania struktury własnego społeczeństwa w schemat funkcjonalny albo w schemat nieegalitarnej bezklasowości''. Albowiem ta interpretacja, oparta na stosunku wzajemnej zależności klas, przekonywująco uzasadnia dyrektywy działania wiodące do utrzymania panujących stosunków społecznych. Łączy się z tym klasowa orientacja i klasowy interes grup uprzywilejowanych i panujących, niezależnie od tego, czy będą to Stany Zjednoczone czy Rosja Sowiecka. Łatwo dostrzec korzyści płynące dla tych grup z rozprzestrzeniania się wizji struktury klasowej przedstawiającej daną zbiorowość jako nieegalitarne bezklasowe społeczeństwo. Ta wizja zachęca jednostki do zabiegania o poprawę własnego losu na drodze indywidualnego wysiłku w ramach istniejącego porządku, a nie przez jego zmianę w działaniu zbiorowym.

Z drugiej strony, interpretacja oparta na dychotomicznym podziale i asymetrycznej międzyklasowej zależności dostarcza

uzasadnienia dla działań rewolucyjnych. Im mniejsza jest bowiem liczba klas w obrazie struktury klasowej, tym większa ostrość klasowych podziałów. Stratyfikacja klasowa wystąpi także tym ostrzej, im bardziej wzrasta rozpiętość nierówności, a pozycje pośrednie nabierają charakteru marginesu w stosunku do polaryzujących ekstremów. Jest rzeczą uderzającą, iż Marks widział w strukturze klasowej współczesnych sobie społeczeństw urzeczywistnienie schematu dychotomicznego o wykluczających się atrybutach, gdy przemawiał jako strateg rewolucji. Odchodzi od niego, gdy szukał schematu najadekwatniejszego w stosunku do rzeczywistej struktury, a zatem najprzydatniejszego dla opisu tego społeczeństwa i do wyjaśniania procesów społecznych i historycznych stosownie do właściwych systemowi Marksa dyrektyw metodologicznych.

V

Czy musimy wyciągnąć z tego wniosek, iż interpretacj struktury klasowej, podobnie jak w ogólności teorie społeczne są tylko ideologiami pozbawionymi waloru poznawczego? Cz słuszną rzeczą jest twierdzić, jak czyni to Żółkiewski, iż różn typy interpretacji są w naświetleniu Ossowskiego jedynie ró nymi „konwencjonalnymi ujęciami w świadomości pewnego rze czywistego stanu rzeczy", umowami pozbawionymi tej respekt bility, jaką posiadają konwencje w teorii nauki (bo są bezint resowne), podczas gdy w naukach społecznych wyborem międz różnymi „konwencjonalnymi ujęciami" kieruje „pragmatyczn ocena charakteru konfliktu", w którym jesteśmy uwikłani (*No we Drogi* 6/58, p. 24-25)? Czy nie należy wreszcie powiedzie i tego, iż poglądy Ossowskiego są również jakąś ideologią, kt rej zadaniem jest odbrązowienie wszelkiej ideologii, stojącej n drodze działalności uczonego i niezgodnej przeto z jego int resem, ukazanie w tych ideologiach maski dobieranej stosow nie do okoliczności przez elity w sensie Pareta celem ukryc ich rzeczywistych interesów i obrony zdobytych przywilejów

Rzućmy sprawy, o których mowa, na szersze tło historyc ne. W XVII wieku filozofowie dostrzegli, iż nie umiemy wsk zać niezawodnego kryterium, które by pozwoliło rozróżnić re ność przedmiotów ukazujących się nam we śnie i tych, jaki jesteśmy świadomi na jawie. Czy jawa, w związku z tym pyta nie jest także jakimś sennym marzeniem, czy jakaś potężna złośliwa istota nie wprowadza nas w błąd i nie zmusza do br nia złudzeń za rzeczy realne. Z tej pozornie beznadziejnej sytu cji wyprowadził filozofię geniusz Descartesa i jego sławne cogit Nawet jeśli zwątpimy o prawdziwości wszystkich naszych prz konań — a takie zwątpienie przystoi filozofowi poszukującem pewności — nawet wówczas odnaleźć możemy jakieś kryte

pozwalające nam rozróżnić to, co jesteśmy w mocy stwierdzić zasadnie lub zasadniej niż coś innego, oraz to, co żadnym lub prawie żadnym uzasadnieniem nie może się wykazać. Na tym spostrzeżeniu opiera się rozwój nowożytnej ogólnej i szczegółowej metodologii, bogata i różnorodna technika krytycznej refleksji, oraz zbiór reguł, które mówią o tym co bądź w naukach indukcyjnych, bądź dedukcyjnych możemy stwierdzać z uzasadnieniem i jakie kryteria odnośne twierdzenie musi wówczas spełniać. Nie jest to technika całkowicie niezawodna i uniwersalna, nie pozwala nam ona rozstrzygnąć każdego sporu lub rozstrzygnąć spór ten konkluzywnie. Ma ona jednak tę zaletę, iż kto ją posiadł nie głosi rzeczy wysoce wątpliwych jako prawd absolutnych i gdy coś twierdzi umie wyjaśnić na jakiej zasadzie to czyni, jaki stopień uzasadnienia lub prawdopodobieństwa jego twierdzeniu przysługuje.

W naszym wieku w naukach społecznych zaistniał stan podobny do sytuacji w filozofii w XVII wieku. Najpierw Marks a potem Mannheim zachwiał przeświadczeniem socjologów, iż zjawiska społeczne badać można w ten sam sposób, w jaki bada się zjawiska fizykalne oraz iż stosując wypracowane przepisy metodologiczne możemy uzyskać w naukach społecznych twierdzenia posiadające nie gorsze uzasadnienie niż twierdzenia nauk przyrodniczych. W socjologii błądzi widmo potężnej a złośliwej istoty Descartesa. Jeżeli w naszych poglądach o zjawiskach świata społecznego nie jesteśmy bezinteresowni, jeśli w nich ślad pozostawia nasza przynależność klasowa i pozycja społeczna, w jaki sposób możemy zasadnie twierdzić, iż co stwierdzamy o rzeczywistości społecznej opisuje ją adekwatnie, iż docieramy do niej właśnie, a nie do jej wyobrażenia zawsze zniekształconego przez ,,fałszywą świadomość'', nasze interesy i ideologiczne stereotypy.

Nie ma i przypuszczalnie nigdy nie będzie uniwersalnej metody konkluzywnego rozwiązania problemów sformułowanych przez socjologię wiedzy. Istnieją jednak, jak w filozofii, sposoby cząstkowe i nie zawsze niezawodne (w miarę postępu metodologii zapewne coraz liczniejsze i doskonalsze) wykazywania, iż w naukach społecznych nie każde twierdzenie jest bezpodstawne i że różnią się one stopniem uzasadnienia, jaki wolno nam im przypisać. Pierwszym takim sposobem jest nabycie logicznej i metodologicznej umiejętności, techniki naukowego myślenia (polega ona na pewnej technice, a nie na kwalifikującej nazwie, jak są skłonni twierdzić niektórzy marksiści), jakiego wizjonerzy, ideolodzy, politycy lub działacze społeczni najczęściej nie posiadają. Nie rozróżniają oni, bo to jest bezpośrednio związane z ich działalnością, zdań wartościujących od zdań o faktach i oceniając rzeczywistość społeczną mają przeświadczenie, iż ją tylko opisują. Trzeba się mieć na baczności przed tym *proton pseudos* wszelkich ideologicznych zniekształceń i rozpatrywać ze sceptycyzmem sądy o rzeczywistości społecznej ludzi w sposób oczywisty zainteresowanych w tym, jak

się tę rzeczywistość przedstawia. Skłonność do ideologicznych zniekształceń nie jest równomiernie rozdzielona między wszystkich zabierających głos w sprawach dotyczących zjawisk społecznych.

Po wtóre, idąc za wskazaniem socjologii wiedzy, należy zawsze relatywizować wypowiadane opinie do środowiska, do którego należy wypowiadający. Droga do rzeczywistości społecznej tak jak ona istnieje niezależnie od świadomości społecznej, wiedzie poprzez jej cząstkowe i zniekształcone perspektywy formułowane w wypowiedziach o tej rzeczywistości przez członków różnych klas społecznych, zestawienie i porównanie tych perspektyw.

Wreszcie środkiem zapobiegawczym, chroniącym nas przed ,,złudzeniem opoki'' jest analiza samego postępowania, jakim się posługujemy przy budowaniu teorii społecznych i na tę sprawę Ossowski zwraca szczególną uwagę. Przystępując do badania określonej dziedziny zjawisk świata społecznego dokonujemy wyboru pewnego aparatu pojęciowego. Wyboru tego możemy dokonać w dwojaki sposób — bądź ze względu na problematykę, jaką chcemy rozwiązać, bądź ze względu na sformułowanie poglądu o rzeczywistości społecznej. Różnica tych dwóch różnych sposobów postępowania staje się widoczna w miarę tego jak są realizowane. Obieramy pierwszy sposób, gdy np. staramy się wykryć, w jakiej mierze pewien schemat struktury klasowej odpowiada strukturze dwóch różnych społeczeństw. Jeśli zdołamy stwierdzić — iż jednemu z nich odpowiada bardziej niż drugiemu, pomnażamy naszą wiedzę o obu tych społeczeństwach w tym aspekcie, jaki rozpatrujemy stosując wybrany schemat struktury klasowej. Jeśli natomiast stosujemy dany schemat nie jako jedną z możliwych miar czy sposobów badania tej zbiorowości, lecz postulujemy z mniejszą lub większą dowolnością, iż schemat ten jest jej cechą specyficzną, odzwierciedlającą w pełni jej strukturę społeczną, wówczas charakteryzujemy tę zbiorowość dla propagowania pewnego poglądu o niej najczęściej ze względów praktycznych. Taka bowiem charakterystyka zawiera *explicite* lub *implicite* pewien sąd wartościujący, dodatni lub ujemny, a w czynnościach wartościowania wyraża się jakaś postawa praktyczna.

Ktoś może powiedzieć, iż dobór aparatury pojęciowej i punktu widzenia charakterystyki jakiegoś społeczeństwa nie zawsze musi prowadzić do opisanych następstw i stanowić krok wstępny do propagowania pewnego oceniającego poglądu o tej zbiorowości. Ta obiekcja jest słuszna. Dostarcza ona przykładu tego, o czym była mowa, mianowicie, iż nie ma niezawodnych i jednoznacznych kryteriów rozstrzygnięcia, czy jakiś sposób postępowania jest lub nie jest poprawny. *Cum duo faciunt idem — non est idem.* Również w metodologii nie zawsze możemy się obyć bez pojęć psychologicznych, takich jak np. intencja działającego, a to jest wskaźnikiem, iż nad daną metodą nie posiadamy pełnej formalnej kontroli.

VI

Pozostaje jeszcze do rozpatrzenia czwarta i ostatnia płaszczyzna abstrakcji, na której w ,,Strukturze Klasowej'' Ossowski rozważa zjawiska świata społecznego. Ossowski był pod uzasadnionym wrażeniem jednego z wyników własnych badań — trwałości schematów ujmowania struktury klasowej w społecznej świadomości poprzez stulecia, tak wielce różniących się pod innymi względami. Stawia oń przeto pytanie : jakie wnioski należy z tego faktu wyciągnąć, co on nam mówi o ludzkich zbiorowościach i rzeczywistości społecznej.

Trwałość schematów nie wyklucza zmienności rzeczywistości społecznej. Zmienność tę możemy dostrzec poprzez deaktualizowanie się historycznie uwarunkowanych interpretacji schematów struktury społecznej. Tak np. marksowska teoria klasy i jego koncepcja struktury klasowej uchwyciła podstawowy czynnik struktury społecznej w pewnym stadium jej rozwoju. Ossowski jest również skłonny uznać następującą funkcjonalną zależnoś, :

,,klasy są tym bardziej wyznaczone przez stosunek do środków produkcji, władanie środkami produkcji w tym większym stopniu wyznacza międzyludzkie zależności, im bardziej ustrój społeczny zbliża się do idealnego typu społeczeństwa kapitalistycznego o wolnej konkurencji'' (p. 163).

Lecz rozwój społeczny nie zatrzymał się na stadium uchwyconym w koncepcji marksowskiej. W świecie społecznym pojawiły się nowe czynniki, które teorie struktury klasowej muszą uwzględnić. One sprawiają, iż pojęcie klasy sformułowane w ubiegłym stuleciu staje się anachronizmem. Pamiętamy o tym, że w interpretacjach struktury klasowej w kategoriach zależności — zależność była rozumiana jako podleganie czyjejś władzy. W koncepcji marksowskiej źródłem władzy była prywatna własność środków produkcji. Otóż okazuje się, iż władzę nad ludźmi zapewnia nie tylko prywatna własność, również inne formy kontroli nad środkami produkcji prowadzą do tego celu. Daje ją także dyspozycja środkami konsumpcji i przemoc lub jakaś ich kombinacja na wzór starożytnego Rzymu, gdzie imperialna przemoc zapewniała egipskie zboże, a egipskie zboże było jednym z środków sprawowania władzy nad ludnością Rzymu. Jednocześnie stało się rzeczą jasną, iż strukturę klasową zmieniać można skutecznie decyzją polityczną. Planowanie ekonomiczne i wzrastająca ingerencja państwa w sferę zjawisk ekonomicznych, jak się to stało regułą nawet w Stanach Zjednoczonych, nadały strukturze klasowej płynność, jakiej nie mogą uchwycić interpretacje struktur klasowych powstałe w okolicznościach całkowicie różnych.

Jeśli chodzi o świadomość społeczną, nasuwa się następujący wniosek :

„Trwałość sposobów interpretowania struktury klasowej poprzez tysiąc-lecia, poprzez zmiany ustrojów społecznych, zmiany form produkcji i podziału do czynienia z aspektami społeczeństwa klasowego dotyczącymi zagadnień, których aktualność nie zamyka się w granicach jednego ustroju: z aspektami społeczeństwa klasowego w najszerszym sensie. Świadczy, że idzie tu o sprawy, które mają doniosłość dla długiego ciągu pokoleń. Nie mamy wątpliwości, że wchodzą tu w grę trwałe ideały społeczne, z którymi muszą się liczyć również obrońcy istniejącego ładu. Dla upośledzonych owe trwałe aspekty klasowej struktury uwydatniają konflikt między istniejącym stanem rzeczy i wartościami, do których się aspiruje" (p. 157).

O jakie wartości tu chodzi? Ich treść, pisze Ossowski, jest bodaj starsza niż legenda o wieku złotym, chociaż została skodyfikowana dopiero w haśle Wielkiej Rewolucji — Wolność, Równość, Braterstwo. W rewolucyjnych ruchach proletariackich XIX wieku hasło Wielkiej Rewolucji zespoliło się w ideale społeczeństwa bezklasowego.

VII

Może ten długi wywód przekona czytelników o tym, iż słuszna jest ocena wypowiedziana na wstępie, mianowicie że „Struktura Klasowa" jest znakomitą książką, bogatą w głębokie przemyślenia i odkrywcze analizy.

Trudno się z nią rozstać bez ostatniej uwagi o charakterze osobistym. „Struktura Klasowa" napisana jest stylem, jaki na własny użytek nazywam stylem Ossowskich, bo władają nim biegle zarówno Stanisław jak i Maria Ossowscy. Tajemnicą tego stylu jest absolutna bezstronność z jaką umieją rozdzielić w kontrowersjach o doniosłej aktualności racjonalne przekonania i subjektywne emocje występujące często w zespoleniu i stanowiące pozornie jednorodną całość. Ossowscy z delikatną ironią rozkładają emocjonalno-racjonalny stop na jego części składowe i obdzielają sprawiedliwą dłonią protagonistów w sporze wynikami analitycznego trudu. Oto, mówią, składnik emocjonalnego uprzedzenia, a tamto — to składnik racjonalnego przekonania, które wyzwolone z emocjonalnej presji traci charakter prawdy obywającej się bez uzasadnienia. Zastanówmy się przeto teraz, co możemy słusznie twierdzić, a co uzasadnienia nie posiada.

Ten styl myślenia i pisania jest dla autora tych słów, a zapewne podobnie dla licznego grona czytelników Ossowskich, źródłem niezrównanej intelektualnej przyjemności. Ze względów oczywistych nie jest on wysoko notowany na giełdzie politycznej. Budzi on także moralne oburzenie hipokrytów i fanatyków wszelakiego autoramentu.

Zbigniew JORDAN

Wycieczka w poezję kilku epok

Tłumaczenie wierszy z jakiegokolwiek języka to niby kwestia rzemiosła, profesja w profesji, wąska specjalność, podobna do filatelistyki. W istocie jednak, jako że wszystko łączy się ze wszystkim, wkradają się tu problemy obyczajowości, filozofii i niemal ideologii. Przez szereg lat, począwszy od 1945, moim konikiem była antologia poezji angielskiej, bo w Polsce takiej nie ma i zebrałem sporo ładnych przekładów, często zupełnie zapomnianych, pióra różnych poetów. Moje pobudki były zbyt złożone żeby je krótko przedstawić, bo miały coś do czynienia z podziałem ludzi zależnie od piętra świadomości. Na wyższym piętrze, wśród wstrętnych dla ogółu intelektualistów, dość dobrze rozumiano, że styl działa na odczuwanie i myślenie, że więc wyskakując poza styl romantyczny, przerzucając pomosty do Renesansu, Baroku i klasycyzmu, spełnia się akt potrzebny w kraju, gdzie wpływ wschodniego sąsiada nakazywał kroić na jego miarę, to jest uwielbiać jedynie styl dziewiętnastowieczny; poezja angielska, ponieważ wiek XIX jest tam tylko kroplą w morzu, do tego się nadawała. Pewien komizm tych wysiłków wskazuje na niewygodę dwuch istniejących dzisiaj ustrojów. W Polsce tłumaczyć z rosyjskiego było bardzo dobrze, z francuskiego „tak sobie", z angielskiego źle, natomiast na Zachodzie, z jego przyćmionym rozeznaniem współzależności ducha i materii, co równa się prymitywnemu stosunkowi do nieskończonych komplikacji Europy Wschodniej, na podobną antologię nie było pieniędzy.

W 1957 roku otrzymałem zagadkowy list na papierze firmowym Criterion Books w New Yorku, podpisany Paweł Mayewski. Zagadkowy, bo odbity na powielaczu, zawiadamiający, że firma wydaje antologię współczesnej poezji angielskiej

i amerykańskiej w polskim przekładzie i zapraszający mnie d
współpracy — jakby chodziło o dostawę iluś metrów sukna
W korespondencji, jaka się nawiązała, wysunąłem, dobrze ży
cząc przedsięwzięciu, szereg zastrzeżeń. Po pierwsze, przy ta
kich imprezach obowiązują pewne zasady i obyczaje, jak na
przykład poinformowanie tłumacza o zamiarach redaktora i ogól
nym planie. Po drugie, przy doborze wierszy nie można kiero
wać się kryteriami amerykańskiego czytelnika, należy brać po
uwagę stan polskiej poezji (każdy przekład jest kulą bilardową
która zderza się z innymi kulami), tym bardziej, że nie wszyst
kie wiersze obce są przetłumaczalne. Po trzecie, gdyby redakto
zwrócił się do kompetentnych tłumaczy, nie zebrałby ich więce
niż pięciu, i to w kraju i za granicą łącznie, dlaczego więc mów
o kilkunastu? Po czwarte, nie można tłumaczom narzuca
wierszy jakiegoś autora, kto wie czy nie lepiej daliby sobie rad
z innymi, bardziej im bliskimi. Powołując się na te zastrzeże
nia, odmówiłem współpracy. Ale potem, nie chcąc grzeszy
skłonnością do grymasów, uległem, bo ostatecznie nie zawsz
trzeba ścigać ideał. Co jest zrobione, jest zrobione, i wart
oceniać względną użyteczność.

Antologia ta się ukazała (1). Ponieważ są tam moje prze
kłady z Yeatsa, Eliota, Audena i Wallace Stevensa, występu
jąc jako krytyk narażam się na łatwe zarzuty: że widzę źdźbł
w oku bliźniego a w swoim nie dostrzegam belki, że pomijają
milczeniem swoje prace, przez kontrast je wywyższam. Jednak
że jest to zwykle dola krytyka, chyba że przezornie unikna
wystąpień w roli twórcy czy od-twórcy i korzysta z nieskażon
bieli swoich szat.

Mayewski, stwierdźmy na wstępie, zrobił to, co zrobiłb
każdy dobrze wprowadzony amerykański literat. Zaczyna s
to od patrona nowoczesnej poezji, Gerarda Manley Hopkins
(1844-1889), potem Yeatsa (1865-1939), a kończy się wierszam
Dylana Thomasa, Thomasa Mertona i Roberta Lowella. Oczy
wiście wybór poszczególnych utworów można kwestionować –
ale można kwestionować prawie zawsze, bo jest on w antolo
giach zwykle odbiciem ,,notowań'' w danej chwili, podleg
prawom ewolucji smaku. W chwalebnym zamiarze pokazani
poezji brytyjskiej i amerykańskiej jako jednej i nierozłączn
zagubiono jakoś zupełnie specyfikę Amerykanów — gdyb
chciano ją wydobyć, nie zaczynano by od Hopkinsa ale od Whi
mana. Mój obraz poezji amerykańskiej jest zupełnie inny, tak
jaki ma wschodni Europejczyk, nieco nieufny wobec fluktuac
tamtejszego poetyckiego rynku, i, jak sądzę, nie różnię s
tutaj od tych amerykańskich poetów i krytyków, którzy twie
dzą, że zamknięcie poezji w uniwersytetach odbija się nieko
rzystnie, skłaniając do mylnych ocen i teraźniejszości i prz

(1) *Czas niepokoju,* antologia współczesnej poezji brytyjskiej i ame
rykańskiej, Criterion Books, New York, 1958.

szłości. Wszelka izolacja artysty prowadzi, że użyjemy rosyjskiego słowa, do ,,utonczenja'', zamknięty klan podnieca siebie grzęznąc w coraz większą subtelność i zatraca wrażliwość na potrawy podstawowe. Carl Sandburg nie jest u Mayewskiego dobrze reprezentowany, bo pominięte są jego brutalne wiersze-zdjęcia z Chicago, tak charakterystyczne dla całego burzliwego okresu. Trudno też wybaczyć pominięcie Edgara Lee Masters z jego ,,Spoon River Anthology'', jeżeli obficie dozuje się nudnego, niestety, Robinsona i Ednę Millay. Mayewski w swoim wyborze akademizuje i ugrzecznia, wykazując pewną niechęć do tego, co ma kły i pazury, a nierzadko predylekcję do środków wyrazu zbyt zawiłych, w czym hołduje modzie. Gwałtowny spór musiałby też między nami wybuchnąć jeżeli chodzi o nowszych poetów, dla przykładu: ,,Śmierć szeryfa'' nie jest na pewno najlepszym wierszem Roberta Lowella, a o Theodorze Roethke jedna ,,Pieśń'' nie daje żadnego pojęcia. Niemniej zostawmy spory na boku. Zaproszenie Karla Shapiro do napisania przedmowy było szczęśliwym pomysłem, jest w niej zwięzły i trafnie informujący. Książka ładnie wydana, zawiera tekst dwujęzyczny — na jednej stronie angielski, na sąsiedniej polski.

A teraz, od strony polskiego czytelnika. Że wystarczy wybrać wiersze i zamówić przekłady, jest złudzeniem, bo nie wszystko co powstaje w jakimś języku jest przetłumaczalne. Tak więc nie ma dzisiaj, zapewniam, nikogo, kto by potrafił znaleźć w polskim odpowiednik ,,skaczącego rytmu'' Hopkinsa. Ten rytm jest oparty na seriach krótkich anglosaskich słów: ,,No worst, there is none. Pitched past pitch of grief''. We Francji na taki nieprawdopodobny wyczyn zdobył się Pierre Leyris (2), ale Pierre Leyris rodzi się rzadko. I wiele pozycji w antologii należy do tej zamkniętej, przez właściwości języka, strefy.

Komu Mayewski powierzył przekłady? Cała lista. Wymieńmy: Zofia Bohdanowiczowa, Józef Bujnowski, Zbigniew Chałko, Bogdan Czaykowski, Adam Czerniawski, Marian Czuchnowski, Jan Fryling, Wojciech Gniatczyński, Wacław Iwaniuk, Aleksander Janta, Jan Leszcza, Zygmunt Ławrynowicz, Józef Łobodowski, Paweł Mayewski, Czesław Miłosz, Jerzy Niemojowski, Marian Pankowski, Bronisław Przyłuski, Jerzy S. Sito, Florian Śmieja, Józef Wittlin. Dwadzieścia jeden nazwisk. Dziwność tej listy domaga się jakiejś interpretacji. Wyjaśnienia być może dostarcza ,,sponsor'' czyli pieniążkodawca: ,,wydane staraniem The East Europe Institute przez Criterion Books''. Mecenasi z instytutów tego rodzaju gdzieś zapewne słyszeli, że od niejakiego czasu używa się kultury jako środka propagandy. Zarazem co dzień muszą sobie powtarzać Gałczyńskiego.

---

(2) *Reliquiae*, vers, proses, dessins, réunis et traduits par Pierre Leyris, Editions du Seuil, Paryż, 1957. Tekst dwujęzyczny.

Bo mówiła stara ciotka:
Tych co płacą, nic nie spotka.

niebaczni i nieostrożni, bo ciągle ich wiele rzeczy spotyka. Czemuż by więc nie mieli zwrócić się do młodego polsko-amerykańskiego literata z zamówieniem: ,,Panie Mayewski, zrobisz pan antologię poezji i zaprosisz pan wszystkich poetów, jacy są na emigracji. Tylko żeby byli wszyscy. Już!'' Może się mylę, ale tak to sobie wyobrażam.

Wynik. Większość tłumaczy używa polszczyzny bardzo trudno zrozumiałej, albo wręcz niezrozumiałej, co nie znaczy, że niegramatycznej. Nieprzystępność dzisiejszej poezji jest zwykle powetowana przez osadzenie w mowie potocznej, ta poezja wydobywa efekty z bardzo zwykłych słów w nowych układach, dużą rolę grają w niej kolokwializmy, stąd jej swojskość, choć nie oczywistość, dla kogoś, kto daną mową posługuje się od dziecka. Wiele zwrotów, które w dosłownym tłumaczeniu brzmi tak dziko, że mogłyby dać początek jakiejś szkole awangardy, jest zaledwie lekką odmianą wyrażeń mających całą tradycję. Osadzić obcy wiersz całkowicie w rytmie rodzinnej mowy t[o] niemal niemożliwość, niemniej tylko dążąc do tego rozjaśni[a] się sens, w przeciwnym wypadku przeszkody sumują się i wiersz staje się nieczytelny. Porównano niedawno, na międzynarodowym zjeździe tłumaczy w Warszawie pod egidą UNESCO, sztukę tłumacza do sztuki aktora. Otóż aktor uwydatnia, podkreśla, a przez to wydobywa ,,tok dykcji''. Tak pojęty obowiązek nie został spełniony. Najzabawniejsze, że Zofia Bohdanowiczowa, choć nieporadna, bo operująca językiem z czasów Młodej Polski, poważniej zdaje się traktować ten obowiązek niż inni. U młodszych jest jakby zadomowienie się w ciemności stylu, często przez autorów których tłumaczą niezawinionej. Dodajmy, że roi się w książce od błędnych odczytań oryginału, a nieraz jedno zdanie, tak oddane bez należytej uwagi, jest kluczowe.

Razem, tę tak staranną po amerykańsku antologię wypada uznać z punktu widzenia polszczyzny za zupełnie nieudaną jako całość. Jakkolwiek jednak pierwszą reakcją czytelnika jest gniew (bo co chwila przestaje rozumieć, zanim nie spojrzy na tekst angielski), zaraz przychodzi refleksja, że przecie jest to książka dla badacza stylów pasjonująca, właśnie przez to, że zmusza do zastanawiania się nad przyczynami porażki. Im większa nierównoległość w rozwoju dwuch języków, tym większy opór. Jeżeli mało tłumaczono anglosaską poezję w Polsce przed wojną, to głównie z braku instrumentu. Od 1939 dokonały się w Polsce prawdziwe przewroty poetyckie, zmieniła się, ku żalowi amatorów ,,dźwięcznej i melodyjnej'' zwrotki, wrażliwość na słowo, wystarczy czytać takich młodych autorów jak Białoszewski Herbert, Harasymowicz, Grochowiak, żeby się o tym przekonać. I dzisiaj byłyby tam dane, zwłaszcza wobec r[...]

kwitu sztuki przekładu, żeby anglosaską poezję rozgryźć, gdyby znano obce języki. Natomiast współpracownicy Mayewskiego (nie wołam, że wszyscy) nie przebili tego pułapu, jedni zatrzymali się w stadium młodopolskim, inni w skamandryckim, jeszcze inni, młodzi londyńczycy, przebywają we mgle zastanawiającego językowego niewyklarowania. Toteż niejedna stronica tej antologii przypomina szarżę z lancami na czołgi.

Nie miałoby sensu bawić się w pedanterię, wytykać błędy i potknięcia, na ogół nieuniknione, bo traduttore — tradittore. Choć nie jest dobrze, kiedy sens oryginału podaje się niemal na opak (np. ,,Żyd'' Rosenberga czy ,,Czas odzyskany'' Reada). Co ważne, to konflikt różnych poetyk. Kiedy ktoś, wychowany na Tetmajerze, próbuje spolszczyć żonglerkę intelektualnego dowcipu, łatwo przewidzieć, co osiągnie. Kiedy ktoś inny wierzy, że wiersz bez rymów się nie liczy i pocąc się, wtłacza w rymy poetę, który ich nie używał, też wiadomo co z tego wyjdzie. Nie ukrywam zresztą, że na próżno staralibyśmy się porozumieć. Inne ucho. Co dla mnie jest poezją, dla wielu jest ,,brzydkie'', co mnie nęci, wielu odstręcza. Jednak książka dotrze do Polski i wolno się obawiać, że ,,załatwi'' na razie tęsknoty do zapoznania się z poezją angielską i amerykańską, wytwarzając do niej odrazę. A porcja prawdziwych horrorów jest pokaźna, nawet jeżeli uznamy ,,czarne wypróżnienie'' w jednym z wierszy za błąd drukarski. Kto by na przykład, nie znając angielskiego, odgadł, że rubaszne, rymowane bajki Rodocia to tragiczne przypowieści Stephena Crane (1871-1900), tak bezwstydnie proste, że tłumacz nie uznał ich za poezję i poprawił? Próbka:

SERCE

Na pustyni
znalazłem istotę nagą, bestię nie bestię,
jak przykucnąwszy ku skałom,
chyłkiem coś gorścią imając,
swe własne pożerała
serce.

Wykrztusiłem ze siebie: przyjacielu!
jak ci smakuje?
Gorzkie to, bracie — powiada,
gdy zębem zadrasnę
lecz własne!

A oryginał brzmi, dosłownie, tak:

Na pustyni
zobaczyłem stworzenie nagie, bestialskie,
które przykucnąwszy na ziemi
trzymało w rękach swoje serce
i jadło je po kawałku.

Powiedziałem: „Czy to dobre przyjacielu?"
„To gorzkie, gorzkie — odpowiedział.
Ale lubię to
Bo to jest gorzkie
I ponieważ to moje serce".

Dokładna analiza książki, tych straszliwych zmagań z metalem angielszczyzny, mogłaby wypełnić całą pracę doktorską. I nie wątpię, że taka praca zostanie kiedyś napisana. Bo temat jest znacznie ogólniejszy niż jedna chybiona antologia, dotyczy związków pomiędzy człowiekiem i stylem, stylem w sensie bynajmniej nie tylko formalnym. Jest to dziedzina jutrzejszych badań. Porażka poety, który stara się przyswoić poetę obcego, nie daje się wyjaśnić tylko brakiem talentu, dowodzi natomiast, że natknął się na formację kulturalną dla niego nie do przeniknięcia. Ukazuje się tutaj paradoks : poeci emigracyjni, z paroma wyjątkami, nie zdają się mieć dostępu do wyższych objawów cywilizacji w jakiej żyją i łudzą się, jeżeli sądzą, że przekraczają niewidzialną przegrodę, ta nie jest literacka, wznosi ją, ujmijmy to skrótowo, inna filozofia życia; podczas gdy młodzież literacka w Polsce, wychowana w tak szczególnych warunkach i nie znająca na ogół obcych języków, jest bez porównania bardziej „zachodnia", to znaczy zdolna *również* uchwycić pewne wyrafinowane zjawiska po tej stronie. Paradoks ten ma zasięg szerszy, obejmuje myślenie społeczne i polityczne.

Stawiać stopnie współpracownikom antologii, wyróżniać tych, co wyszli obronną ręką, innych gnębić? Nie, nie. Ogrom wysiłku i niewiele winy. Odpowiedzialność spada na redaktora albo, co prawdopodobniejsze, na jego mocodawców. Sam Mayewski jest tłumaczem nierównym, ale ma ładne osiągnięcia (np. początek „La figlia che piange" Eliota). W czasach, kiedy przekłady rozbiera się po linijce, kiedy za bardziej udane udziela się państwowych nagród, nie należy przystępować do takiej roboty po dyletancku. Jeszcze drobny szczegół : pewna ilość utworów figurujących w antologii była już dawniej przetłumaczona i wystarczyłoby o tym pamiętać, żeby polską wersję odnaleźć.

Paweł Mayewski wydał równocześnie w New Yorku bardzo zgrabnie ułożoną przez siebie książkę, tym razem w przekładzie z polskiego na angielski (3). Wprowadza ona publiczność *in media res* polskiej problematyki i zawiera prozę następujących autorów : Tadeusz Różewicz, Kazimierz Brandys, Zbigniew Herbert (sztuka „Jaskinia filozofów"), Wiktor Woroszylski, Peweł Hertz, Leszek Kołakowski, Jan Strzelecki. Znacznie więcej to warte niż dziesiątki artykułów i rozpraw w prasie zagranicznej, bo głos mają tu sami najbezpośredniej zaangażowani. Jest to zastrzyk przeciwko płyciźnie a środowiska le-

(3) *The broken mirror*, a collection of writings from contemporary Poland, edited by Pawel Mayewski, introduction by Lionel Trilling, Random House, New York, 1958.

wicowe i liberalne powinny należycie ocenić zwłaszcza szkic Leszka Kołakowskiego o trwałych i przemijających aspektach marksizmu. Książka godna kupowania i rozpowszechniania. Jeżeli więc Mayewski potknął się przy antologii, to chyba dlatego, że nie docenił wagi jaką ma ,,kuchnia'', inna w każdej literaturze. Znajomość przepisów i sposobów nabywa się jedynie praktyką i nie przynosi ujmy Mayewskiemu, że będąc dobrze zorientowany, jak widać, w ,,kuchni'' nowojorskiej, nie przeniknął tajników polskiej, co bynajmniej nie jest równoznaczne z zachowaniem rodzinnej mowy.



Jerzy Pietrkiewicz nie miał w Polsce szczęścia. Używał w swoich poematach za wielu słów, a poza tym był w niewłaściwej stajni — Stanisława Piaseckiego i ,,Prosto z mostu''. Poeta-,,narodowiec'' to anomalia, prawie mamka w mundurze huzara. Konfraternie poetyckie wyznaczały mu ragnę dość niską, zarzucając mu surowiznę, w którym to zarzucie kryły się być może jakieś zagadki socjologiczne właściwe Polsce, gdzie potomkowie zdegenerowanych rodzin feudalnych albo rabinackich nie lubili wiejskości potrząsającej i kościelnym i krowim dzwonkiem. Nikt by wtedy nie przewidział, że Pietrkiewiczowi sądzone było zostać powieściopisarzem angielskim i profesorem polskiej literatury na londyńskim uniwersytecie.

Ze wszystkich cnót ludzkich może najbardziej warto cenić upór. Imponującym dowodem uporu i pracowitości jest nie tylko pełna władza nad obcym językiem u Pietrkiewicza, również jego dwutorowość. Wydał ostatnio antologię liryki angielskiej (od 1300 do 1956, jak głosi podtytuł) w swoim tłumaczeniu (4), wypełniając, jak to się mówi, dotkliwą lukę. Z góry zastrzegam się, że moje przychylne czy nieprzychylne sądy w niczym nie będą zależne od wspomnienia własnych niepowodzeń, bo zamierzałem zebrać przekłady robione przez innych, a nie występować jako wyłączny tłumacz. U Pietrkiewicza znajduję sporo wierszy z którymi już porali się inni tłumacze. To kusi żeby porównywać.

Szczery podziw. Sto dwadzieścia trzy utwory. Kto wie, ile trudu kosztuje jeden czterowiersz, ile pułapek zastawia rytm i rym, ten to oceni. I bogactwo materiału : Byron, Keats, Shelley, nawet Coleridge mieli w Polsce zwolenników, ale poeci elżbietańscy i ,,metafizyczni'' bardzo niewielu a tymi Pietrkiewicz zajmuje się jak najsłuszniej. Cierpliwy rekonstruktor, uważny podpatrywacz chwytów, powiada w swojej przedmowie : ,,Wyznaję na tym miejscu, że część kary już odbyłem. Nigdy bowiem w życiu nie napisałem sonetu, nigdy oktawy; walczyłem we własnej poezji z tyranią rymów i ze szufladkową

(4) Jerzy Pietrkiewicz, *Antologia Liryki angielskiej*. Nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego ,,Veritas'', Londyn, 1958.

pedanterią zwrotek — a oto w tej książce przebrnąłem przez setki strof, ślęczałem nad sonetami, uganiałem się za rymami, podstawiałem tradycyjne epitety poezji''.

Oto pierwsza strofa książki, otwierająca anonimowy poemat z XIII wieku :

Której uroda wielmi krasna
velut maris stella
Nad światło dnia wżdy bardziej jasna
parens et puella
Słysz Pani, wołam Cię w potrzebie,
Za mnie się módl do Syna w niebie
tam pia
Iżbym mógł zbożnie przyjść do ciebie
maria

Vaughan (1622-1695), strofa nienaganna :

Oto odeszli wszyscy w kraj światłości.
Jeden ja tylko zwlekam, w miejscu stoję.
Ich pamięć tyle ma w sobie piękności
Że smutki rozjaśnia moje.

Herrick (1591-1674) :

Kup wiśnie świeże — sam sok! świeże! —
Wołam — kto kupi, sam wybierze.
Skoro sam sok, spytasz mnie o nie,
Gdzie rosną? Rzekę: W onej stronie,
Gdzie wargi Julii uśmiech stroi
Tam kraj, tam Wyspa Wisien stoi!
Rok cały na niej — zimą, wiosną —
Widać, gdzie w sadach wiśnie rosną.

Wypada jednak zapytać czy książka Pietrkiewicza, gdyby ją wydać tak, jak praktykuje się w Polsce, to jest bez równoległego tekstu obcego, trzymałaby się mocą swego słowa a więc czy służyłaby w tym zderzaniu się kul bilardowych jakim jest zbiorowa gra poetycka, czy odkrywałaby czytelnikom nowe lądy? Jest to maksymalne wymaganie. Kiedy ktoś ma ochotę odpisać dla siebie wiersz, zapominając, że to przekład, jest ono spełnione. Będąc chłopcem zachwyciłem się, czytając ,,Martina Edena'' Londona, mottem wziętym ze Swinburne'a, w przekładzie Wilama Horzycy. Dotychczas pamiętam :

...I porzuciwszy gniew, nadzieję, pychę,
Wolni od pragnień i wolni od burz,
Dziękczynnych westchnień ślemy modły ciche,
Ktokolwiek jest tam pośród gwiezdnych głusz,
Za to, że minąć dniom żywota dano,
Za to, że nigdy raz zmarli nie wstaną
I rzek gwałtownych nurt zmącony pianą
Zawinie kiedyś w głąb wieczystą mórz.

Trochę młodopolskie w technice, ale ma w sobie coś z ,,rozdzierającego piękna''. Otóż obawiam się, że Pietrkiewicz, stylowo bez szaleństw, jest za bardzo szkolarski, że osobowość jego nie daje znać o sobie, że brak mu zrywu i przez to jest bezbarwny. Dlaczego tak sądzę? Doszedłem do wniosku, że język polski, bardzo niewdzięczny, torturowany przez swoje sz, psz, gż, szcz, pełen form na wpół tylko obumarłych (,,moje'' czy ,,me''?, ,,kiedy'' czy ,,gdy''?, ,,ciebie'' czy ,,cię''?, ,,twoja'' czy ,,twa''?, ,,kiedym był'' czy ,,kiedy byłem''?) jednak wymaga klasycznej zaprawy i że zwartość zdobywa się w nim płacąc drożej niż w innych językach. Jak rodzi się tęsknota do zwartości? Łacina? A może (ryzykuję przypuszczenie) kontakt z bardziej metalicznym a zarazem pokrewnym rosyjskim? Nie widać żeby Pietrkiewicz nosił w sobie tego bakcyla.

Niejasność tych uwag może przezwyciężą cytaty. Dobra klasyczna szkoła to chociażby początek ,,Giaura'' Byrona w przekładzie Mickiewicza:

Umilkły wiatry; ciche lśnią się fale
Przy grobowcowej Temistokla skale,
Która wyniosłem czołem niebo bodzie
I z góry patrząc na morza i smugi
Najpierwsza wita lądujące łodzie.
Kiedyż się zjawi Temistokles drugi?

Porównajmy z oryginałem:

No breath of air to break the wave
That rolls below the Athenian's grave
That tomb which, gleaming o'er the cliff,
First greets the homeward-veering skiff,
High o'er the land he saved in vain;
When shall such hero live again?

Odstępstwa są spore. ,,Grób błyszczący nad skałą'' zmienił się w ,,grobowcową skałę''. ,,Wysoko nad krajem który uratował na darmo'' w ogóle wypadło. Zamiast ,,Ateńczyk'' i ,,taki bohater'' mamy Temistokles. Nie brak potknięcia: ,,nie *b o b o dzie*''. A jednak, szkoła u c h w y t u.

Jako wstęp do drugiego przykładu weźmy CXVI sonet Szekspira u Pietrkiewicza:

Niechże małżeństwu dusz w drodze nie stanie
Żadna przeszkoda. Bo nie jest miłością
Miłość, co zmienia się, by sprostać zmianie,
Lub gdy zwodzących wita niestałością.
Nie! Miłość bowiem to mocna stanica
Co nawet w burze złe patrzy bez drżenia,
To gwiazda, która łodziom szlak oświeca,
Z górności lotu znana — nie z imienia.
Nie, miłość nie jest błaznem Czasu, który
Kosząc świat, róży jej lic nie oszczędzi;
Miłość nie zmienia co dzień swej natury,

Lecz trwa, zawisła na Losu krawędzi.
Gdybym się mylił, świat by zwątpił przeto
Że ktoś już kochał lub żem ja poetą.

Teraz ten sam sonet w tłumaczeniu Marszaka (laureata stalinowskiej nagrody za Szekspira (5):

Mieszat' sojedinieniju sierdiec
Ja nie namierien. Możet li izmiena
Ljubwi bezmiernoj położit' koniec?
Ljubow nie znajet ubyli i tlena.

Ljubow — nad buriej podniatyj majak,
Nie mierkuszczij wo mrakie i tumanie.
Ljubow — zwiezda, kotoruju moriak
Opriedielajet miesto w okieanie.

Ljubow — nie kukła żałkaja w rukach
U wremieni, stirajuszczego rozy
Na płamiennych ustach i na szczekach,
I nie straszny jej wremieni ugrozy.

A jesli ja nie praw i łżet moj stich
To niet ljubwi i niet stichow moich!

Pedanteria — u Pietrkiewicza. Poezja — u Marszaka, choć natura rosyjskiego już niemal przeciąga go na stronę pieśni (niebezpieczeństwo dla Polaków, jeżeli zbyt ulegają urokom rosyjszczyzny). Poezja, bo mniej słów, bo jest zwięzły i dobitny.

Braku wyborów poezji angielskiej w Polsce, czego powody były pieniężne albo polityczne, nie trzeba mieszać z brakiem zainteresowania. Tłumaczono ją, nawet jeżeli pominiemy Szekspira, dość uparcie. Niemcewicz (wolę jego ,,Elegię'' Graya niż wersję Pietrkiewicza), Franciszek Morawski, Odyniec, Mickiewicz, Gaszyński, Feliks Jezierski (wybitny !), Pajgert, Asnyk, Lange, Porębowicz, Kasprowicz — temu ostatniemu dzieje się krzywda, bo sądzi się go według przekładów niechlujnych, które produkował jak maszyna, a zapomina się o jego Shelleyu i o ,,Hyperionie'' Keatsa, gdzie są fragmenty dużej piękności. Ale Kasprowicz umiał i celnie oddać Chaucera. Przypomnijmy to z ,,Canterbury Tales'':

do pątniczej braci
Także się mniszka, przeorysza, liczy.
Uprzejma, pełna prostoty dziewiczej.
Cną Eglantyną zwała się ta pani,
A święty Ludwik był wezwaniem dla niej,
Ilekroć ręce do przysięgi złoży.
Nie było nad nią lepszej w służbie bożej:
Przez nos śpiewała mile nad pojęcie.
Francuskim ślicznie mówiła — w akcencie
Jaki w Stratfordzie wbijają do głowy.

(5) *Sonioty Szekspira* w pierewodach S. Marszaka, Sowietskij Pisatiel, 1949.

Paryskiej bowiem nie znała wymowy.
Wiedziała, jak się zachować przy stole:
Nigdy paluszka nie moczy w rosole,
A każdy kąsek tak podnosi składnie,
Że ani krzta jej z gęby nie wypadnie,
Ani na piersi nie spłynie kropelka;
Dworski obyczaj to jej troska wielka.
Wargę też górną tak zawsze obciera,
Że na kielichu, jeśli chęć ją zbiera
Napić się czego, ni ślad nie zostaje
Żadnej tłustości: gładkie obyczaje
Umie przy całej zachować biesiadzie.

Co do Asnyka, że niby tak w języku nienowoczesny, nie mogę się powstrzymać, żeby nie przytoczyć kilku linii. ,,Tithonus'' Tennysona:

Lasy butwieją, lasy padają i giną,
Obłoki wypłakują łez swoich brzemiona,
Człowiek orze swe pole i pod nim się kładzie,
Po kilku wiosnach łabędź kończy swoje trwanie.
Mnie jednego okrutna nieśmiertelność trawi.

Zanurzając się w moją kopalnię not i rękopisów, wyciągam z niej na chybił trafił różne skarby. Z moich współczesnych w wielkiej estymie mam Wilama Horzycę, Józefa Czechowicza i zmarłego niedawno Czesława Jastrzębca-Kozłowskiego, który skutecznie pokonywał w końcowej fazie życia swoje młodopolskie stylowe obciążenia, a także Aleksandra Messiga-Mierzejewskiego; ten przekładał w okupacyjnej Warszawie dawnych Anglików, potem zdradził poezję dla UNO, ale ślad został — w mojej wędrownej szufladzie. Jak dotychczas, nie spotkałem nikogo z Polaków, kto by tak czuł specyficzny urok angielskiego wiersza, jak ten dwudziestoletni wtedy chłopiec. Na przykład z Miltona, opis włosów naszej pramatki Ewy:

Jakby zasłona okrywały ją
Aż po jej kibić smukłą niezdobione
Złote kędziory, splątane swywolnie
W pierścionki lekkie jak łodyżki wina,
A oznaczały uległość lecz także
O delikatność prosiły — i przez nią
Mu darowane — przez niego przyjęte
Serdecznie — poddawały się, z nieśmiałą
Dumą i skromną powolnością i
Słodką, oporną, miłośniczą zwłoką.

John Wilmot, Earl of Rochester (1647-1680), ,,Epitafium Karolowi II-mu'':

Tu król, nasz pan, ma odpoczynek wieczny,
Co nigdy słowa nie dotrzymał swego
I nigdy głupiej nie powiedział rzeczy
I nic nie zrobił mądrego.

Z innej weny, „Błaganie o gwałtowność" Johna Donne:

Rozstrzaskaj moje serce, Boże Trójjedyny,
Boś dotąd pukał jeno, szeptał, winy
Me przeliczał, naprawiał.
Lecz bym wznieść się mógł
Musisz zgiąć mnie z wszechsiły i obalić z nóg,
Złamać, zmiażdżyć, przepalić i nowym uczynić.

Jam jak miasto pod szturmem wroga, cytadela
Zdobyta, trudzę się by przyjąć odsiecz bożą...

Jeszcze coś dla miłośników Renesansu. Jak ludzie ówcześn widzieli siebie pokazuje „Postęp" mało znanego dzisiaj Tho masa Bastarda:

Świat starożytny stoi poza nami
W tyle o trzy wynalazki. Izali
Pomni historia zmierzchła czy pergamin
By ludzie tak pisali, żeglowali
I tak niezwykle jak my mordowali?
Druk światło rzucił na dawna nauki,
Przybliżył wszystkim je: pokazał dalej
Piękno antycznej zapomnianej sztuki.
Żeglarze kraje odkrywali nowe
I nieśli wszędzie Słowo Chrystusowe.
Ot cnoty nasze. Lecz największa chwała,
Żeśmy śmierć nauczyli więcej niż umiała!

Że narzekania na zawiłość poezji nie są niczym nowym, świadczy wiersz jednego z „poetów metafizycznych", George'a Herberta (1593-1633), choć oni to właśnie byli ówczesną zawił awangardą:

Któż to mówi, że jeno sztuczny włos i moda
Przystoi wierszom? Zali w prawdzie piękna nie ma?
Zali nie w prostych jest a w pokręconych schodach
Dobra struktura? Abo występny już temat
Gdy się nie malowane, zwykłe, krzesło poda?

Czy poezja jest jeno gdzie czarowne gaje:
Wiersz niezdarny roślinność kryje rozpowita?
I słów strumień srebrzysty kochanka udaje
I wszystko jest zamglone — a ten który czyta
Zachwyca się, choć z rzadka w sensie się wyznaje?

Słabość Pietrkiewicza ujawnia się przez porównanie z Mi rzejewskim. Milton pisze o swojej ślepocie. Najpierw niech z recytuje to Pietrkiewicz:

Gdy myślę, jak się przez życia połowę
Światło trwoniło me w tym ciemnym świecie,
A talent jeden schowan — śmierć go zmiecie —

Trwał bez użytku, choć serce gotowe
Wciąż służyć Stwórcy, a dusza swą mowę
Otwarła przed nim. Chciał Pan skarcić dziecię?
Pracę dnia zadał, lecz światło wziął przecie.
Tak pytam — głupiec. By szemranie owe
Ściszyć, cierpliwość odpowiada: Panu
Nie trzeba ludzkich prac ni własnych darów.
Ten kto na jego jarzmo nie narzeka
Służy mu. On jest król. Toń oceanu
Wielu przemierzy dłań i szmat Obszarów.
Jemu też służy kto stoi i czeka.

Teraz Mierzejewski:

Kiedy rozmyślam w moim
czarnym wielkim świecie
Jakem światło postradał —
nim mych dni połowa
Przeszła — i ten mój talent
który grzech jest chować
Bezużyteczny we mnie:
choć ma dusza przecie
Ugięła się przed Panem
służyć mu gotowa
(Życia obrachunek
boskim składa sądom).
„Czy światło odebrawszy pracy dnia Bóg żąda?"
Pytam. Ale cierpliwość
zagłusza te słowa
Szemrań. Nie potrzebuje,
mówi ona, Pan
Pracy i cnót człowieka.
Toż to jego dary.
Niosący kornie jarzmo
najmilsi mu. Stan
Jego królewski jest.
A rozkaz jego chmary
Tysiączne gna przez lądy
i skroś oceanu.
Ci co stoją czekając
także służą Panu.

„Chmary" to potknięcie. Nawet jednak ostatnia linia wystarczy, żeby przyznać Mierzejewskiemu wyższość. Albo Marlowe. U Pietrkiewicza:

Gdyby poetów wszystkich pióra mogły
Nakarmić czucia i myśli swych panów,
Każdą ich słodycz, co była natchnieniem
Muz, serc, umysłów, sycić — dając lube
Tematy; gdyby wszystka treść niebiańska
Zebrana z onych kwiatów nieśmiertelnych
Poezji...

U Mierzejewskiego :

Gdyby wszystkich poetów, którzy kiedykolwiek
Piękno tworzyli — połączone pióra
Mogły serc słodycz natchnioną wyśpiewać,
Błysk mózgu oddać albo zamyślenie
Na uwielbiany temat. Gdyby mogły
Zmienić uczucia te, przedestylować
Jakoby kwiaty w boską kwintesencję,
Poezję nieśmiertelną...

Tok myśli w pierwszym urywku jest zamącony, niewyraźny, w drugim mocny, energiczny. Pozwólmy sobie na jeszcz jeden eksperyment. Wiersz Eliota ,,Journey of the Magi'' jes zarówno w antologii Mayewskiego (w jego tłumaczeniu) ja u Pietrkiewicza. Początek u Pietrkiewicza, który daje tytu ,,Podróż trzech króli'', brzmi tak :

,,Co za ziąb był przez całą drogę,
Akurat najgorsza pora roku
Na podróż, i to tak długą podróż:
Po wądołach, wertepach, w przejmującą pogodę,
Głucha zima dokoła''.
Wielbłądy miały startą skórę, okaleczone racice,
Kładły się krnąbrne w topniejący śnieg.
Były chwile, że żałowaliśmy
Pałaców letnich na stokach wzgórz, tarasów,
Dziewcząt w jedwabiach, podających szerbet.

Szerbet? Po angielsku sherbet, owszem. Ale po polsk ten napój i słowo rodem z Orientu to sorbet. U Mayewskieg (tytuł : ,,Podróż trzech mędrców'') :

Chłód nam kości oblepiał;
Nic dziwnego, wybraliśmy się w tak długą podróż
W najgorszej porze roku:
Drogi w głębokim śniegu, mroźny wiatr,
Po prostu samo serce zimy.
Wielbłądy, krnąbrne i ciężkie od uprzęży
Kładły się w śniegu.
Były chwile kiedy tęskniliśmy do widoku
Letnich pałaców na wzgórzach, tarasów
Błyszczących w słońcu, dziewcząt w lekkich jedwabiach
Przynoszących nam sorbet.

Ale przecież ten sam wiersz tłumaczył Józef Czechowi Nazwał go ,,Wędrówka trzechkrólowa'' (czemu, temat znawców odcieni polszczyzny). U niego jest tak :

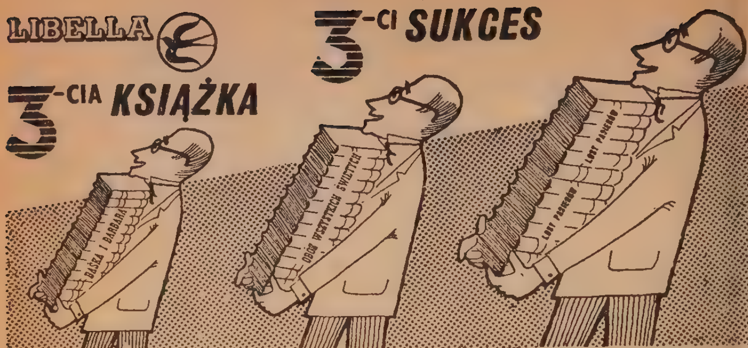
Mroźną mieliśmy podróż.
Toż to najgorsza w roku pora
Na wędrowanie, na tak daleką wędrówkę!
Ta trudna droga, surowa pogoda
Sam środek zimy...

Te wielbłądy. Kulejące, krnąbrne, rozproszone,
pokładające się w wilgotnym śniegu...
Żal nam było niekiedy
letnich pałaców na stokach wzgórz, tarasów,
jedwabistych dziewcząt, co częstowały sorbetem...

Czechowicz bije obu konkurentów bezapelacyjnie. U niego to zmysłowe obrazy: ,,mroźna podróż'', ,,sam środek zimy'', wielbłądy ,,pokładające się w wilgotnym śniegu'', ,,jedwabiste dziewczęta'' co sorbetem ,,częstują''.

Czy znęcam się nad Pietrkiewiczem z jakichś ukrytych względów? Nie, nie cofam wyrazów podziwu dla jego wytrwałości. Ale ukazuje się za wiele książek, które albo, słowami tak lubianego przez Czechowicza ,,Króla Ubu'', trąca się ,,pogrzebaczem fynansowym i do jamy'', albo zbywa się zdawkową recenzją. ,,Antologia liryki angielskiej'' nie jest zapewne przeznaczona dla polskich czytelników za granicą, bardzo byłbym rad, gdybym, mieszkając w Krakowie czy Warszawie, dostał takie dwujęzyczne dzieło. Otóż użyteczność jej jest chyba mała, bo nasza percepcja poezji nie zastyga w jakimś jednym punkcie, przeciwnie, zmienia się, a również w przeszłości odkrywamy coraz to innego. Akademicki wybór plus język nie wypalony ani w tyglu klasycyzmu ani w tyglu awangardy to razem zła rekomendacja. Przekłady poezji zawsze muszą być z o r i e n t o w a n e, to znaczy poeta-tłumacz musi być za czymś albo przeciwko czemuś, za jakimś nurtem w dziejach literatury, za jakąś techniką a przeciwko innej. Jest on współtwórcą stylu swoich czasów (np. rola Byrona niegdyś w Polsce) albo nie jest niczym. Gdyby dało się za granicą ,,przyswajać'' arcydzieła obce bez zaangażowania się w kierunki myśli i stylu, w polską literacką aktualność, życie byłoby zbyt proste.

Czesław MIŁOSZ


LIBELLA
3-CIA KSIĄŻKA
3-CI SUKCES
BAŚKA I BARBARA
OBOK WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH
LOSY PASIERBÓW

Fragment z dziennika

Santiago del Estero

Niedziela

Wczoraj późnym wieczorem dobiłem do Santiago po wielu roztrzęsionych, rozpędzonych godzinach — i naprzód przez zielone niziny Parany, potem przebijając się na wskroś przez całą prowincję Santa Fé, aż wreszcie, (po wielu, wielu kilometrach znaczonych uciekającymi pośpiesznie słupami, gdy pociąg przemykał się gdzieś w pobliżu tego tak tajemniczego dla mnie jeziora Mar Chiquita w północnej Cordobie), rozpoczął się pustynny obszar porosły karłowatymi drzewkami — ta wielka biała plama na mapie, obejmująca dziesiątki czy setki tysięcy kilometrów kwadratowych, a oznaczająca, że tu nie ma żywej duszy pomiędzy odosobnionymi osiedlami. Pociąg mknie. Przez okna wagonu, hermetycznie uszczelnionego ze względu na wszechprzenikający piasek, nie widać nic oprócz tych nędznych drzewek, wyrosłych z piasku, i chudej, trawy. Zapada noc, już nic nie widać, czasem gdy ręką zgaszę blask na szybie majaczą mi się uciekające, wciąż te same, drzewa. Ileż godzin jeszcze tej jazdy i przez jakie okolice? Nie wiem. Zasnąłem.

I wreszcie — Santiago.

Jedno z najstarszych miast w Argentynie. Ufundowane przez Franciszka Aguirre, podobno 23 grudnia 1553 roku. Początki tutejszej historii są mityczne, dalekie i fantastyczne, a nawet szalone — prawie jak sen. W miękkie szczepy indyjskie, zamieszkujące te ziemie — nazywały się one Huries, Lules Vilelas, Guaycurues, Sanavirones — wdarł się zdobywca Hiszpan na początku 16-go stulecia, z głową wrącą od legend, oślepioną marzeniem o złocie i drogich kamieniach. Maniacy i gwałciciele, złoczyńcy i bohaterzy, nieprawdopodobnej odwagi w owym zanurzaniu się w przestrzeń niewiadomą, niestawiającą tamy wyo-

braźni. Czternastu żołnierzy, zamroczonych bajką o miastach drogocennych, odłączyło się od ekspedycji Sebastiana Gavota w forcie Sancti Spiritus i po raz pierwszy zabłądziło w pobliżu Santiago, odkrywając sąsiednią prowincję Tucuman, zwaną dzisiaj ,,ogrodem Argentyny''. Poszukiwał mitycznego skarbu, zwanego ,,skarbem Cezarów'', także Diego de Rojas w r. 1542; a za nim Francisco de Mendoza, w pochodzie do miast baśniowych, które miały zwać się ,,Trapalanda'', ,,Yungulo'', ,,Lefal''; a za nim kapitan Nicolas de Heredia, kapitan Francisco de Villagra i jeszcze z dziesięciu innych. Ale ta względnie niedawna przeszłość jest tu prehistorią, są to mroczne poczynania roztopione w pogmatwanej, nieustalonej lub nieznanej, geografii, w rojowisku plemion koczowniczych, w olbrzymim obszarze chłonnym a nieokreślonym, po którym cwałowała fantazja tych zdobywców, ciemna, uparta, zawzięta... i oderwana od Hiszpanii, za tą wodę olbrzymią jak na innej planecie, tak samopas z koniem jedynie, który stawał się tutaj tworem nieznanym strasznym.

Hotel Savoy, w którym przydzielono mi szpetny pokoik bez okna, z drzwiami na korytarz — w dzień trzeba palić światło. Umyłem się w ,,prywatnej łazience'', która z przyrządów właściwych łazience, posiada tylko kran i prysznic. Kolacja zupełnie zadawalająca, świetna kura w potrawce i karafka czerwonego, gęstego wina.

Poniedziałek

Chcę jeszcze dopisać, że przedwczoraj, zanim poszedłem spać, zdarzyło mi się coś... ale tak mglistego... Nie wiem dobrze, jak to rozumieć i jestem wstrząśnięty... w oczekiwaniu dalszych wydarzeń... temu podobnych.

Po kolacji, spożytej w hotelu, wyszedłem na plac. Siadłem na ławce, zaszyty w drzewach i krzewach, z wielkimi wachlarzami palm nad głową — oszołomiony trochę lekkością strojów gorącej nocy gwieździstej, jej śmiechem, jej obnażonymi ramionami, gdy jeszcze tkwiłem w wilgotnej zimie Buenos Aires, gdzie grzała mnie moja gruba zimowa marynarka! Tak gwałtowna zmiana — tam było surowo i chłodno — a tu zmysłowo i, zdaje się, lekkomyślnie... nagle jak gdybym zanurzył się w Południe (tutaj nazywa się ,,Północ'', bo na południowej półkuli).

Plac kręcił się, jak karuzela, tłumem sobotnim, roześmianym, z którego biły we mnie oczy olbrzymie i czarne, krucze włosy... lśniący śmiech... lekkość taneczna kończyn... głosy wesołe, swobodne i poczciwe... Co to? Co to? Plac jarzy się zębami dalekiej, dalekiej młodzieży... gdy ja jestem nie tu, a gdzie indziej... moje oddalenie (bo jeszcze widzę tłumy na Corrientes i słyszę trąbienie aut) czyniło ich oddalonymi, choć byli tu przede mną. Ale mnie tu *jeszcze* nie było. Patrzyłem, jakbym nie miał prawa — jakbym podglądał...

Cisza dzwoni w uszach. Niesamowita cichość miejsca oddalonego — i wszystkie dźwięki są nieme, jak na dawnym filmie: nic nie słychać. Dźwięk zastygł na progu urzeczywistnienia...

W tej ciszy parada na placu natęża się niemo w objawienie cielesnego przepychu, w oszałamiającą grę oczu i ust, rąk i nóg — a wąż przeciągający roztęcza się pięknościami, jakich dotąd w Argentynie nie oglądałem i, zdumiony, zapytuję siebie: skąd to się bierze tutaj, w Santiago?

A jednocześnie odkrywam, że *tego nie ma,* smak nieobecnooności jest przytłaczający, jestem jak ścięty jakimś nieistnieniem i rozpaczliwie zgubiony w niespełnieniu...

Poniedziałek

Słońce oślepiające i kolorowe, jakby przez witraż przepuszczone, zdawałoby się, że to ono nasyca barwą przedmioty. Blask i cień. Niebieskość natrętna nieba. Drzewa obciążone złocistymi i ogromnymi ,,pomelos'', kwitnące czerwono... żółto... Ludzie chodzą bez marynarek.

Poszedłem do panny Canal Feihoo ulicą, która z jednej strony była czarna od cienia, a z drugiej biała od blasku. To siostra pisarza, który mieszka w Buenos Aires. Starsza osoba, przepojona — to widzę na pierwszy rzut oka — nieufnością z jaką takie gospodynie odnoszą się do potraw restauracyjnych, które ,,nie wiadomo jak są przyrządzane'' i do obieżyświatów, którzy również ,,nie wiadomo jak są przyrządzeni''. Ale bardzo grzecznie przyjęła moją prośbę o ułatwienie kontaktu z miejscowymi literatami. — *Como no!* — powiedziała prędko i schludnie. — Jest ich kilku, nawet wydają pismo, zaraz zatelefonuję... Mój brat widuje się z nimi, ilekroć tu się zjawia.

Wracając starałem się skontrolować moje wrażenia z wczorajszej nocy. Były przesadne! Mnie się przywidziało... Owszem, widuje się tutaj tę ,,ładność'' o którą tak łatwo w Argentynie, jest tego sporo, może nawet więcej niż gdzie indziej... i jest także jakaś indyjska odrębność, koloryt, którego dotąd nie znałem... ale żeby to miało być rewelacyjne... nie, nie jest to żadna rewelacja! Zresztą wieczysty problem *nawiązania kontaktu* z nowym miastem i zapewnienia sobie towarzystwa pochłaniał mnie całkowicie i wytrącał z ekstazy.

Wtorek

Popołudniu rendez-vous z Santucho (jeden z literatów i redaktor pisma ,,Dimension'') w kawiarni Ideal.

Pachnie Wschodem. Co chwila zawadiackie brzdące pakują ci pod nos bilety loteryjne. Potem starzec z siedemdziesięciu tysiącami zmarszczek czyni to samo — pcha ci bilety pod nos, jakby był dzieckiem. Starka dziwacznie wyschnięta w indyjski

deseń wchodzi i pcha ci bilety pod nos. Dzieciak łapie cię za nogę i chce czyścić buty, a inny z przepięknie nastroszoną indyjską czupryną częstuje cię gazetą. Miękka, gorąca, gnąca się cud-dziewczyna-odaliska-huryska oprowadza pod rękę ślepca między stolikami, a ktoś z tyłu trąca cię w plecy : żebrak o twarzy trójkątnej i drobnej. Gdyby do tej kawiarni wlazła koza, muł, osioł, nie zdziwiłbym się.

Kelnerów nie ma. Trzeba samemu się obsługiwać.

Wywiązała się sytuacja trochę upokarzająca, którą trudno mi — jednak — pominąć milczeniem. Szanujący się pisarz nie powinien, zaiste, za często wspominać o *młodzieży,* a ja, obawiam się, w tym dzienniku już wyczerpałem przydzielony mi kontyngent... mając to na uwadze postanowiłem nadal nie tykać tego tematu, jak również tematu urody fizycznej, niemniej kompromitującego. A przecież... Muszę zanotować... bo może w tym kryje się coś...

Siedziałem z Santucho, który jest krępy, o twarzy upartej i oliwkowej, namiętnej, wytężonej wstecz, wkorzenionej w przeszłość — i prawił niestrudzenie o indyjskiej esencji tych stron. Kim jesteśmy ? Nie wiemy. Nie znamy siebie. Nie jesteśmy Europejczykami. Myśl europejska, duch europejski, to obcość, która najeżdża nas, jak ongi Hiszpanie — nieszczęście nasze, że mamy kulturę tego waszego ,,świata zachodniego'', którą nasycono nas jak farbą, i dziś musimy posługiwać się myślą Europy, językiem Europy, z braku własnych indyjsko-amerykańskich, zatraconych treści. Jesteśmy jałowi, bo o sobie nawet musimy myśleć po europejsku!... Słuchałem tych wywodów, cokolwiek może podejrzanych, ale przyglądałem się siedzącemu o dwa stoliki dalej ,,chango'' z dziewczęciem — popijali, on — wermuth, ona — limonadę. Siedzieli plecami do mnie i tylko mogłem odgadywać ich wygląd z pewnych poszlak, jak układ, nieruchoma gra ich członków, owa trudna do opowiedzenia swoboda wewnętrzna ciał zręcznych. I nie wiem dlaczego (czy był to jakiś refleks dalekiej mojej ,,Pornografii'', niedawno ukończonej powieści, czy wynik mego w tym mieście podniecenia), dość że uwidziało mi się, że te niewidoczne twarze muszą być piękne, wręcz prześliczne, i chyba kinematograficznie eleganckie, artystyczne... nagle tak jakoś stało się, jak gdyby tam, między nimi, zawarło się najwyższe natężenie piękności tutejszej, w Santiago... a to wydawało się tym bardziej prawdopodobne, iż, rzeczywiście, sam zarys tej pary, tak jak się przedstawiała z mego miejsca, był tyleż rozbawiony, co luksusowy.

W końcu nie wytrzymałem. Przeprosiwszy Santucha (który rozwodził się nad imperializmem europejskim) poszedłem niby to napić się wody — ale naprawdę żeby zajrzeć w oczy sekretowi, który mnie dręczył, żeby zajrzeć im w twarze — i byłem pewny, że ujawni mi się ten sekret niby zjawa z Olimpu — i w swoim arcywykwincie — i bosko lekki, jak źrebak ! Rozczarowanie ! Ten ,,chango'' grzebał wykałaczką w zębach, coś tam zagadywał do swojej dziewczynki, która wyjadała mu orzeszki

wermuthowe, ale — choć rzeczywiście oboje byli raczej niczego! — nic poza tym — i nic — i nic — tak dalece, iż ja prawie zatoczyłem się, jak podcięty w moim uwielbieniu !

Środa

Zatrzęsienie dzieci i psów !

Nigdy nie widziałem takiej ilości psów — i tak łagodnych! Tu, jeśli pies zaszczeka, to z żartów.

Dzieciaki na czarno roczochrane i podskakujące... nigdy nie widziałem dzieci bardziej ,,jak z obrazka''... i rozkosznych ! Przede mną dwóch chłopaczków — idą obejmując się za szyję i opowiadają sobie sekrety. Ale *jak!* Ach, to ,,jak'' santiageńskie ! Jeden dzieciak pokazuje coś paluszkiem wybałuszonej dziecięcej gromadce. Inny śpiewa uroczyście do patyka, na który zatknął papierek po cukierku.

Wczoraj widziałem w parku : czteroletni brzdąc wyzwał na mecz bokserski dziewczynkę, która o boksie nie miała pojęcia, ale, tęższa i wyższa, młóciła go ile wlezie. A gromadka dwu i trzyletnich malców w długich koszulinach, ująwszy się za rączyny, co pewien czas zaczynała podskakiwać i krzyczeć na jej cześć : — No-na ! No-na ! No-na !

Czwartek

Dziwne powtórzenie sceny przedwczorajszej z Santucho w kawiarni choć w innym wariancie.

Restauracja hotelu ,,Plaza''. Siedzę przy stoliku dr. Mariana Paz, adwokata, który w Santiago godnie reprezentuje majestaty rozlicznych mądrości, zawartych w swojej wielotysięcznej bibliotece; a z nami jego ,,barra'', czyli grupka kawiarnianych koleżków, jeden lekarz, kilku handlowców... Ja, pełen najlepszych intencji, oddaję się konwersacji o polityce, gdy... o!... już mnie przyłapało... tam, w pobliżu, siedzi parka jak z bajki, ona — bukiet drżeń, olśnień, falowań, biała i czarna, zachłanna i chłonna, on — prawie Rudolf Valentino... i toną w sobie, jakby jezioro tonęło w jeziorze ! Znowu ,,belleza''! Ale muszę podtrzymywać dyskusję przy moim stoliku, w której to zupie pływają truizmy południowo amerykańskich nacjonalizmów, zaprawione nienawiścią do Stanów i panicznym lękiem przed ,,zakusami imperializmu'', tak, niestety, muszę coś odpowiadać temu facetowi, choć wpatruję się i wsłuchuję w dziejącą się nieopodal piękność — ja, niewolnik, zakochany na śmierć i namiętny, ja, artysta... I ponownie zapytuję siebie, jak to może być iż takie cuda siadują w tych restauracjach krok od... no, od tej Argentyny starszej... gadatliwej... ,,Zawsze domagaliśmy się moralności w stosunkach międzynarodowych''... ,,Imperializm Jankesów w porozumieniu z brytyjskim usiłuje...'' ,,Nie jesteśmy już ko-

lonią!"... To wszystko wygłasza (nie od dzisiaj) mój oponent, ja zaś nie mogę zrozumieć, nie mogę zrozumieć, nie mogę zrozumieć... ,,Dlaczego Stany udzielają pożyczek Europie, nie nam ?...".

,,Historia Argentyny wykazuje, że godność ceniliśmy ponad wszystko!..."

Ach, przyjemny byłby to naród, gdyby ktoś wypatroszył go z frazeologii; zaprawdę, nie zazdroszczę tym burżujom ich losu, który polega na siedzeniu u siebie, jak u Pana Boga za piecem i wygadywaniu na Jankesów, że nie dają dość forsy, tudzież na jęczeniu, że imperializmy ich prześladują i nie dają żyć! Straszna, zaiste, jest ich krzywda, okropne te ich nieszczęścia! W żadnej z wojen światowych nie wzięli udziału — za to zarobili na nich kupę dewiz — żyją sobie, 20 milionów, na tej wspaniałej estancji, wielkiej jak pół Europy, nic im nie grozi, nawet armii nie potrzebują utrzymywać, bo te przeklęte Stany jak biły się za nich z Hitlerem (który miał chrapkę na Argentynę), tak i teraz bronią ich przed inwazją międzynarodowego komunizmu, wspartego przez Rosję (Argentyńczyk-komunista niechaj to zdanie przeczyta w wersji, że Rosja broni przed Stanami). Wszystko dzieje się poza nimi, a oni tylko przyglądają się, jak z loży 1-go piętra. Bardzo dobrze! Winszuję! Żyjcie sobie wygodnie, bezpiecznie i zdrowo, ale wyleczcie się z jednej pomyłki: że jesteście krajem wyzyskiwanym i upośledzonym, gdy w rzeczywistości jesteście ,,estanciero" wśród narodów, należycie do ,,oligarchii", do klasy uprzywilejowanej, jesteście burżujem... i gdyby tak świat wziął zanadto na serio wasze kazania o sprawiedliwości i moralności, kto wie czy nie skończyłoby się to uszczupleniem waszego tłustego stanu posiadania.

To im mówię, rozdrażniony — ale cóż mnie to obchodzi! Tam, przy tamtym stoliku, tam jest Argentyna, która mnie uwiodła — cicha, a mająca brzmienie wielkiej sztuki, zdolna olśnić — nie, nie tutaj obok, ta rozpolitykowana. Dlaczego nie siedzę tam, z nimi? Tam moje miejsce! Ale... co się dzieje? Nie. Nic się nie stało. Nic, do tego stopnia, iż do tej chwili nie wiem, jak i co takiego dotarło do mnie od nich... może urywek słowa jakiego... może akcent... spojrzenie... skrzywienie warg... ale coś przeniknęło z nich do mnie i nagle zostałem poinformowany: tam, przy tamtym stoliku, nie działo się nic, nic, nic, poza zwykłym pociągiem płciowym, wynikającym z różnicy organów płciowych. Piękność była zbędna. Ta cała fontanna, bijąca z nich — dodatek, którego nie potrzebowali...

Sobota

Naprzód zanotuję fakty.

Siedziałem na ławce, w parku, a obok mnie ,,chango", prawdopodobnie z Escuela Industrial — i jego starszy towarzysz.
— Gdybyś poszedł na k... — tłumaczył ,,chango" towarzyszowi—

musiałbyś wybulić co najmniej pięćdziesiątaka. No to mnie należy się tyle samo!

Jak mam to rozumieć? Przekonałem się już, że w Santiago wszystko może być rozumiane dwojako — jako krańcowa niewinność, lub krańcowe wyuzdanie — i nie zdziwiłbym się, gdyby zasłyszane słowa były niewinne, jak zwykły dowcip uczniowskiej rozmowy. Ale nie jest wykluczone coś bardziej perwersyjnego. I nie jest nawet wykluczona ta arcyperwersja, że, mając znaczenie, jakie im przypisywałem, były jednak, pomimo to, niewinne... a w takim razie najgłębsza skandaliczność polegałaby na najdoskonalszej niewinności. Ten „chango", piętnostolatek, był najwidoczniej „z porządnej rodziny", oczy tryskały mu zdrowiem, życzliwością i wesołością, nie mówił tego rozpustnie, a z całym przekonaniem osoby, broniącej słusznego prawa. I zresztą śmiał się... ten śmiech tutejszy, bynajmniej nie nadmierny, ale spowijający...

Twarz szczupła, mieniąca się, barwna, śmiejąca...

Czy ja nie daję się nabierać pozorom nieistniejącego zepsucia? Trudno roztrzygnąć cokolwiek... tu wszystko staje się gąszczem, w którym błądzę...

Ta dziewczynka, zaledwie odrosła od ziemi, idąca z tym żołnierzem z 18-go pułku piechoty — czy to taki spacer idyliczny, czy... Dlaczego marzą mi się orgie? Co mnie upoważnia do takich podejrzeń w miasteczku tak poprawnym? Cóż to za ekscytacja wyobraźni?

Inny *czangito*, zaprzyjaźniwszy się ze mną w pięć minut, opowiedział mi jak, niedawno ,umierał mu ojciec — i, jeśli to opowiadał (jakby się zdawało) aby mnie rozerwać i zabawić tak ciekawym opowiadaniem, to przecież świadczyłoby że jest poczciwym i gościnnym chłopcem... ale dowodziłoby także, iż jest potworem...

Potworem? A jednak wszystko to — bez grzechu. Niewinne.

Przejrzyste, kolorowe i oślepiające światło słoneczne wszędzie, w plamach między drzewami, w strugach i kaskadach świetlnych między murami i koronami drzew. Jeśli dotąd nie powiedziano, że podróżowanie jest sprawą erotyczną, ja to niniejszym wygłaszam. Kościoły, muzea, place, parki? Skąd, bzdura! Póki nie dotarłeś do ciał, do żywej cielesności miasta, gnębi cię ostracyzm — nie jesteś jednym z nich! I otóż ja, rozpalony, wałęsam się po ulicach, a zewsząd wyłaniają się pokusy i czarne oczy są powolne... Ja! W moim wieku! Katastrofa! Ale właśnie z powodu wieku mojego garnę się do tego szału, idę mu naprzeciw — bo oczekuję, że wskrzesi mnie, jakim byłem, w dawnej mojej twórczej zmysłowości! Przeżywam to, jak powtórzenie. Z otwartymi ramionami przyjmuję powrotną falę grzechu, który był mi natchnieniem, który będzie natchnieniem — bo sztuka jest z grzechu! Tak, tak, wiem to w tej chwili na pewno, sztuka to grzech!

Tylko że... Tu grzechu nie ma!

Dobrotliwość tego Santiago. Dobroduszność. Spokojnie uśmiechnięta. Ośmioro dzieciaków i trzy psy wokół palmy. Paniusie załatwiają sprawunki. Fioletowym lub czerwonym kwieciem pokryte drzewa wychylają się zza murków, a środkiem jezdni sunie ,,motoneta''. Te spojrzenia jasne, uczciwe, indyjskich oczu. Chmary rowerów, a na nich, z małpią zręcznością uczepieni siodełek, ,,changos''. Zachodzi słońce. Ulice zamykają się dalekim krajobrazem ciemnej zieleni.

Na ławce siedzi ,,ninia'', jak z obrazka kibić, pęcina, fala gładka, lśniąca włosów... ale, oprócz tego, jest pięknie i dziwnie podługowata... skąd jej się to wzięło, z jakiej kombinacji ras... amant zaś leży na ławce z głową na jej kolanach, patrzy w niebo, ma białą wiatrówkę i twarz jakby w trójkątach, młodopiękną. Bez grzechu. I gdyby nawet oddali się zbrodni na tej ławce, byłoby to jak w innym wymiarze. Ton zbyt wysoki, zbyt napięty, abym mógł go usłyszeć? Cisza.

Poniedziałek

Jestem zdruzgotany tą młodością, która nie chce wibrować. Teraz dopiero odkrywam całą prawdę tych słów o Argentynie, w moim *Dzienniku* z r. 1954.

,,Nie należy zresztą mówić o arcydziełach, gdyż to słowo jest w Argentynie nie na miejscu — tu nie ma arcydzieł, są tylko dzieła, tu piękność nie tylko nie jest niczym anormalnym, lecz właśnie stanowi ucieleśnienie zwykłego zdrowia i przeciętnego rozwoju, jest triumfem materii, nie zaś objawieniem Boga. I ta zwykła uroda wie, że nie jest niczym nadzwyczajnym, wskutek czego wcale się nie ceni''.

I teraz widzę, że Santiago i zapewne cała północ Argentyny, gorąca, indyjska, jest rezerwatem tej ,,ładności'' (tak to lepiej nazwijmy) — która już mnie dręczyła w Buenos Aires i w ogóle na południu kraju... ale tam mniej argentyńska, bo zmieszana z innymi, napływowymi, elementami.

Przeklęte ich ciało łatwe i swobodne! Czy to spadek po nagości szczepów, które tak łatwo poddały grzbiety pod bicz? Gdy skarżyłem się w rozmowie z Santucho, że w tym powietrzu wartości nie dźwięczą, nie błyszczą należycie, ten mi odpowiedział:

— To zemsta Indianina.

— Jaka zemsta?

— A tak. Przecież pan widzi, ile Indianina siedzi w nas wszystkich. Te szczepy Huries i Lules, tu osiadłe, zostały zdegradowane przez Hiszpanów do roli niewolnika, sługi... Indianin musiał się bronić przed przewagą pana — żył tylko myślą, żeby się nie dać tej wyższości. Jak się bronił? Wyśmiewając wyższość, wyszydzając pańskość — wykształcił w sobie zdolność wykpienia wszystkiego co miało pretensję do wybicia się i panowania — domagał się równości, przeciętności, w każdym wzlo-

cie, w każdej iskrze dostrzegał żądzę dominowania... I ma pan rezultat. Teraz tutaj wszystko jest takie NORMALNE.

Myli się jednak krępy, uparty, santiageński kacyk. Tu wszystko dzieje się bez grzechu, ale i bez pośmiewiska, kpiny, złośliwości, ironii. Żarty są poczciwe i w samej tonacji języka wyczuwa się dobroć. Tylko że... Tajemnicą Ameryki Południowej pozostanie, że poczciwość, dobroć, zwykłość, stają się agresywne i nawet niebezpieczne! Ja do tego doszedłem, że gdy z boku ugodzi mnie przypadkowo ta dobroduszność śmiechem swoim, czy też napatoczą mi się te bezmierne, łagodne, oczy niewolnika, zaczynam czuć się niewyraźnie jak gdybym spotkał się z zamaskowaną groźbą.

Wtorek

Osły... Kozy... Często przypominają się Włochy, lub południowe Pireneje — w ogóle południe.

Stąd myśl, iż może w rozprawie mojej z tą Południową Ameryką więcej jest lęków nordyka, niż czego innego. Ten szok — zderzenie północy z południem, które już tyle razy dało mi się we znaki w Europie. Gdyż na północy natura jest surowa i odpychająca, człowiek traktuje ją, jak wroga, a wskutek tego i z własną fizyczną naturą nie utożsamia się, jest ona dla niego jakimś alter ego, czuje się on ,,transcendentalnie'' i ,,metafizycznie''. A tutaj nie znają metafizyki, tu wszystko fizyczne; i jest, jakie jest, identyczne z sobą, tu panuje zgoda na ciało...

Ale ten cały konflikt Południa, jako cielesności, z Północą, jako duchem — jakiż nieprawdziwy ! Czas już wyjawić potworną zmysłowość Północy. Ja, na przykład... czyżbym nie zgadzał się na ciało?

Pora przystąpić do pewnych poufnych zwierzeń : jestem śmiertelnie zakochany w ciele. Ciało dla mnie jest prawie decydujące. Żaden duch nie okupi brzydoty cielesnej i człowiek fizycznie niepociągający będzie dla mnie zawsze z rasy potworów, choćby to był Sokrates!... Ach, jak bardzo potrzebuję tego uświęcenia poprzez ciało ! Ludzkość dzieli się dla mnie na część cieleśnie pociągającą i część odpychającą, a granica jest tak wyraźna, iż to nie przestaje mnie zdumiewać. I, choć mogę kochać brzydotę, nigdy nie byłbym w stanie *kochać się* — to znaczy, wciągając siebie samego w krąg oczarowania — bez tych ramion boskich, które obejmują i poufalą się... Jeszcze jedno i bardziej poufne uczynię zwierzenie : największą dumą moją, jako artysty, nie jest wcale przebywanie w królestwie Ducha, a właśnie to, że nie zerwałem, mimo wszystko, z ciałem; i bardziej chlubię się tym, że jestem zmysłowy, niż tym, że znam się na Duchu; i namiętność moja, grzeszność, ciemność, bardziej mi są cenne, niż wszystkie lampy moje, całe światło. Największym osiągnięciem życia mojego to nie tych kilka książek, w które sporo

wysiłku włożyłem — a to jedynie, to po prostu, że nie zerwałem z „nieślubną miłością"... Ach! Gdyż być artystą to przecież oznacza być śmiertelnie zakochanym, być zakochanym nieuleczalnie, namiętnie, ale także dziko i bez ślubu... Dość. Po co te konfidencje? I to jeszcze przed polską publicznością?... Ale zależy mi na stwierdzeniu tego, i w jaskrawej formie, bo sztuka na ogół wstydzi się tych swoich związków z ciałem. A mnie zależy żeby wiedziano: artysta jest bardziej tym co uzmysławia ducha i go wciela, niż tym co cielesność czyni poddaną duchowi. I jeśli pierwszym zadaniem artysty jest — uduchowić, to zaraz nasuwa się drugie, trudniejsze, bo bardziej żywe — uzmysłowić. Wcielić. „A słowo ciałem się stało..." Któż wyczerpie całą drastyczność tych słów!

Czwartek

Dlaczego przyjechałem do Santiago?

Czy żeby uniknąć wilgotnej zimy w Buenos Aires, ze względu na kiepski stan moich oskrzeli?

A może losy skierowały mnie tutaj w poszukiwaniu decydującej rozgrywki z pewnymi demonami Argentyny — Ameryki Mnie dobrze znanymi? I dlatego zjechałem do tego „rezerwatu" gdzie ukrywa się sama esencja argentyńskości (lub jej karykatura)?

Być może jednak... Kto wie, czy mój biograf po wielu latach nie będzie mógł napisać:

„Witold Gombrowicz wybrał się do Santiago del Estero żeby uniknąć wilgotnej zimy w Buenos Aires. Ujawniło się jednak niebawem, że zdrowie było właściwie pretekstem, a prawdziwy utajony cel podróży był inny. Gombrowicz, zaszachowany nadciągającą starością, szukał gwałtownie ratunku — i wiedział, że jeśli w ciągu najbliższych kilku lat nie zdoła *nawiązać z młodością,* nic nie będzie w stanie go uratować. A zatem naglącą sprawą życia lub śmierci było znalezienie jakiegoś nowego, dotąd nieznanego, związku z ową fazą suwerenną życia wstępującego... pomysł wariacki, bo dyktowany karkołomną sytuacją, która nie dawała do wyboru żadnej innej drogi wyjścia. I w pierwszej chwili wydało się naszemu podróżnikowi, że kto wie czy najbardziej fantastyczny sen nie będzie do urzeczywistnienia, tak dalece Santiago okazało się potulne i łaskawe... łatwe... Wkrótce jednak ta łatwość miała pokazać zęby... zresztą białe!"

Witold GOMBROWICZ

Archiwum polityczne

Pius XII

Pontyfikat Piusa XII był bardzo długi — trwał lat 19 i pół. Jest wiele osób duchownych, wielu prałatów Rzymskiej Kurii, którzy uważają, że długie panowania na Stolicy Piotrowej są niebezpieczne dla Kościoła : wytwarzają się wówczas pewne koterie, które uzyskują wpływ zbyt wielki na starzejącego się z natury rzeczy Papieża, w całej Kurii pojawia się pewna jakby skleroza. Co 10 lat powinien nowy Papież obejmować Stolicę Apostolską — mówią zwolennicy tego poglądu. Trudno zaprzeczać, że w długich pontyfikatach pierwsze lata były na ogół dla Kościoła pomyślniejsze od ostatnich.

Pius XII objął rządy w Kościele w chwili dramatycznej, w momencie, gdy wybuch wojny światowej wisiał w powietrzu i cały porządek europejski, z takim trudem ustalony w Wersalu, wyraźnie się załamywał. Pius XII był dyplomatą : była to i jego siła i jego słabość. Siła — bo potrafił uniknąć tych zatargów frontowych, które, wprawdzie przysparzając Kościołowi chwały i męczenników (jak np. w zatargu z Tudorami w Anglii), przynoszą jednak per saldo nieraz smutne schizmy i odstępstwa od wiary. Słabość — bo wśród wiernych, podlegających prześladowaniom, kunktatorstwo, dyplomatyzowanie, przemilczanie sprawia często wrażenie oschłości i osłabia ufność w mądrość i opiekę Stolicy Apostolskiej.

Polityka Piusa XII w okresie wojny wydała i jedne i drugie owoce. Dyplomatyzowanie z Mussolinim może w ostatecznym rachunku wyszło Kościołowi na dobre : w każdym razie, Watykan uniknął najgorszego. Dyplomatyzowanie z Hitlerem nie przyniosło Kościołowi żadnych korzyści, ani w samych Niemczech ani w krajach podbitych, nie zmniejszyło o jotę potwornych prześladowań i ludobójstwa — a niewątpliwie zadało ciężki wstrząs

moralny dziecinnej ufności, z jaką od wieków ludy Europy Środkowej darzyły Rzym papieski.

Najpiękniejszym momentem osobistym w życiu zmarłego Papieża było jego gorące wystąpienie w obronie Rzymu. On go ocalił od bombardowania i od panowania hitlerowskiego terroru, po ucieczce króla i rządu. Przez rok, w najcięższych warunkach, Papież był de facto władcą URBIS, i przez krótką chwilę odnowił wielkie tradycje Grzegorzów i Leonów, broniących ruin stolicy Cezarów przed barbarzyńcami.

Po wojnie Pius XII dokonał kilku pamiętnych posunięć. Pierwszy od stuleci zdecydował się na powołanie większości nie-Włochów w Kollegium Kardynalskim, nadał Watykanowi znacznie bardziej międzynarodowy, nie-włoski charakter, wykorzystał nowoczesne możliwości techniczne : radio, telewizję, masową propagandę. Czy w tym kierunku nie przesadził, wolno mieć wątpliwości. Nawiasem mówiąc, trzeba ubolewać, że reformami swymi nie objął „Osservatore Romano", które pozostało pismem aż zbyt wyraźnie trącącym myszką. Ważniejszy byłby zarzut, że w tych wysiłkach zwrócenia na Kościół uwagi zmarły Ojciec św., może mimo woli, może nieświadomie, zbyt jaskrawo skoncentrował wszystkie światła na osobie Papieża robiąc z niego omalże atrakcję polityczno-sensacyjną, jaką od dawna już stali się prezydenci U.S.A. i królowie angielscy. Dla ludzi myślących, heliocentryzm watykański, tak forsowany za ostatniego pontyfikatu, jest przedmiotem troski i niepokoju. Kościół — to jest coś nierównie większego od Papiestwa. Rola biskupów, zakonów, poszczególnych kapłanów, świątobliwych mężów i kobiet została w ostatnich czasach w życiu Kościoła niebezpiecznie pomniejszona.

Pius XII potrafił również po cichu poprzeć rozwój i nawet rozkwit demokracji chrześcijańskich, które, z ugrupowań marginesowych przed wojną, stały się w Zachodniej Europie prawie że armaturą nowoczesnych demokracji, zwłaszcza we Włoszech i w Niemczech Zachodnich. Odseparowując zdecydowanie Kościół od zmurszałych form monarchicznych, od najgorszych form kołtuństwa i od udziału w krucjatach w obronie własności prywatnej Pius XII na pewno postępował w sposób światły. Tak samo wsparł on zdecydowanie, i częściowo skutecznie, ideę Zjednoczonej Europy. Na Zachodzie istnieją dane, by go traktować jako wybitnego Papieża.

Od czasu choroby w 1954, kiedy znajdował się o krok od śmierci, Pius XII wyraźnie stracił zdolność torowania i jasnego kreślenia nowych dróg dla polityki kościelnej. Ten upadek sił i twórczej myśli objawił się w podejściu do spraw socjalnych

i do problemu wojny atomowej : wśród gąszczu zastrzeżeń, Pius XII zgubił się zupełnie i w końcu nie zadowolił nikogo. A jednak, w tej właśnie sprawie ludzkość chętnie by szukała wskazówek w odwiecznej mądrości Stolicy Piotrowej.

Niefortunną wreszcie była polityka Piusa XII wobec świata za żelazną Kurtyną. Za życia Stalina, kiedy nie było na to żadnych widoków, Papież jakby szukał modus vivendi ze światem komunistycznym. W ostatnich latach, kiedy te możliwości bądź co bądź wzrosły, odnosił się do możliwości ustalenia jakichś form współżycia z krajem za Żelazną Kurtyną niechętnie, prawie że obojętnie — jakby chodziło tu o sprawy drugorzędne, które wolno podporządkowywać choćby nawet konsyderacjom wyborczym we Włoszech. Ale jak już mówiliśmy, ostatnie lata pontyfikatu Piusa XII były pod znakiem jego choroby i osłabienia sił twórczych. W powyżej wymienionych zagadnieniach, jak i w wielu innych, jest już najwyższy czas na jakieś nowe powiewy, nowe inicjatywy.

Następca Piusa XII stanie wobec olbrzymich zadań. Cały świat chrześcijański będzie zasyłał modły do Wszechmocnego Boga, by Swego Namiestnika wsparł i prowadził na tej ciężkiej, i oby nie męczeńskiej drodze.

Kronika angielska

DRUGI ,,CUD NAD WISŁĄ''

Każdego niemal dnia dostaję wycinki z prasy krajowej, dotyczące naszego miesięcznika. Czego tam nie ma! Jakiś pan (jaszcz) w ,,Trybunie Literackiej'' napisał felieton pod obiecującym tytułem : ,,Kultura i sieczka''. Sieczka w ,,Trybunie Literackiej'' owszem jest, tylko z tą kulturą ubożuchno. Ale cóż ma do powiedzenia obywatel Jaszcz ? Posłuchajmy :

> ,,Rozgoryczony niepowodzeniem swego planu tworzenia socjalistycznej dywersji nad Wisłą — p. Juliusz Mieroszewski dał się ponieść nerwom...''

I jak nam w ,,Kulturze'' nie ma przewracać się w głowie? Jaszcz obwieszcza na łamach oficjalnej trybuny, że oto wydarzył się drugi ,,Cud nad Wisłą''. Karnym szeregom partyjnych towarzyszy powiodło się unicestwić socjalistyczną dywersję p. J. Mieroszewskiego. Mamy nowe święto państwowe i nową rocznicę.

Bądź tu człowieku cichy i skromny. Anim się obejrzał jak wyrosłem — ni z soli ni z roli — na potentata, który z dzikich pól Turnham Green zagraża partyjnemu władaniu nad Wisłą.

REALIZM A KOLABORANCTWO

Nie ma dla nas ucieczki od wielkiej tematyki — od ciężkiej literatury, od wielkich spraw. Tylko wielkie, okrzepłe w wygodzie i w bezpieczeństwie narody stać na luksus trywialnej tematyki. Polski publicysta musi ustawicznie powracać do spraw fundamentalnych. Musi i niżej podpisany.

Redacja „Merkuriusza" udostępniła mi artykuł nadesłany z Kraju — podpisany pseudonimem „Powiślak". Artykuł poświęcony jest niemal w całości krytyce politycznych wypowiedzi „Kultury".

Różnica między nami a „Powiślakiem" sprowadza się do prostej sprawy. My uważamy, że nie wolno biernie godzić się na ustrój, który jest sprzeczny z wolą większości Polaków, nawet jeżeli w danej sytuacji nie byłoby alternatywnego rozwiązania. „Powiślak" reprezentuje „credo" wszystkich kapitulantów, że słuszne i moralnie usprawiedliwione jest tylko to, co aktualnie jest możliwe. I tylko to, co aktualnie jest możliwe, zasługuje na miano realizmu. Gdyby wszyscy Polacy byli tej opinii, nadzieje na zdemokratyzowanie ustroju Polski trzeba by pogrzebać raz na zawsze. Bo warunkiem zasadniczym jakiejkolwiek zmiany w kierunku ku demokracji — są przekonania demokratyczne większości. Demokracja odrodzi się w Polsce przy sprzyjających okolicznościach tylko wówczas, jeżeli Polacy będą tego chcieli. Innymi słowy, opinia demokratyczna jest pierwszym krokiem i nieodzownym warunkiem na drodze ku reformie demokratycznej.

Fakt, że obecny ustrój jest dziś jedynym możliwym nie oznacza, że jest to ustrój z wszystkich możliwych najlepszy. „Powiślak", jak wszyscy kolaboranci szukający moralnego usprawiedliwienia dla swojej postawy — identyfikuje zrozumienie przez ogół społeczeństwa obecnej sytuacji z akceptacją konsekwencji wynikających z tejże sytuacji. Większość Polaków w Kraju uznaje *nie* komunizm, tylko uznaje rację stanu, uniemożliwiającą w chwili obecnej odrzucenie komunizmu. To jest wielka i zasadnicza różnica. Jest coś obrzydliwie przewrotnego w interpretowaniu uznania przemocy i konieczności za dobrowolną zgodę. Cała oficjalna propaganda sowiecka w odniesieniu do ujarzmionych narodów oparta jest na tym fałszu.

Realizm a kolaboranctwo to są dwie rzeczy różne. Co to jest polityka realna? Polityka realna to jest przede wszystkim polityka własna. Z kolei polityka własna to jest polityka, za którą opowiada się większość społeczeństwa.

W różnych okresach historycznych byliśmy pozbawieni możliwości prowadzenia własnej a więc realnej polskiej polityki. W tych okresach musieliśmy się zadawalać polityką akomodacji, to jest polityką przystosowania. Polityka akomodacji jest zawsze kompromisem i to kompromisem dyktowanym interesem nie polskim lecz jednego z naszych potężnych sąsiadów. Oczywiście polityka akomodacji jest wynikiem klęski a nie zwycięstwa.

Każdą politykę a więc i politykę akomodacji można prowadzić mądrze lub bezsensownie. Jest obowiązkiem każdego Polaka w Kraju wykorzystać w pełni możliwości jakie daje polityka akomodacji w celu maksymalnej rozbudowy potencjału sił narodowych tak w sensie gospodarczym jak kulturalnym, naukowym itd. To nigdy nie jest kolaboranctwo. Kolaboranctwo zaczyna się od momentu gdy dla własnej korzyści — czy z własnej głupoty — zaczynamy przekonywać siebie i innych, że klęskę należy przyjąć jako stan normalny i trwały. Gdy raz stanie się na tym stanowisku wszystko inne idzie już gładko. Politykę akomodacji przemianowuje się na polską politykę narodową i ogłasza się, że ponieważ jest to jedyna polityka możliwa więc tylko ta polityka jest realna i tylko ta polityka jest słuszna.

Kolaboranctwo jest kwestią postawy. Załóżmy dla przykładu, że Polska nigdy nie odzyska niepodległości. Przyjmując to założenie musielibyśmy oczywiście uznać, że wszystkie polityczne rozważania „Kultury" są tylko stekiem pobożnych życzeń. Ale nawet i wówczas „Powiślak" nie przestałby być kolaborantem a „Kultura" niepodległościowym pismem. Bo nawet wówczas, kiedy dążenie do niepodległości byłoby tylko pobożnym życzeniem — to niemniej status satelicki pozostałby statusem satelickim, a polityka akomodacji tylko polityką akomodacji. Kolaboranci sądzą, że wystarczy wykazać iż polityka niepodległościowa w danym momencie jest nierealna — by tym samym udowodnić moralną i polityczną słuszność ich stanowiska. Tymczasem choćby w Europie Wschodniej nic się nie zmieniło przez 150 lat — to i wówczas moralna i polityczna racja będzie po stronie Polaków dążących do niepodległości.

Można być kolaborantem siedząc za biurkiem w Londynie i można nie być kolaborantem na stanowisku ministra PRL. Przed pierwszą wojną światową mieliśmy w służbie zaborczej na wysokich stanowiskach Polaków kolaborantów i nie kolaborantów. I wówczas różnice sprowadzały się do tego samego problemu, to jest uznania klęski zaboru za stan trwały, nieodwracalny i definitywny. Gdy się zaakceptuje tego rodzaju orientację to trzeba polski patriotyzm i polskie interesy przykrawać do wymiarów austriackiego lojalizmu.

„Polityka niepodległościowa" jest określeniem, które tak na emigracji jak i w Kraju zostało zdewaluowane przez pompierów politycznych, operetkowych legalistów, polskich Czang Kai Szeków i innych stypendialnych entuzjastów polityki „liberation".

Grupa „Kultury" polityki niepodległościowej nie wiązała nigdy z nadziejami wojny atomowej. Nigdy również przez politykę niepodległości nie rozumieliśmy powrotu do form ustrojowych sprzed 1939 roku. Zdajemy sobie sprawę z faktu, że w epoce wielkich związków ponadpaństwowych narody małe i średnie nie będą już nigdy w pełni suwerenne. Niepodległość, to jest wolność tak wewnętrzna jak i zewnętrzna. W tym zrozumieniu niepodległość jest kwestią stopnia.

Los środkowo-wschodniej Europy jest funkcjonalnie zależny od przebiegu konfliktu rosyjsko-amerykańskiego. Ten konflikt jest jeszcze ciągle w fazie *początkowej*. Jeżeli nie ma być wojny, wcześniej czy później musi dojść do ustalenia pewnych form *modus vivendi*. Mogą to być koncepcje pasa neutralnego — stref odatomizowanych — czy takich lub innych form „disengagement". Nie chodzi przecież tylko o Europę Wschodnią ale o cały szereg obszarów „wysokiego napięcia".

Istotą naszej postawy i w związku z tym polityki jest przeświadczenie że gra nie jest skończona. Osobiście szanuję decyzję Cata-Mackiewicza wy rażoną publicznie. Doszedł do wniosku, że na emigracji wyczerpał wszys kie możliwości i wrócił do Kraju. My jednak stoimy na stanowisku, że p pierwsze, możliwości nie są wyczerpane, a po drugie, że na kapitulac jest zawsze czas. Gdybyśmy kiedyś doszli do przekonania, że nie m żadnych szans wydobycia Polski spod jednostronnego, imperialistyczneg nacisku Rosji i że jedyną rozsądną polityką jest akomodacja w ramac bloku wschodniego — wówczas zamknęlibyśmy „Kulturę" i wrócili na Wisłę. Oczywiście wrócilibyśmy nie jako politycy tylko jako repatrian bez zawodu, bo politykę akomodacji robić musi inny garnitur.

Ale u podstaw sporu między nami a pewnymi Polakami w Kraju le jeszcze inny problem. Mam tu na myśli nie członków partii, którzy odnos się do nas wrogo ze względów politycznie zrozumiałych. Wyłączam równi na moment z pola widzenia apostołów-kolaborantów typu „Powiślaka" Chodzi mi o uczciwych Polaków, pracujących z sensem i z dużą cywil odwagą. Takich Polaków w Kraju są miliony. Do takich ludzi nale Stefan Kisielewski.

Osobiście nie miałem i nie mam wątpliwości, że Polacy tej katego robią doskonałą robotę w Kraju, że są tam nieodzowni i że ciąży nich może większa odpowiedzialność niż sami są tego świadomi. Z strony emigracji Polacy ci liczyć mogą tylko na sympatię i uznanie.

Jest tym dziwniejsze, gdy ci ludzie z jakimś gorączkowym niepokoj usiłują nas przekonać, że nie tylko to co my robimy jest bez sensu — a że cel który nam przyświeca jest fałszywym księżycem. Jest bowiem tyl jeden prawdziwy księżyc — to jest Sputnik.

My nie mamy wątpliwości, że ludzie ci są potrzebni nad Wisłą. Z stanawiający jest natomiast fakt, że panowie o których mowa — zd się szukać dodatkowej afirmacji słuszności swojej postawy w podejrza bezsensownej krytyce emigracji. Zilustrujmy rzecz przykładem. Nie ul dla mnie wątpliwości, że gdybym któregoś dnia wylądował w Warszaw i oświadczył, że wróciłem na stałe — Kisielewski, Cat-Mackiewicz i se innych mniej utalentowanych rodaków tej szkoły myślenia — uważało iż mój powrót jest dodatkową afirmacją słuszności ich poglądów.

Odwrotnie, gdyby Kisielewski „wybrał wolność" w Londynie osobiście uważałbym, że popełnił katastrofalny błąd. My nie potrzebuje żadnych dodatkowych dowodów, by samych siebie upewnić o słuszności szego postępowania. Kisielewski potrzebny jest w Krakowie i w W szawie a my potrzebni jesteśmy w Paryżu i w Londynie. On ma ra i my mamy rację. Te dwie postawy i sytuacje nie tylko się nie wyklucz ale się uzupełniają.

Cat-Mackiewicz w liście do Redaktora „Kultury" daje wyraz nadz że Polacy na emigracji dojdą wreszcie do przekonania, że „rzucim zie skąd nasz ród" nie jest żadnym programem.

Cat nigdy nie był emigrantem. Był premierem rządu polskiego exile" — politykiem i działaczem na obczyźnie, ale nigdy emigrant Tym tylko można wytłumaczyć fakt, że podobnie jak Kisielewski nie ro mie sytuacji Polaków zagranicznych.

Gdyby osiem milionów Polaków zagranicznych posłuchało apelu C i runęło ławą do konsulatów PRL domagając się repatriacji — następ

narodowy dramat. Cat w tym miejscu odpowiedziałby, że powinni wrócić tylko pewni ludzie. Otóż problem dotyczy tych pewnych ludzi.

Cat-Mackiewicz wrócił do Kraju bo był politykiem i pisarzem krajowym czasowo przebywającym zagranicą. Ale nasza sytuacja jest inna. My mamy dwie lojalności — lojalność w stosunku do Polski i lojalność w stosunku do wielomilionowej Polonii zagranicznej. ,,Kultura'' nie jest tygodniczkiem wydawanym w kilkuset egzemplarzach w Londynie czy w Paryżu, lecz obejmuje swym zasięgiem pięć kontynentów i 58 krajów polskiego osiedlenia. Nie jesteśmy pismem Polaków we Francji czy pismem Polaków w Wielkiej Brytanii, lecz pismem Polaków w świecie. Byłoby naiwnością nie doceniać pozycji ,,Kultury'' jako jednego z głównych opinio-twórczych organów Polonii zagranicznej.

Błąd jaki popełniają w stosunku do nas zarówno dygnitarze partyjni jak i pewni pisarze krajowi — polega na tym, że wydaje im się, iż ,,Kultura'' jest małą grupką emigracyjnych intelektualistów zawieszonych w powietrzu. Tak nie jest. ,,Kultura'' to nie tylko kilku panów w Maisons-Laffitte, lecz jeszcze tysiące naszych Czytelników we wszystkich krajach polskiego osiedlenia. Kim są nasi Czytelnicy? Czytelnikami ,,Kultury'' są ludzie, którzy się liczą — którzy wywierają wpływ na swoje otoczenie. Nie będzie przesady w twierdzeniu, że nasz miesięcznik jest jeżeli nie głównym, to jednym z głównych organów polskiej inteligencji w wolnym świecie.

Koncepcja ,,Powiślaków'', zmierzająca do budowy na emigracji Bezpartyjnego Bloku Współpracy z rządem PRL — jest całkowicie nierealna. Mimo, że Polacy zagraniczni hołdują różnorodnym przekonaniom politycznym — to jednak w 98 procentach są zdecydowanymi zwolennikami demokracji. Do tej pory nigdy nie mieliśmy tylu milionów Polaków przekonanych demokratów. Przekonały ich fakty a nie propaganda.

W dziesiątkach artykułów na łamach ,,Kultury'' staraliśmy się wykazać, że jest rzeczą możliwą pogodzić socjalizm z demokracją. Socjalizm demokratyczny — polskiej szkoły i polskiego kierunku — pozwoliłby zatrzymać i umocnić te reformy, które większość narodu ocenia za wartościowe i pożyteczne. Socjalizm demokratyczny równocześnie położyłby kres monizmowi ideologicznemu komunizmu. Przeciwnikami owego monizmu są w Polsce nie tylko opozycjoniści ale nawet ci, którzy uznają oficjalnie przywódczą rolę partii. Przeciwnikami ideologicznego monopolu i dyktatury — z wyjątkiem znikomej mniejszości komunistycznej — są dosłownie wszyscy.

To nie my wisimy w powietrzu. Choć możemy różnić się w szczegółach — skąd inąd może i istotnych — to przecież w sprawie zasadniczej wyrażamy pragnienie i poglądy zarówno znakomitej większości Polaków zagranicznych jak i przytłaczającej większości Polaków w Kraju. Jedyny kontrargument wysuwany przez ,,realistów'' typu ,,Powiślaka'' sprowadza się do geopolityki, czyli sowieckiej imperialistycznej przemocy. Polacy w Kraju w obecnym okresie nie mają wyboru poza polityką akomodacji. Ale rola Polaków zagranicznych jest inna. Jesteśmy poza zasięgiem sowieckiej przemocy i naszym obowiązkiem jest walczyć o przywrócenie sensu terminowi ,,realizm polityczny''. Pragniemy, by nadszedł dzień kiedy realistami w Polsce będą ci, którzy uzyskają swobodnie wyrażone poparcie większości a nie ci, za którymi stoi tylko geopolityka. Pragniemy, by nadszedł dzień kiedy realną kwalifikacją polskiego męża stanu będzie nie to, że reprezen-

tuje najmniejsze zło — lecz fakt, że spośród dobrych reprezentuje najlepszych. Ten dzień nie nadszedłby nigdy, gdyby do legionu oportunistów i kolaborantów dla kariery, z przymusu, czy z realizmu „geopolitycznego" dołączyli się jeszcze Polacy zagraniczni w charakterze kolaborantów na ochotnika.

I jeszcze małe post scriptum. Stefan Kisielewski w liście do redakcji „Kultury", który drukujemy w bieżącym numerze — podejmuje obronę PAX'u. Byłoby ciekawe wiedzieć czy zespół redakcyjny „Tygodnika Powszechnego" solidaryzuje się w tej sprawie ze stanowiskiem swego wybitnego felietonisty?

Z kół zbliżonych do PAX'u w Kraju otrzymaliśmy interesujące poufne materiały i wewnętrzne „wytyczne ideowe" tego zespołu, które omówimy obszernie w następnym numerze „Kultury". Artykuł poświęcony temu tematowi polecamy uwadze Kisiela i zespołu redakcyjnego „Tygodnika Powszechnego".

ARGENTYŃSKI „KURIER POLSKI"

Od dwuch lat wychodzi w Buenos Aires interesujący i doskonale redagowany „Kurier Polski". Jest to niezależny tygodnik, mający ambicje być organem Polaków w całej Ameryce Południowej a nie tylko polonii argentyńskiej.

Jestem wiernym czytelnikiem „Kuriera Polskiego", który jako pismo odbija kontrastowo od bratnich organów polonijnych obu Ameryk. W „Kurierze" nie ma śladu owej papierkowo-cukierkowej sztancy — owych Krakowiaków i Górali z trzeciomajowego obchodu — owych łzawych grafomańskich wierszyków, które mogą obrzydzić język polski najniezłomniejszemu patriocie. Na łamach „Kuriera" dyskutuje się, a nie odprawia polonijne obrzędy. Informacja i dyskusja to są dwa źródła autentyzmu, które wyznaczają „Kurierowi" realną pozycję w życiu społeczności polskiej zagranicą. Bo pismo, tak jak człowiek, na to by miało sens musi być potrzebne.

„Kurier Polski" redaguje zespół. Czołową rolę w tym zespole obok red. F. Zahory-Ibiańskiego odgrywa niewątpliwie Wiktor Ostrowski. Przyjdzie chwila, że Wiktora Ostrowskiego ktoś nagle odkryje... Okaże się wówczas, że jest to jedna z najbardziej kolorowych i oryginalnych postaci naszego wędrownego czasu. Podróżnik w światowym wymiarze. Kaukaz-Alpy-Kilimandżaro-Andy — puszcze brazylijskie — spławy nieznanymi rzekami. Ostrowski wydał sporo książek tłumaczonych na wiele języków a jego reportaże z podróży po Afryce — wydane przez Oddział Kultury i Prasy 2 Korpusu we Włoszech — ukazały się obecnie w Kraju. Ale w sumie Ostrowski podróżnik, odkrywca i pisarz jest niepomiernie bardziej znany i honorowany w Ameryce łacińskiej niż w dalekiej Europie i w Polsce. Reklama nigdy nie była jego specjalnością — choć specjalności ma wiele. Największą z nich to niesamowita wprost żywotność. Bije ona ze stron „Kuriera Polskiego".

LONDYŃCZYK

Polacy w Szkocji (3)

GLASGOW

You go.
I go.
Glasgow.
Bus go.

W taki to niegramatyczny sposób mieli podobno prawie dwadzieścia lat temu żołnierze polscy zapraszać napotkane Szkotki na przejażdżkę do Glasgow — zanim dobrze się nauczyli po angielsku.

Bo Glasgow to pod wieloma względami fascynujące miasto:

Żadne inne miasto, ani szkockie ani angielskie, nie przyjmowało Polaków tak gościnnie, tak wspaniale i tak czule — kiedy tu zawitali jako obrońcy i rycerze nie z tej wręcz planety, ze swoimi manierami wielkoświatowych donżuanów i donkiszotów, ze swym całowaniem rączek, elegancją i tym rozbrajającym blagierstwem, w które gdyby uwierzyć, to trzeba by przyjąć, że w Polsce od czasów Mieszka nie było ani chłopów, ani robotników, ani mieszczan, ani urzędników, tylko sami hrabiowie, dziedzice, barony, książęta i trony.

Stąd też żenili się tu Polacy na potęgę, bo Szkotki były miłe, pełne temperamentu i uległe, chętnie chodzące na lekcje języka polskiego i polskiej kuchni, a w każdym razie, przynajmniej teoretycznie, do takich poświęceń gotowe.

Trzeba przyznać, że mieszkańcy Glasgow to rzeczywiście pod wieloma względami typ ludzi rzadko spotykany w Wielkiej Brytanii, poza Walią. Nie cechuje ich ani powściągliwość w mowie i wyrażaniu uczuć, ani sztywna rezerwa w obejściu. Są bezpośredni, uczuciowi, nawet hałaśliwi. Zresztą, duży procent tego ponad milionowego miasta stanowią Włosi i Irlandczycy

Stąd też zrozumiałą jest rzeczą, że właśnie pobyt w Glasgow wspominany jest przez wielu byłych żołnierzy jako okres wiwatów i glorii. Ale czy warto jeszcze raz sięgać w tak odległą przeszłość? Czy warto przypominać, jak to burmistrz miasta chlubił się w swoich przemówieniach, że dane mu kiedyś było pracować w kopalni z dwoma Polakami ze starej emigracji, a któreś pismo codzienne drukowało specjalne wydanie dla żołnierzy polskich z wiadomościami w języku polskim? Lub, czy warto przypominać w dwutysięcznym nakładzie rozchodzący się tygodnik polsko-angielski *The Clasp of Friendship* — ,,Ogniwo Przyjaźni'', ukazujący się później już tylko w języku angielskim jako *The Voice of Poland* (aż do roku 1947!) (1)? Czy warto pisać o koncertach Chóru Wojska Polskiego, stanowiących wydarzenia kulturalne sezonu, i o setkach przemówień w jakich Glasgow w osobach swych przedstawicieli szczycił się ze swych gości i zapewniał ich o dozgonnej przyjaźni?

Dzisiejsza rzeczywistość jest inna. A była jeszcze inna. Był moment kiedy na murach miasta pojawiły się napisy *Poles, go home!* Obecnie problem polsko-szkocki istnieje jedynie jako problem małżeństw mieszanych. Mówiono nam, że ostatnio wielu Polaków żonatych ze Szkotkami zaczęło żałować, iż nie przewidziało października i przyjazdów Polek z kraju.

Nie pozbawionym ironii jest fakt, że właśnie w Glasgow poznajemy Polaka, byłego żołnierza I Korpusu, pałającego wprost chorobliwą nienawiścią do Anglików i wszystkiego co angielskie. Prosty ten człowiek chodzi do tutejszego konsulatu warszawskiego na przyjęcia i imprezy kulturalne. Opowiada nam jak na jednym z takich przyjęć jakiś Polak zaczął się krytycznie wyrażać o Polsce i Polakach a on podszedł do konsula i powiedział, że takiego drania to się powinno wyrzucić za drzwi, żeby nie bezcześcił tego ,,skrawka ziemi polskiej''! Obecnie nosi się z zamiarem sprzedania swego sklepu wyrobów skórzanych aby z kapitałem wrócić do Polski. Próbujemy dowiedzieć się o przyczyny tej jego ostrej anglofobii, szczególnie, że powiodło mu się całkiem nieźle. Ale doprowadzamy go tylko do wściekłości i zostawiamy za kontuarem powtarzającego w kółko: ,,Bo ja wam mówię! To są g... rze! g... rze!''. Mentalność jego przypomniała nam trochę — oczywiście na innym poziomie — mentalność Stanisława Mackiewicza.

Wróćmy jednak do Glasgow. Jest to ogromne, brzydkie, brudne, portowe miasto — miasto-dżungla. Czarne od sadzy gmachy, zaśmiecone ulice, ponure, stare wnętrza kamienic, smrodliwe slumsy, podłe restauracje i wrzaskliwe knajpy,

(1) Redagowane i wydawane przez p. Jadwigę Harasowską. Działalność wydawniczą p. Harasowskiej w Glasgow na pewno warto jest przypomnieć. Jej dziełem była ,,Książnica Polska'', firma wydawnicza i księgarnia. Ukazało się w niej nie tylko wiele broszur i albumów o Polsce, ale i szereg klasyków polskich. Zakończyła działalność w roku 1954.

zgrzytliwe tramwaje, ciągłe zatory uliczne, niezliczona ilość uliczek jednokierunkowych — oto cechy charakterystyczne. Dodajmy jeszcze, że jest to miasto o jednym z najwyższych procentów przestępczości, i — co w Wielkiej Brytanii jest raczej rzeczą niezwykłą — upijające się w piątki i soboty w sztok! Nie sposób wprost przejechać ulicą: pijane pary obłapiają się na środku jezdni, zalani robotnicy szukają oparcia w przejeżdżających autach, na rogach ciężko zataczają się dziewczyny łekkich obyczajów, z barów bucha woń piwa i whisky i wrzaskliwe irlandzko-szkockie unisona.

Ale Glasgow jest miastem fascynującym nie tylko swoją brzydotą i rozpustą, nie tylko swym multi-narodowym charakterem i groźną tajemniczością przestępczego *underworld*'u — to są cechy prawie każdego większego portowego miasta. Glasgow jest także miastem szalenie dynamicznym, ambitnym i dumnym. Jakżeż z góry patrzy się tu na snobistyczny, anemiczny Edynburg! I *to* ma być stolica Szkocji?! Stolicą Szkocji powinien być Glasgow. Paradoks, ale Glasgow ma silniejsze tendencje separatystyczne w stosunku do Edynburga, niż Edynburg w stosunku do Londynu. Katolicki biskup Glasgow nie uznaje zwierzchności arcybiskupa Edynburga. Przyczyna tego jest typowo szkocka. Jeszcze do niedawna arcybiskupstwo edynburskie było w rękach klanu McDonaldów. A biskupstwo Glasgow wciąż jest w rękach klanu Campbellów. Oba zaś klany rywalizują ze sobą od czasów niepamiętnych.

I jeszcze jedno: w Glasgow albo pracuje się ciężko (w stoczniach, w dokach) i wtedy można żyć znośnie, a nawet bardzo wygodnie, albo robi się pieniądze, lewem czy prawem. Czuć tu pieniądzem; widać jaskrawo co to za siła i co oznacza jego brak.

Można by przyjąć jako zasadę, że skupiska polskie upodabniają się na ogół do środowisk w jakich żyją. Nie jest to zresztą żadne odkrycie jakiejś nieznanej socjologicznej prawdy, chociaż warto dodać, że spostrzeżenie to stosuje się tylko tam gdzie Polacy nie tworzą zbyt wyraźnego ghetta. Polskie skupisko w Glasgow to także mała dżungla. Polaków jest tu może 800, może trochę więcej, ale chyba nie 1.200, jak nas ktoś poinformował. Jest to jedno z ciekawszych skupisk polskich jakie poznaliśmy: bardzo różnorodne, dynamiczne, na ogół pewne siebie, na ogół robiące pieniądze. Opisać pełnię życia tego środowiska — na to trzeba by wielu stron, nie mówiąc już o tym, że aż prosi się tu o pióro powieściopisarza lub nowelisty (2).

Zaczęliśmy poznawanie tego skupiska raczej nieortodoksyjnie: od młodej Szkotki, żony miejscowego Polaka. Mrs. Kowalska — aby ją tak nazwać — pracuje jako konduktorka w tramwaju. Akurat właśnie wróciła z pracy i nie zdejmując

(2) Jak dotychczas, jedynym pisarzem, który temat ten eksploatuje, jest Czesław Dobek. Mieszkał on przez długi czas w Glasgow, gdzie pracował jako krawiec. Dopiero niedawno przeniósł się do Londynu.

nawet munduru zajęła się nami. Spodziewała się nas z dnia na dzień, i strasznie się cieszy, że nie przyjechaliśmy pięć minut wcześniej, kiedy nie było jej jeszcze w domu. Musimy napić się herbaty i coś zjeść. Co by to siostra jej męża powiedziała, gdyby się dowiedziała, że puściła nas głodnych. Czy podoba nam się Szkocja? A Loch Lomond? Jest zachwycona Loch Lomond, rzeczywiście pięknym jeziorem o kilkanaście tylko mil od Glasgow. Nastawiła czajnik z wodą na herbatę, ale tak się rozgadała, że zapomniała zapalić gaz. Przypomniwszy sobie, zapaliła gaz, nakroiła szkockiego ciasta, zrobiła furę kanapek z serem, postawiła dżem na stole, położyła dwie paczki papierosów. Woda mało się nie wygotowała, zanim dowiedzieliśmy się, że pani Kowalska uczy się od siostry swego męża gotowania po polsku i że chciałaby się nauczyć języka polskiego, żeby jej ,,Jasziek'' więcej z nią rozmawiał. Ale nie ma chyba trudniejszego języka na świecie ! Z gotowaniem też nie najlepiej sobie radzi : jej mąż jest najszczęśliwszy kiedy przyjeżdża jego siostra i gotuje bigos. Rozmawia z nią wtedy całymi dniami. Widać, że pani Kowalska zazdrosna jest trochę o te rozmowy.

Dostajemy wreszcie herbatę. Pani Kowalska pije i je razem z nami, stojąc i ciągle mówiąc. Wysłuchujemy długiej i zawiłej historii o dwóch papużkach, które skrzecząc przelatują nad naszymi głowami, jak i o tym, że pani Kowalska należy do Koła Polek i że tutejszy konsul jest człowiekiem bardzo miłym. W tej chwili jest jedyną Szkotką w Kole Polek, były inne, ale się obraziły, bo Polki, nie znając języka angielskiego, prowadziły zebrania tylko po polsku. Koło Polek zajmuje się wysyłaniem paczek do Polski. Dowiadujemy się także, że w Glasgow są dwa kluby polskie : SPK i Dom imienia generała Sikorskiego. Ona z mężem woli ten drugi, bo jest bardziej *respectable*. Jasiek chodzi czasami sam do Klubu SPK, ale ona nie lubi kiedy tam idzie.

Podziękowaliśmy za przyjęcie i zaczęliśmy się żegnać. Trwało to dosyć długo. Kiedyśmy wyszli, potok wymowy przemiłej Szkotki rozlał się za nami po korytarzu, dogonił nas przy aucie i szumiał wbrew warkotowi motoru. Ucięliśmy go, ruszając na pełnym gazie.

Pojechaliśmy do Klubu SPK.

KLUB SPK

Mieści się on w dużym budynku niezbyt daleko od centrum miasta. Wchodzimy w chłodny korytarz, na ścianach wiszą stare, pożółkłe komunikaty i ogłoszenia miejscowych polskich krawców, fryzjerów, sklepów. Wnętrze jest porządnie utrzymane, ale mimo to robi wrażenie brudu : w powietrzu pachnie zbutwiałym drzewem. Jadalnia jest duża, ale bardzo brzydka

i ponura. Dom wydaje się nam zupełnie pusty. Spotykamy wreszcie jakiegoś głuchego Polaka, który po dłuższych próbach zrozumienia o co nam chodzi, mówi, że mieszka w tym domu, i że Kierownik będzie dopiero wieczorem. Idziemy więc do Domu im. gen. Sikorskiego, który — co było zresztą do przewidzenia — znajduje się na tej samej ulicy tylko o kilkaset kroków dalej.

Zastajemy gospodarza Domu. Jest to starszy już pan, schorowany, bardzo spokojny i uprzejmy. Daje nam nieco informacji ogólnych, ale radzi, przede wszystkim, porozmawiać z inżynierem Kotem, który, jak twierdzi, zna Polaków w Glasgow lepiej niż ktokolwiek inny i już od wielu lat jest tu głównym działaczem społecznym. Obiecuje zaaranżować nam z nim spotkanie na wieczór następnego dnia, gdyż inżynier pracuje w miejskiej korporacji i dnie ma zajęte. Dowiadujemy się także, że w Domu nie będziemy mogli otrzymać noclegu, gdyż wszystkie 20 pokoi wynajętych jest miejscowym Polakom.

Wracamy do Domu SPK. Kierownika jeszcze nie ma. Prezes Koła SPK też jest na razie nieosiągalny. Ale jadalnia jest już otwarta. Jemy więc kolację, złożoną z jednego dania; płacimy jednak tyle co normalnie za dwa. Do jadalni zaczynają się powoli schodzić ludzie, przychodzi paru Polaków; otwiera się bar. Zjawia się też Kierownik Klubu. Jest to wysoki, rumiany mężczyzna, kawaler. Robi na nas wrażenie szarmanckiego kawalerzysty z tendencją do koloryzowania. Jego stosunek do dziennikarzy nie koniecznie świadczy dobrze o tej profesji. A może po prostu pan kierownik zwykł jest wszystkie sprawy załatwiać przy kieliszku whisky. Dosyć na tym, że natychmiast stawia nam parę kolejek i z werwą roztacza przed nami obraz polskiego życia w Glasgow. Z jego opowiadania wynika jasno, że rządy w Polonii glasgowskiej sprawuje on. Prowadzenie Klubu z wyszynkiem w Glasgow nie jest zadaniem łatwym, ze względu na różny element. Trzeba mieć zaufanie policji, a on je ma. Dawniej, zanim jeszcze został Kierownikiem, policja robiła na Klub raidy, teraz to się nie zdarza. Pijaków w Klubie pan Kierownik nie toleruje: upijających się najpierw ostrzega ustnie, za drugim razem — pisemnie, gdy to nie skutkuje — skreśla z listy członków Klubu. W sumie wyrzuconych już zostało dwudziestu kilku. Trzyma wszystkich ostro.

Klub prosperuje dobrze. Jest co prawda ostatnio „konkurencja" ale... pan Kierownik macha ręką. Koło SPK właściwie się nie liczy, liczy się Klub. Na walne zebrania Koła przychodzi 17-20 osób; na zebrania Klubu — 100. Koło liczy 150 członków, Klub — 240!

Dysproporcja ta tłumaczy się częściowo tym, że do Klubu należeć mogą także Szkoci — statutowo jedna trzecia członków.

Ale — zróbmy tu dłuższą dygresję i dodajmy od siebie — nawet bez Szkotów Kluby są na ogół instytucjami bardziej żywotnymi niż Koła SPK. Jest to zjawisko naturalne: zainte-

resowanie sprawami Klubu jest zainteresowaniem rzeczami konkretnymi, Domem, finansami, wyborem ,,dobrego'' kierownika, rodzajem sprzedawanych posiłków, a przede wszystkim: możliwością wypicia i zabawienia się. Koła SPK coraz bardziej stają się czymś w rodzaju niepotrzebnej przyczepki, która — co gorzej — pochłania pieniądze nie wykazując się w zamian żadnymi realnymi rezultatami. Bo cóż z tego że w Glasgow, czy gdzie indziej, właśnie Koło SPK prowadzi Szkołę Sobotnią i urządza podniosłe imprezy? Imprezy dawno już się szerokiemu ogółowi znudziły: zorganizowanie prawdziwie niekonwencjonalnej akademii 3-Majowej lub 11 Listopada jest sztuką nielada; przemówienia powtarzają się tak samo jak wygłaszający je mówcy. A Szkoła Sobotnia, oprócz tego, że jest często subsydiowana przez Koło, ma także zwykle swój własny Komitet Rodzicielski, który się nią bezpośrednio opiekuje. Czynnikiem dodatkowym jest tu często przekonanie, że pokrywanie kosztów Szkoły, a w każdym razie przynajmniej częściowe jej subsydiowanie jest rzeczą jak najbardziej naturalną, jest po prostu obowiązkiem organizacji, która tak jak SPK wciąż jeszcze rozporządza poważnymi funduszami. Ludzie więc często nie chcą płacić składek na Koło, ale oczekują, że znajdzie ono pieniądze na pracę społeczną. W niektórych wypadkach za tego rodzaju nastawienie ponosi winę zła polityka działaczy i organizacji społecznych, które przyzwyczaiły ludzi do tego, że im się ,,wszystko za darmo należy''. Podział na Kluby i Koła SPK problem ten jeszcze pogarsza. Koła SPK nie są imprezami dochodowymi, z samych składek nie mogłyby nawet kiwnąć palcem. Funduszów musi więc dostarczać Klub. Nie zawsze dostarcza ich chętnie. Szczególnie, że pewną część dochodów winien jest odprowadzić do centrali w Londynie. No a i Klub ma własne wydatki: remonty, dekoracje, meble... Już po przyjeździe do Londynu zaglądamy do Sprawozdania z działalności SPK za lata 1957-1958, aby zapoznać się z finansami Domu SPK w Glasgow. Okazuje się, że Dom przyniósł stratę £96. Zysk brutto wynosił w roku sprawozdawczym £2444. Jakie Dom miał wydatki? Wynagrodzenia pracownikom pochłonęły £1090. Wydatki administracyjne — £457; handlowe — £515; remonty — £393; inne £85. Tak więc ani Koło w Glasgow ani Zarząd Główny w Londynie nie otrzymały ani grosza. Jak wspomina sprawozdanie — w latach ubiegłych deficyt Domu był większy.

Do powyższego ogólnego obrazu trzeba dodać jeszcze jedno wyjaśnienie. Kierownicy Klubów SPK są pracownikami płatnymi przez tak zwaną *Polish Ex-Combatants Association Ltd.* O instytucji tej będziemy pisali na innym miejscu. Tu wystarczy powiedzieć, że jest to spółka, której celem jest obracanie kapitałem SPK na zasadzie handlowej, i wygospodarowywanie funduszów na społeczne cele organizacji. To jednak nie jest dla nas w tej chwili ważne: ważne jest to, że Kierownicy Klubów nie muszą być, i często nie są działaczami

społecznymi. Ma to oczywiście wpływ na ich stosunek do pracy Koła.

Reasumując: Kluby SPK coraz częściej i coraz bardziej stają się podstawowymi komórkami organizacyjnymi SPK, monopolizując zainteresowania członków i powodując uwiąd Kół. Odbija się to na ogół ujemnie na pracy społecznej tej organizacji.

Po tej dłuższej dygresji wróćmy do p. Kierownika. Jest on w Glasgow postacią ,,kluczową'' pod innym jeszcze względem. Jak i w wielu innych ośrodkach, tak i tu istnieje tak zwany Komitet Koordynacyjny, skupiający przedstawicieli organizacji polskich na tym terenie. Tylko, że w Glasgow do Komitetu Organizacyjnego wchodzą nie delegaci poszczególnych organizacji specjalnie w tym celu wybrani, lecz ich prezesowie. A więc bywa, że jeden prezes reprezentuje dwie organizacje. Poza tym, skład Komitetu rzadko się zmienia: prezesi bywają ,,dożywotni''. P. Kierownik tłumaczy nam, że takie rozwiązanie jest jednak lepsze. Usprawnia to działalność Komitetu: prezesi nie muszą się już do nikogo odwoływać. Eliminuje także problem wynajmowania przez mniejsze organizacje jeszcze jednej osoby do zarządu na jeszcze jedną funkcję. Przewodniczący Komitetu zmienia się co trzy miesiące. Natomiast stałym sekretarzem jest p. Kierownik.

Jakie są główne organizacje polskie w Glasgow? A więc jest tu Związek Inwalidów, Związek Rzemieślników, Samopomoc Marynarzy, Akcja Katolicka, Skarb Narodowy ,,Zjednoczenia'' i Skarb Narodowy ,,Zamku'', Sekcja Studiów Wojskowych, Towarzystwo Polsko-Szkockie, i parę innych, mniej ważnych. Do niedawna istniało Towarzystwo Przyjaciół Kultury, nazywane w skrócie ,,Kultura'', skupiające polską inteligencję, urządzające odczyty i akademie, ale od czasu wyjazdu z Glasgow państwa Dobków, Towarzystwo właściwie się rozpadło. Był okres, że liczyło ono około 100 członków; zebranie ,,likwidacyjne'' zgromadziło jeszcze 50 osób. Jest także parę kół partii politycznych, takich jak SN, NID, PSL. Do niedawna było także koło PPS'u, ale ostatnio zupełnie się rozleciało.

Mówiąc o tym p. Kierownik wstał od stołu i za chwilę wrócił z młodym, krępym mężczyzną w rozchełstanej koszuli, który przedstawił się nam jako p. Półtorak. P. Kierownik postawił nam jeszcze jedną kolejkę whisky, p. Półtorakowi ,,kazał'' zrobić to samo, i na chwilę nas przeprosił.

P. Półtorak okazał się jednym z głównych działaczy PPS w Glasgow. Dlaczego koło zostało zlikwidowane? Z bezładnej, ale jędrnie i otwarcie opowiedzianej, historii wynikło, że główną rolę odegrały tu dwa czynniki: sojusz emigracyjnej PPS z sanacją i krajowy październik. A koło było kiedyś wcale dynamiczne: miało dobre stosunki z miejscową brytyjską Labour Party i liczyło prawie 50 członków. W duszy p. Półtorak jest nadal socjalistą i popiera nacjonalizację przemysłu, byłby na-

wet skłonny zapisać się do Labour Party. Pytamy o jego zawód. Jest właścicielem dwóch sklepów wyrobów skórzanych i powoli dorabia się. Jego stosunek do emigracyjnej ,,góry'' i central londyńskich jest bardzo krytyczny. Grają tu rolę i wspomnienia z Polski, którą opuścił już po wojnie i niechęć do emigracyjnej prawicy. Obecnie p. Półtorak sympatyzuje z Gomułką. O ile mogliśmy się zorientować w czasie dalszego pobytu, nie jest on wyjątkiem: paru innych byłych członków emigracyjnej PPS sympatyzuje obecnie z Gomułką i bywa w tutejszym Konsulacie.

Pytamy p. Półtoraka czy bywa tylko w Klubie SPK, czy także i w Domu gen. Sikorskiego. I tu i tam. Ale w Klubie SPK można się lepiej zabawić, szczególnie kawalerowi. Kierownik Klubu na ogół lubiany jest przez tutejszych kawalerów jako dobry kompan i kumpel. ,,Dlatego go wybieramy'' — śmieje się p. Półtorak. ,,Zresztą'' — dodaje — ,,ja już się wkrótce ożenię, to będę pewnie stale chodził do konkurencji''.

Poznaliśmy narzeczoną p. Półtoraka, kiedyśmy go odwiedzili w sklepie: stał za kontuarem i uprzejmie a dowcipnie obsługiwał swoich klientów. W małym pokoiku, przy zaśmieconej ulicy, zupełnie jednak blisko centrum miasta, piętrzyły się torebki, żółte teczki, torby; z sufitu zwieszały się paski i piłki; pachniało skórą. Dostaliśmy herbaty z mlekiem i duże kromy chleba z płatami szynki i wysłuchaliśmy wielu pieprznych uwag o tych i o owych. Niektóre z wyrobów skórzanych sprowadza p. Półtorak aż z Indii. Inne kupuje od polskich rzemieślników w Manchester. Narzeczona p. Półtoraka jest Szkotką.

TOWARZYSTWO SPOŁECZNO-OŚWIATOWE I DOM IM. GEN. SIKORSKIEGO

Zanim, wieczorem następnego dnia, poznaliśmy inż. Kota, obejrzeliśmy wpierw Dom, który, jak nas poinformowano, jest jego dziełem. Jest to duży i bardzo ładnie urządzony, schludny budynek. Górne piętra zajęte są na pokoje mieszkalne. Na parterze mieści się kancelaria, czytelnia i biblioteka oraz sala taneczna. W suterynach, w dwóch połączonych salach — bar. Jedna z tych sal urządzona jest bardzo gustownie. Na ścianach wiszą piękne, ręcznie malowane talerze i makaty o motywach ludowych, wykonane przez wdowę po generale Pasławskim. Celem dekoratorki, która jest także malarką, była stylizacja baru na polską gospodę wiejską. Niestety, druga sala urządzona jest w zupełnie innym stylu, przypominającym kawiarnię-espresso: dominuje w niej jaskrawo-buraczkowy kolor tapety. Sala taneczna na parterze jest stosunkowo duża i posiada małą scenkę. Od ścian zdają się odrywać w tańcu barwne pary krakowiaka i mazura, zrobione z papieru. Czytelnia jest urządzona

nieco gorzej. Na długim stole leży trochę gazet robiących wrażenie jakby ich nikt nie czytał. Odczytujemy tytuły: ,,Jutro Polski'', ,,Dziennik'', ,,Narodowiec'', ,,7 Dni'', ,,Gazeta Niedzielna'', ,,Odgłosy''. Niektóre numery z zeszłego miesiąca, inne sprzed paru miesięcy. Jak się dowiadujemy, nie są one specjalnie prenumerowane dla czytelni, lecz pochodzą z darów członków.

Wracamy do kancelarii gospodarza Domu. Po chwili wchodzi inż. Kot. Jest to człowiek niskiego wzrostu, tęgi, w okularach, niezbyt elegancko ubrany. Wie już o nas wszystko i natychmiast przejmuje inicjatywę w swoje ręce. Przez pierwsze parę minut odpowiadamy na jego pytania. Następnie on sam zgaduje kwestie nas interesujące i udziela informacji. W końcu rozmowa-monolog przechodzi w interesującą dyskusję, w które my z kolei zaczynamy atakować. Inż. Kot ma odpowiedzi na wszystkie nasze kwestie. Do kancelarii coraz to ktoś wchodzi i zostaje nam autorytatywnie przedstawiony przez inżyniera. W pewnej chwili inżynier pyta czy nie jesteśmy głodni i czy mamy gdzie nocować. Dowiedziawszy się, że ostatniej nocy spaliśmy za miastem pod namiotami, telefonuje do żony i bezapelacyjnie zaprasza nas do siebie. Od tej chwili stanowczo jesteśmy wzięci w gościnną niewolę. Inżynier jedzie naszym autem, jeden z nas jedzie szykownym Vauxhall-Cresta'em pana Banasiewicza, młodego działacza społecznego i właściciela dużego przedsiębiorstwa wyrobów skórzanych. Trzecim autem jedzie p. Bednarek, także stosunkowo młody działacz społeczny, właściciel dwuch pralni i wspólnik trzeciej. Obaj są najbliższymi współpracownikami inżyniera i członkami emigracyjnego PSL'u. Obaj pochodzą z rodzin przedwojennych działaczy PSL'u i swą działalność społeczno-polityczną zaczynali jeszcze w Polsce. Mówiono nam, że i inż. Kot jest mikołajczykowcem, ale on temu stanowczo zaprzecza. Twierdzi nawet, że pogłoski te tak mu już nadojadły, iż w zeszłym roku wybrał się specjalnie na zjazd PSL'u w Manchester, żeby zobaczyć wreszcie jak wygląda Mikołajczyk. Przynajmniej teraz ludzie będą mieli podstawę do gadania.

Pan inż. Kot mieszka naprawdę ładnie i wygodnie. W progu przyjmuje nas jego żona, Austriaczka. Przygotowała już dla nas dwa pokoje, na stole — taca z kanapkami, inżynier sięga po wino. Początkowo rozmawiamy po angielsku, żeby nie sprawiać przykrości pani domu, ale wkrótce dyskusja na tematy emigracyjne tak nas pochłania, że przechodzimy na polski. Takie dyskusje muszą tu być częste, gdyż pani domu wzdycha z rezygnacją i wycofuje się z rozmowy.

Im dłużej rozmawiamy z inżynierem, tym mocniej uderza nas jego dynamizm (inżynier pochodzi z rodziny chłopskiej), d... że ambicje i autorytatywność. Inżynier zna polskie środowisko w Glasgow rzeczywiście jak własną kieszeń, i związany jest z nim długim okresem swego życia. Miał tu już swoje klęs

i zwycięstwa, okresy większej i mniejszej popularności, ale jest przekonany, że już wkrótce uda mu się zorganizować ten ośrodek tak jak on to uważa — i jako model dla innych skupisk polskich. Ta ostatnia ambicja łączy się z jego pomysłami przeorganizowania całej emigracji polskiej w Anglii. Jak dotychczas ma on na terenie Glasgow dwie niewątpliwe zasługi: pierwsza to Dom im. Gen. Sikorskiego i Towarzystwo Społeczno-Oświatowe, druga to stworzenie ,,aparatu'' młodych i energicznych działaczy społecznych, kiedyś jego następców.

Historią i obecną działalnością Towarzystwa Społeczno-Oświatowego warto jest zająć się dokładniej, gdyż jest to instytucja na terenie Szkocji (chociaż nie na terenie Wielkiej Brytanii) dosyć wyjątkowa: powstała ona samodzielnie i jest zupełnie niezależna od jakichkolwiek zewnętrznych ośrodków dyspozycyjnych w Wielkiej Brytanii; używając może niezbyt ładnego żargonu działaczy społecznych, jest to tak zwany ,,ośrodek dziki''. Wydaje nam się bowiem uproszczeniem opinia, że dla inż. Kota takim ośrodkiem dyspozycyjnym jest prezes Mikołajczyk, lub też, że Towarzystwo opiera się na politycznym sojuszu PSL-owców i Zamkowców. I jedni i drudzy są rzeczywiście reprezentowani w Zarządzie Towarzystwa. Ale inż. Kot, który zainicjował i nadal prowadzi całe przedsięwzięcie, wydał nam się człowiekiem ceniącym swoją niezależność. Niewątpliwie, rozłam polityczny pomógł mu w zbudowaniu własnego ośrodka. Ale u genezy tego ośrodka leżą, jak zwykle, i sprawy personalne, i — co jest ciekawsze — rzeczywista potrzeba innych form życia społecznego, niż te jakie dawał Klub SPK.

Na płaszczyźnie personalnej: do roku 1954 inż. Kot był prezesem Koła SPK i przewodniczącym Komitetu Klubu Domu Kombatanta w Glasgow, a kierownikiem Domu był p. Bednarek. W roku 1954 p. Bednarek zwolniony został ze swojej funkcji przez Zarząd Główny SPK w Londynie. Jeśli wierzyć przekonywająco zresztą brzmiącej i udokumentowanej wersji inż. Kota, powodem zwolnienia była przynależność p. Bednarka do mikołajczykowskiego PSL-u. Zwolnienia dokonano bez porozumienia z Komitetem Klubu. Zajście to stało się bezpośrednim powodem opuszczenia SPK przez inż. Kota i p. Bednarka.

Na płaszczyźnie bardziej ogólnej: odejście dwóch energicznych działaczy społecznych od SPK samo przez się nie musiało doprowadzić do powstania niezależnego ośrodka. Zaistniały jednak odpowiednie po temu warunki. Jednym z nich był rozłam polityczny: SPK utożsamione jest na ogół z obozem Zjednoczenia. Pomiędzy miejscowymi zwolennikami Zamku a organizacją wytworzył się więc w chwili rozłamu antagonizm. Jednocześnie trwał proces ,,mieszczanizacji'' — drugi ważny czynnik. Coraz więcej Polaków stawało się właścicielami firm lub warsztatów pracy; kupowało domy i zakładało rodziny. Jak nam zgodnie mówili stali bywalcy Klubu SPK, nie jest on miejscem, gdzie należy przyprowadzać żony i dzieci. Spotka-

liśmy się nawet z opinią, że Dom SPK nie jest odpowiednim lokalem na lekcje Szkoły Sobotniej. Stąd Towarzystwo Społeczno-Oświatowe nosi się z zamiarem utworzenia własnej Szkoły, lub chociażby przeniesienia już istniejącej na teren własnego lokalu. Dodać należy, że lekcje Szkoły Sobotniej odbywają się w godzinach rannych, kiedy Klub SPK i bar są nieczynne. Ale opinie takie dobrze ilustrują zjawisko powstawania wśród dorabiającej się Polonii typowej moralności mieszczańskiej, zabarwionej angielską *respectability*.

Tak się złożyło, że w roku 1954 nastąpiła likwidacja ważnej placówki na terenie Glasgow, zwanej Polish Vocational College, a na emigracji znanej szeroko jako Ośrodek Nauczania Korespondencyjnego. Wcześniej jeszcze w tym samym budynku mieściły się: szkoła rolnicza i liceum handlowe (3).

Po instytucjach tych pozostał budynek, obciążony jednak długiem. Administracja obiektu, do której należał także inż. Kot, odwołała się do społeczności polskiej w Glasgow z apelem motywującym potrzebę utrzymania obiektu w rękach polskich i kontynuowania pracy oświatowej. Po różnych pertraktacjach i próbach załatwienia tej sprawy, zawiązało się w roku 1955 Towarzystwo Społeczno-Oświatowe, które przejęło budynek wraz z długiem i nazwało go Domem im. gen. Sikorskiego. W listopadzie 1955 roku Towarzystwo odwołało się ponownie do Polonii w Glasgow apelując o finansowe i moralne poparcie rozszerzenia działalności i urządzenia obiektu, który wymaga poważnych remontów. W liście do Polaków w Glasgow Zarząd Towarzystwa określił cel główny swojej działalności następująco :

„... celem jest stworzenie placówki, która stałaby się naszym wspólnym warsztatem pracy nad utrzymaniem i rozwijaniem polskości".

Duży nacisk położony został na samodzielność ośrodka jak i na przekonanie Polonii, że służy on interesom ogółu i jest własnością całej polskiej społeczności w Glasgow. Postawiono sobie za cel skupienie w nim całokształtu życia polskiego w Glasgow. W liście czytamy :

„Pragniemy utrzymać i rozwinąć niezależny organizacyjnie i gospodarczo ośrodek polski w Glasgowie.

W planie ogólnym przewidujemy, że będzie tam się skupiać działalność społeczna, oświatowa i charytatywna. Chcemy, prócz sal wykładowych, świetlicy, czytelni, klas szkolnych i pokojów hostelowych, pomieścić także kaplicę polską, kancelarię duszpasterza, kursy wieczorowe. Pragniemy rozwinąć gry sportowe, pragniemy zachęcić naszych przyjaciół szkockich do odwiedzania domu w celu wspólnych rozrywek, dyskusji, głębszego

(3) O poważnym dorobku tych instytucji będziemy pisali na innym miejscu. Historię Ośrodka Nauczania Korespondencyjnego opisał jego kierownik, dr Jan Dąbrowski (historyk), w broszurze wydanej w Londynie w roku 1957.

wzajemnego poznawania się, wymiany poglądów, informowania o sprawach polskich".

Towarzystwo nie wszystkie te cele zdołało dotychczas urzeczywistnić. W dziedzinie oświatowej organizowane są jak na razie tylko odczyty, i to niezbyt często, i imprezy kulturalne typu akademii ku czci Wyspiańskiego lub gen. Sikorskiego (ta ostatnia połączona była z koncertem chopinowskim). W Domu odbywają się także wspólne święcone, opłatki i akademie z okazji świąt narodowych. Czytelnictwo w bibliotece jest jednak słabe, w czytelni prawie żadne. Kursy wieczorowe nie odbywają się. Imprez sportowych nie ma. Nie udało się także Towarzystwu umieszczenie kancelarii parafialnej we własnym lokalu. Parafia istnieje osobno i ma swoją własną organizację parafialną.

Nad tą ostatnią sprawą warto się chwilę zatrzymać. Praca księży polskich wśród emigracji nie zawsze jest łatwa. W czasie rozłamu politycznego oba obozy starały się przeciągnąć duchowieństwo na swoją stronę. Udało im się to w niektórych wypadkach, na ogół jednak księża potrafili zachować pozycję neutralną (czasami z wielkim trudem). Obecnie problem ten przestaje istnieć. Ale w skupiskach takich jak Glasgow, gdzie istnieją dwa główne ośrodki rywalizujące ze sobą, problem ten powtarza się, tylko w nieco zmienionej formie. Miejscowy polski proboszcz, ksiądz Gruszka, pozycję swoją rozumie dobrze i stara się pozostać niezaangażowanym w konflikcie, który mógłby jego pracy duchownej tylko zaszkodzić. Zgoda na oparcie Parafii o Towarzystwo Społeczno-Oświatowe oznaczałaby bowiem zajęcie stanowiska w sporze i spowodowała antagonizm drugiej strony. Utrzymanie jednej neutralnej postawy powoduje, że obie strony bywają z księdza niezadowolone. Ksiądz Gruszka, nie próbując stworzyć jeszcze jednego, własnego ośrodka społeczno-towarzyskiego wokół Parafii, bierze jednak udział w pracy społecznej (Szkoła Sobotnia) i z dużym taktem stara się być duszpasterzem dla wszystkich. W rozmowie z nim wyczuliśmy, że tak pojętą rolę proboszcza polskiego uważa za jedynie słuszną na swoim terenie.

Mimo jednak, że Towarzystwo nie osiągnęło jak na razie swoich celów, Dom prosperuje nieźle, a plany Zarządu i inży- Kota nie uległy zmianie. Przeciwnie: uważają oni, że realizacja jest nadal możliwa, i że warunki w Glasgow ustabilizują się w przeciągu dwóch następnych lat. ,,Społeczeństwo — mówi inżynier — zaczyna rozumieć naszą działalność".

Z planem dalszego rozwijania całkowicie niezależnego ośrodka w Glasgow i skupiania w nim coraz to dalszych elementów życia polskiego, tak by z biegiem czasu stał się on *jedynym* ośrodkiem, wiąże się koncepcja Polonii zorganizowanej na zasadzie całkowicie samodzielnych ośrodków. Zdaniem inżyniera, każde środowisko polskie powinno stanowić samodzielną jednostkę gospodarczą. Miałoby to znaczny efekt psychologiczny :

ludzie mieliby własne zadowolenie łożąc na cele lokalne, konkretne.

A więc ,,Italia fara da se''? Całkowita atomizacja życia Polonii w Wielkiej Brytanii? U podłoża tej koncepcji leży niewątpliwie niechęć do centralnych organizacji polskich w Londynie. Znajduje w niej także wyraz przekonanie, które kazało Ameryce, jeszcze jako kolonii brytyjskiej, postawić zasadę: ,,nie ma pieniędzy, bez reprezentacji''. Zdaniem inżyniera pieniądz publiczny powinien być kontrolowany przez ludzi którzy go dają. Inżynier nie uznaje także płatnych działaczy społecznych za działaczy społecznych.

Na te tematy rozmawialiśmy także z p. Banasiewiczem. Argumentowaliśmy, że istnieje konieczność utrzymania central londyńskich zajmujących się pożyteczną pracą czy to społeczną, czy i kulturalną; i że bez dopływu pieniędzy z prowincji praca ta będzie musiała powoli zamrzeć. A byłaby to wielka szkoda. Argumentowaliśmy też, że potrzebna jest jedna reprezentacja Polonii brytyjskiej, oparta na jednej, ogólno-polskiej organizacji społecznej. Istnieje bowiem wiele spraw, które muszą być załatwiane centralnie i wymagają poważnych funduszy: chociażby polskie szkolnictwo w Wielkiej Brytanii, chociażby prace polityczne, wydawnicze itp.

Koncepcja inżyniera Kota i p. Banasiewicza zdaje się uwzględniać te problemy i potrzeby. Na bazie bowiem takich samodzielnych ośrodków mogłaby się oprzeć centralna reprezentacja Polonii brytyjskiej wyłoniona z Kongresu delegatów wybieranych przez poszczególne ośrodki. A więc coś w rodzaju Kongresu Polonii i Rady Polonii.

Tak więc, zamiast obecnego rozczłonkowania na ogromną ilość organizacji i organizacyjek, mających swoje centrale w Londynie, powstałoby coś w rodzaju gmin polskich, poprzez swoich przedstawicieli tworzących organ kontrolny i wnioskodawczy i spośród tych przedstawicieli wybierających organ wykonawczy.

Partie polityczne, zdaniem p. Banasiewicza, mogłyby nadal istnieć, gdyż są potrzebne, ale ich działalność sprowadzałaby się do kontynuowania tradycji i myśli politycznej, bez ingerowania w pracę społeczną i rywalizowania na tym polu o wpływy.

Koncepcji tej nie zamierzamy poddawać w tej chwili analizie.

Trzeba jednak dodać jedną uwagę: mimo to, że akcja inż. Kota i Towarzystwa niewątpliwie wzbogaca życie polskie w Glasgow, ma ona także i swoje ujemne strony. Towarzystwo stawiało sobie na początku cele wyłącznie społeczne i oświatowe. Ale zdobycie funduszy na te cele nie jest rzeczą łatwą. Warunki więc zmusiły Towarzystwo do otworzenia własnego baru i wprowadzenia konkurencji na tym polu z Klubem SPK. Konkurencja ta niewątpliwie zdąża na dłuższą metę do wyeli-

minowania konkurenta, w tym wypadku Klub SPK. Nie wolno jednak zapominać, że SPK jest w tej chwili jedyną organizacją, która ma jakie takie szanse przekształcenia się w powszechną organizację polonijną. Akcja, którą prowadzi Towarzystwo, podważa te szanse.

Co nie znaczy, by Towarzystwo było w otwartej wojnie z miejscowym Kołem SPK. Zauważyliśmy rzecz może paradoksalną : wydaje nam się, że właśnie Koło SPK, czując się zagrożone aktywnością własnego Klubu, szuka oparcia przeciwko niemu w Towarzystwie Społeczno-Oświatowym.

Także niektóre imprezy urządzane są razem : na przykład akademia ku czci gen. Sikorskiego w Domu jego imienia odbyła się przy współudziale Koła SPK i trzech innych organizacji polskich w Glasgow.

To jednak pozwala inżynierowi czuć się coraz bardziej pełnoprawnym gospodarzem na terenie polskiego Glasgow. W dzień naszego wyjazdu, zaaranżował on nam spotkanie w Domu im. gen. Sikorskiego z pewną liczbą miejscowych działaczy społecznych, wśród nich także z prezesem miejscowego Koła SPK. Sam inżynier doglądał, by nasi rozmówcy nie zabierali nam zbyt wiele czasu i by wszystko odbyło się sprawnie. Tak dyrektor szkoły posyła swoich uczniów przed Komisję Egzaminacyjną, spokojny o wyniki egzaminu.

ZAMOŻNOŚĆ

Występują tu duże kontrasty. Poznaliśmy działacza społecznego,obarczonego dużą rodziną, który zarabia nie wiele ponad £6 tygodniowo. Człowiek ten jest ciągle zalatany i jego praca społeczna na pewno nie wychodzi na dobre jego dzieciom. Najprzykrzejszy moment naszego pobytu w Glasgow zdarzył się właśnie w trakcie rozmowy z nim, gdy do pokoju weszła jego córeczka i oświadczyła : *Daddy, will you come out with me?* Ojciec spurpurowiał. Dziecko dalej mówiło coś po angielsku i zostało dosyć opryskliwie wyproszone z pokoju. Byliśmy sami bardzo zmieszani, gdyż zrobiło nam się żal tego człowieka. Ostatecznie, czyż to zbrodnia, że dziecko mówi do ojca po angielsku? Rozmowa jednak już się nie kleiła. Pożegnaliśmy go mocno zafrasowanego. Szczególnie, że kiedy dziewczynka weszła, mówił właśnie o pracy Szkoły Sobotniej.

Tak niskie zarobki są jednak raczej rzeczą wyjątkową wśród Polaków w Glasgow. Wielu pracuje w transporcie miejskim, gdzie można wyciągnąć od £15 do £20. Około 50 pracuje w suchych dokach, a tam zarobki są jeszcze wyższe. Stosunkowo niewielu pracuje w fabrykach jako zwykli robotnicy.

Wspominaliśmy już, że część tunelarzy to także Polacy z Glasgow.

Ale cechą wyróżniającą Polonię glasgowską jest duża ilość właścicieli różnego rodzaju warsztatów i przedsiębiorstw. Jest tu około pięciu polskich sklepów zegarmistrzowskich, kilka sklepów spożywczych, trzy masarnie, jedna kawiarnia, ponad dziesięć sklepów wyrobów skórzanych i zjawisko bardzo interesujące: ponad 40 polskich pralni.

Jak nam to ktoś miejscowy określił: Polacy mają monopol na pranie brudów miasta Glasgow, tak jak Włosi na restauracje.

Na powstanie tego polskiego monopolu złożyło się kilka czynników. Jednym z nich to właśnie brud miasta. Tutaj, żeby mieć czystą koszulę, trzeba ją codziennie zmieniać. Z pracy przychodzi się normalnie w zatłuszczonym kombinezonie lub ubraniu lepkim od brudu. Pranie w domu nie jest rzeczą łatwą szczególnie w wypadku gdy w jednym domu mieszka 20 rodzin — Glasgow jest wciąż miastem przeludnionym. Nie zawsze jest miejsce na wywieszenie bielizny. Zresztą, suszenie na powietrzu pełnym sadzy, przy ciągłych zmianach pogody, miewa nieraz skutki opłakane: bieliznę trzeba jeszcze raz płukać, a nawet prać. Kobiety na ogół pracują poza domem i na pranie nie mają czasu. Polscy *laundreciarze* twierdzą nieraz, i nie bez słuszności, że kobiety w Glasgow żyją dzięki nim o kilka lat dłużej. Jeden z nich z żartobliwą dumą opowiadał nam o Szkotce, która odbierając czystą bieliznę, prawie ze łzami wdzięczności w oczach oświadczyła mu: *Mister, you shoud get a medal from the Queen!*

Szczególnie, że praca w *laundretkach* nie jest ani przyjemną ani lekką, a większość właścicieli pralni wykonuje ją własnoręcznie. Pracować trzeba w stosach brudów, w wilgotnym, przesyconym chlorem powietrzu, w ciasnych lokalach. Nie palą się do tej pracy Szkoci, w tym „interesie" ich nie znaleźć. Ale Polacy potrafią być ludźmi twardymi. Nie mogliśmy się dowiedzieć, kto był pierwszym polskim *laundreciarzem* w Glasgow. Ktokolwiek nim był, zapoczątkował rzecz godną podziwu.

Innym czynnikiem, który odegrał rolę, były stosunkowo niskie koszty założenia pralni. Początkowo wystarczał zupełnie mały kapitał, około £250, a niektórzy potrafili i przy dużo mniejszym. Dzisiaj koszta zwiększyły się prawie dwukrotnie. Ale polskie pralnie powstają nadal: ci co mieli dotychczas jedną, zakładają drugą, inni stawiają swój pierwszy krok w tej branży, przekonani sukcesem rodaków o jego opłacalności. Między rodakami powstaje więc konkurencja. Opowiadano nam, że są i tacy, co zakładają nową pralnię tuż pod bokiem ziomka, który zdążył już przyzwyczaić dzielnicę do tego dobrodziejstwa. Wywołuje to oczywiście oburzenie starych *laundreciarzy*.

Zarobki tygodniowe przeciętnie dają właścicielowi na czysto do £20 i więcej.

Jako jeszcze jeden powód sukcesu polskich pralni, podawano nam informacje, że woda w Glasgow jest nadzwyczaj miękka, o wiele bardziej miękka niż gdzie indziej w Wielkiej Brytanii. Ma być ona sprowadzana z niedalekiego jeziora Loch Catherine, skąd, podobno, dowożona jest także do Londynu dla Królowej. Przy tak miękkiej, królewskiej wręcz wodzie, pralnie zużywają o połowę mniej sody niż normalnie.

Rozmawialiśmy z paroma *laundreciarzami,* pytając ich dlaczego nie założą jakiejś jednej polskiej spółki chociażby dla obniżenia kosztów transportu chemikaliów przez sprowadzanie ich hurtem. Potakiwali, że to dobra myśl, ale że jej urzeczywistnienie jest raczej nieprawdopodobne. Wiadomo: Polacy nie są najlepsi do spółek. Istnieje natomiast polski przedsiębiorca zajmujący się dostawami maszyn, a nawet całkowitym urządzeniem pralni. Może więc jednak kiedy powstanie w Glasgow jedna wielka polska firma : *Polish Laundrette Co.*

INTELIGENCJA

Glasgow nie jest odpowiednim miejscem dla polskiego inteligenta. Powoli uciekają oni z tego miasta. Nie ma tu atmosfery, nie ma środowiska w rodzaju tego, jakie istnieje w Edynburgu. Stąd łatwo odnieść wrażenie, że procent inteligencji jest tu dużo mniejszy niż w emigracyjnym Krakowie. W tym dynamicznym, portowym mieście inteligent polski zdaje się być rośliną rzuconą na grunt całkowicie niepodatny, obcy. Jeżeli tu istnieje, to mieszka pewnie w jakiejś ciemnej, okopconej kamienicy, na poddaszu ; żyje przeszłością i z utęsknieniem spogląda czy to w kierunku Edynburga czy Londynu, gdzie czułby się o wiele lepiej.

Ale to tylko część prawdy. Słyszeliśmy o jakimś oficerze, który zajmuje się zbieraniem niedopałków na ulicach. Ale jest tu także czterech pracowników naukowych, z tego trzech na miejscowym uniwersytecie : prof. Studziński i dr Łomnicki, bakteriolodzy, prof. Westfal — językoznawca i dr Pasieczny, wykładowca w Royal Infirmary. Jest około dwunastu lekarzy, trzech adwokatów (*solicitors*) prowadzących własne biura, jedna malarka, pani Pasławska, mieszka tu wspomniany już dr Jan Dąbrowski, historyk, jest pewna liczba inteligentów pracujących fizycznie i grupa żyjąca z zasiłku Assistance Board. Jest także grupa byłych oficerów, skupionych głównie w Sekcji Studiów Wojskowych, ale rzecz charakterystyczna, odróżniająca Glasgow od Edynburga, nie oni nadają tu ton.

Można także mówić — bardzo jednak ostrożnie — o powstawaniu ,,nowej warstwy'' inteligencji, której przedstawicielami są scharakteryzowani już p. Banasiewicz i p. Bednarek. Ludzie stosunkowo zamożni, właściciele przedsiębiorstw, do-

mów i pięknych aut, oczytani i dobrze zorientowani, świadomi swej wartości, zainteresowani pracą społeczną i sprawami ogólnymi, dążący, w niektórych wypadkach, do połączenia swego sukcesu finansowego z pozycją w miejscowym polskim społeczeństwie.

Nie chcielibyśmy jednak w tej chwili zbytnio uogólniać: trudno byłoby na podstawie Glasgow rozwijać tezę, że w Wielkiej Brytanii powstaje nowa warstwa polskiej inteligencji mieszczańskiej. Zanotujmy na razie jeden wypadek, jakim jest Glasgow.

Starsza inteligencja polska na ogół niechętnie bierze udział w życiu społecznym: odgrywa tu rolę bariera klasowa, ciężkie warunki materialne, często zmęczenie. Lekarze jako grupa także stoją poza tym życiem. Istnieje natomiast wewnętrzne życie towarzyskie, istnieją jakieś próby kontynuowania życia kulturalnego. Towarzystwo Przyjaciół Kultury Polskiej, mimo iż odbyło swoje zebranie ,,likwidacyjne'', zdecydowało jednak na nim kontynuowanie swojej działalności. Jak dotychczas, a mija prawie rok, nie odbyło się żadne zebranie.

Odwiedziliśmy dr. Jana Dąbrowskiego, który jest obecnie prezesem tego Towarzystwa. Wchodząc do dużego, skromnie ale czysto utrzymanego pokoju, rzuca nam się w oczy rzecz od pewnego już czasu niewidziana: półki książek i rzędy ,,Kultury''.

Dr Dąbrowski przyjmuje nas bardzo serdecznie i z dużym zainteresowaniem dla naszego przedsięwzięcia. Rozmowa zahacza o szereg tematów, głównie jednak dotyczy sytuacji w kraju. Doktora bardzo interesuje sprawa czy istnieje wspólna płaszczyzna, na której młode pokolenie z kraju mogłoby się zrozumieć i porozumieć z młodym pokoleniem na emigracji. Informuje nas, że za chwilę ma u niego być studentka z Polski, która przyjechała na rok studiów do Glasgow i że bardzo się cieszy, iż będziemy ją mogli poznać. Dowiadujemy się wiele ciekawych rzeczy o Ośrodku Nauczania Korespondencyjnego z którego korzystało od roku 1941 (kiedy powstał on w Glasgow) ogółem około 3.000 uczniów na poziomie szkoły średniej i powszechnej. Dr Dąbrowski pracował w Ośrodku od roku 1941, początkowo prowadząc kursy korespondencyjne historii, a od 1947, jako kierownik. Mając za sobą 17 lat emigracyjnej pracy pedagogiczno-społecznej, dr Dąbrowski pragnie obecnie pozostać raczej obserwatorem polskiego życia w Glasgow, niż brać w nim czynny udział. Czekają go także własne prace, dotychczas odkładane.

Przychodzi studentka z Polski i rozmowa odskakuje od spraw emigracyjnych. Wypytujemy jednak o wrażenia. Nasza miła rozmówczyni była w Domu im. gen. Sikorskiego i na pytanie, jakie zrobiła spostrzeżenia, odpowiada: ,,Gdy weszłam do Klubu gen. Sikorskiego, poczułam się tak, jakbym weszła do przedwojennej Polski, atmosfera ma w sobie coś z Kraszewskiego''.

Śmiejemy się z tej uwagi i dziękujemy dr. Dąbrowskiemu za rozmowę. Odprowadza on nas jednak dobrych kilkaset metrów. Żegnamy się akurat naprzeciw Konsulatu, ładnego budynku narożnego.

KONSULAT

Ponowne otworzenie Konsulatu polskiego w Glasgow stało się możliwe dzięki wypadkom październikowym. Od tego czasu Konsulat rozwinął na terenie Szkocji kilka akcji zmierzających do pozyskania sobie miejscowej Polonii. Będąc w Dundee słyszeliśmy o wizytach polskiego Konsula, o próbach „przeniknięcia" do środowiska emigracyjnego mówiono nam także w Edynburgu. Między innymi, Szkółka Sobotnia w Galashiels powstała częściowo jako wynik obawy, że Szkółkę taką otworzy tam właśnie Konsulat warszawski w Glasgow. Podobne próby otwarcia Szkół Sobotnich zanotowano i w innych ośrodkach. Udały się one jak dotychczas jedynie na terenie Glasgow. Do Szkoły prowadzonej przez Konsulat uczęszczało tu w roku ubiegłym około 30 dzieci. Na kolonię letnią w Polsce pojechało z Glasgow 18 dzieci emigrantów. Wydaje się, że możność wysłania dziecka na kolonię letnią do Polski jest główną atrakcją Szkoły prowadzonej przez Konsulat. Spośród miejscowej Polonii w Szkole uczy jeden student z Uniwersytetu w Glasgow; uczenie w Szkole zaproponowano także studentce z kraju, którą poznaliśmy.

Jeśli wziąć pod uwagę, że w Szkole Sobotniej prowadzonej przez SPK ilość dzieci nie przekracza 30, sukces Szkoły Konsulatu nie jest mały.

W ogóle wpływy Konsulatu w Glasgow są spore, bez porównania większe niż wpływy ambasady warszawskiej w Londynie. Mimo bowiem tego, że oficjalnie organizacje polskie całkowicie odcinają się od wszelkich kontaktów z Konsulatem, mimo że istnieje atmosfera raczej niechętna dla tych, którzy kontakty takie utrzymują, osób takich jest spora liczba.

Były konsul, p. Krawczyk, cieszył się wśród niektórych przynajmniej Polaków dobrą opinią; jeszcze większy mir miał były wicekonsul, p. Semczyk, dobry kompan do kieliszka. Na imprezach kulturalnych, urządzanych w Konsulacie, pokazach filmowych itp., frekwencja Polaków miejscowych jest wcale duża. Podobno nawet obchód 22 lipca zebrał pewną liczbę emigrantów.

Co odgrywa niemałą rolę w przełamywaniu nieufności do reprezentacji władz warszawskich, to przyjazdy rodaków z kraju, a nawet tylko starania o sprowadzenie bliskich czy znajomych. Powoduje to konieczność załatwienia tych spraw w Konsulacie, interweniowania itp. Ludzie, którzy to robią, a nawet ci,którzy uczęszczają na imprezy, specjalnie się z tym nie kryją, bywają w obu polskich lokalach. Nie zauważyliśmy, by stoso-

wano wobec nich otwarty bojkot towarzyski, może jedynie w niektórych małych grupach.

Ale ogólna nieufność i niechęć do kontaktów innych niż całkowicie koniecznych nadal istnieje wśród większości Polaków w Glasgow. Przełamanie tej nieufności, o ile nie nastąpią żadne polityczne zmiany poważniejszej natury, to jeszcze kwestia wielu lat.

Bogdan CZAYKOWSKI i *Bolesław SULIK*

Żydzi polscy w nowej ojczyźnie

50-tysięczna masa nowych przybyszów do Izraela, którzy napłynęli tu z Polski w ciągu ostatnich dwóch lat, łącznie z kilkuset chrześcijanami z małżeństw mieszanych — nazywa się tutaj ,,alijat Gomułka'' (po hebrajsku *alija* oznacza emigrację do Izraela).

Nazwa ta — jak to się zwykle dzieje — niezbyt dokładna ponieważ decyzja umożliwiająca Żydom emigrację do Izraela zapadła w Warszawie kilka miesięcy przed ,,Październikiem'' z inspiracji ludzi Natolina. Oni to wpadli na pomysł, że można uratować prestiż i popularność partii, jeżeli przeprowadzi się odżydzenie aparatu partyjnego i państwowego.

Decyzja ta zapoczątkowała psychozę wyjazdową wśród Żydów w Polsce. W pamiętnych miesiącach popaździernikowych psychoza ta była jednym z ważnych elementów sytuacji. Było to skomplikowane zjawisko psychologiczne. W atmosferze głośnej wszechkrytyki jaka zapanowała w Polsce po XX zjeździe — rzecz jasna — antysemityzm również podniósł głowę. W okresie stalinowskim dużo było Żydów na wysokich stanowiskach w partii, w życiu gospodarczym, w U.B. Minc, Berman, Romkowski, Różański — te nazwiska miały uzasadnić odwieczną formułę, że ,,wszystkiemu winni są Żydzi''. Ludzie Natolina, prawdopodobnie za radą Moskwy próbowali płynąć na tej fali, aby w ten sposób uratować swoją władzę.

Jakkolwiek ,,Październik'' oznaczał klęskę Natolina i zwycięstwo prądów wolnościowych nad stalinizmem, to jednak fala antysemityzmu bynajmniej nie opadła. Ludziom jeszcze bardziej rozwiązały się języki, a to oznaczało w dużej mierze rozpamiętywanie nieszczęść, jakie rzekomo w minionym okresie sprowadzi

na Polskę wyłącznie Żydzi. W urzędach, zakładach pracy, zarządach gospodarczych porachunki ze stalinowcami często utożsamiały się z porachunkami z kolegami-Żydami, niekiedy byłymi stalinowcami, a niekiedy nie.

Ta atmosfera moralna i niepewność warunków materialnych, łącznie z powszechną w Polsce chęcią emigracji złożyły się na powstanie nastrojów wyjazdu do Izraela.

Drugim poważnym czynnikiem wzmagającym te nastroje było wprowadzenie nauki religii w szkołach. Do tego czasu tysiące dzieci, których rodzice lub przynajmniej jedno z nich byli żydowskiego pochodzenia nie miały absolutnie pojęcia o tym, że mają coś wspólnego z żydostwem. Nosiły czysto polskie nazwiska, mówili najczystszą polszczyzną, a w domu o ,,tych'' sprawach nigdy się nie mówiło. O Żydach dzieci te wiedziały tyle, ile wiedzą na ogół wszystkie dzieci w Polsce i ,,to'' stanowiło mieszaninę pogardy i niechęci. Wprowadzenie nauki religii katolickiej w szkołach zmusiło rodziców do ujawnienia dzieciom tego, co było dotychczas pilnie strzeżoną tajemnicą. Dla wielu dzieci odkrycie, że są Żydami było ciężkim przeżyciem psychicznym. Zdarzały się wypadki, że dzieci wzbraniały się wszelkimi siłami przyjąć tę wiadomość. Ale jeszcze gorsze przeżycia stały się udziałem tych dzieci w szkole. Tutaj, z chwilą gdy nastąpił podział na dzieci uczęszczając na lekcje katechizmu i nie uczęszczające, te ostatnie stały się od razu wyszydzanymi pariasami. Najczęściej po takich przeżyciach dziecko wracało do domu z płaczem oświadczając rodzicom, że więcej do szkoły nie pójdzie. Dla wielu rodziców, którzy poza pochodzeniem nic wspólnego z żydostwem nie mieli, którzy nigdy dotychczas o wyjeździe do Izraela nie myśleli, niewiele o nim wiedzieli i czuli raczej niechęć do tego kraju — był to moment przełomowy. Jakże często słyszało się w owych miesiącach powiedzenie: jedziemy tam bez wielkiego entuzjazmu i bez wielkich nadziei, sami niewiele dla siebie oczekujemy, ale robimy to dla naszych dzieci. Doszliśmy do przekonania, że dla nich nie ma innego wyjścia.

STRACH PRZED PUSTYNIĄ

Emigracja Żydów z Polski była przez władze izraelskie dość sprawnie zorganizowana. Wyjazdy odbywały się partiami, po kilkadziesiąt osób. Niemal codziennie można było około godziny 8 wieczorem zobaczyć, na dworcu głównym w Warszawie długie sznury wagonów jadących do Wiednia lub Triestu, wypełnione niecodziennymi pasażerami. Mężczyźni, kobiety i dzieci jadący w nieznane, z wyrazem rozpaczy w twarzach, z oczami pełnymi łez żegnali się z tłumem odprowadzających, żegnali się z Polską.

Pierwsze spotkania z władzami izraelskimi w osobie przedstawicieli Agencji Żydowskiej miały z reguły miejsce na statku. Tu

odbywała się wstępna rejestracja, indywidualne rozmowy z każdym, tutaj każdy deklarował w jakiej miejscowości pragnie zamieszkać, czy zamierza osiedlić się na własną rękę, czy też skorzystać z pomocy Agencji. Tu badano wstępnie kwalifikacje każdego kandydata do pracy, po czym namawiano go do osiedlenia się w takim czy innym rejonie. Rzecz jasna, przeważająca większość emigrantów pragnęła zamieszkać w Tel-Avivie, Haifie, Jerozolimie lub okolicach a agitacja za osiedleniem się w „Negewie" — pustyni znajdującej się na południu kraju, na której w ostatnich latach założono liczne osiedla w zamiarze szybkiego jej zaludnienia — mimo oferowanych tam znacznie lepszych warunków — nie zawsze kończyła się sukcesem.

Mimo jednak strachu przed pustynią wielu przybyszów z Polski, nie mając innego wyboru tam się znalazło. Tych wożono prosto ze statku na miejsce przeznaczenia wprowadzając ich od razu do mieszkań specjalnie w tym celu przygotowanych. Dzięki temu powstały w rejonach tych całe osiedla zamieszkałe przez Żydów z Polski.

BEER-SZEWA MÓWI PO POLSKU

Beer-Szewa, miejscowość znana z Biblii, gdzie po dziś dzień można oglądać siedem studni, w których rzekomo Abraham poił swoje stada, jest stolicą Negewu. Prócz tych studni nic historycznego, nic starego, nie licząc kilku starych ruder arabskich. Szeregi nowiuteńkich, przeważnie jednopiętrowych, bloków, kubek w kubek do siebie podobnych wyrastają nagle na pustyni. Jakże przykre odnieśliśmy wrażenie widząc po raz pierwszy, przed półtora rokiem, to martwe, pozbawione światła osiedle. Na wpół zamieszkałe, gołe, bez śladu trawki, bez żadnego drzewka. By dostać się do jakiegoś domu trzeba było brnąć po kostki w piachu lub błocie (była to pora zimowa). Gdy odwiedziliśmy Beer-Szewę po raz wtóry, przed dwoma miesiącami, nie chcieliśmy wierzyć własnym oczom. Osada tonie w zieleni, pełno młodych drzewek, ani śladu piasku lub błota, wszędzie drogi bite lub asfaltowe, wzdłuż nich słupy latarń. Pełno sklepów, mnóstwo ludzi — jednym słowem osada tętni życiem. Wszędzie widać grupki bawiących się dzieci. Rozmawiają one po polsku, ale już nie tą czystą polszczyzną, którą słyszało się w ubiegłym roku. Jest to jakaś nowa gwara, w której słów hebrajskich jest niemal tyle co polskich. Podobną gwarę słyszy się zresztą we wszystkich osiedlach zamieszkałych przez przybyszów z Polski. Nic nie pomagają uwagi rodziców: mów albo po hebrajsku albo po polsku. Ale w tych miejscowościach, gdzie dzieci z Polski stykają się z sabrami(dziećmi urodzonymi w Izraelu) bardzo szybko język hebrajski wypiera polski. Jeszcze rozmawiają po polsku z rodzicami, jeszcze od czasu do czasu sięgają po książkę polską przy

wiezioną z kraju, ale powoli dzieci przechodzą na język hebrajski i często rodzice wyrażają obawę, że dziecko gotowe zupełnie zapomnieć języka polskiego.

Takich ośrodków jak Beer-Szewa jest więcej. Stara miejscowość Eszkelon, biblijna siedziba Samsona, malowniczo położona nad morzem, w której znaleziono niedawno bardzo ciekawe wykopaliska z czasów rzymskich ma również całą nową dzielnicę zamieszkałą przez *olim* z polski. Niestety dzielnica ta jest dość odległa od przepięknych gajów, położonych tuż obok plaży nadmorskiej, w których starożytni budowali sobie luksusowe wille.

Jest w tej południowej części kraju jeszcze kilka całkowicie nowych ośrodków przemysłowych, jak Hewel Lachisz, w którym zbudowano olbrzymią przędzalnię i buduje się cały kompleks fabryk włókienniczych. Tu osiedlono cały szereg przybyłych z Polski przędzalników, tkaczy i innych specjalistów przemysłu włókienniczego. Jest Dimona — nowe miasto w pobliżu biblijnej Sodomy nad południowym brzegiem Morza Martwego.

Większość jednak *olim* z Polski osiedliła się w Tel-Avivie, Jerozolimie, Haifie i okolicach, korzystając często z pomocy rodziny, bądź też lokując się przejściowo w tak zwanych ,,crifach'' — tymczasowych budynkach, wcale zresztą nieźle się prezentujących, przeważnie zaopatrzonych w instalacje kanalizacyjne i światło elektryczne. Ludzie z akademickim wykształceniem mogli korzystać za stosunkowo niską opłatą z hoteli wynajmowanych przez Agencję. Przybyszom umożliwiano również czasowe lokowanie dzieci w internatach lub kibucach bezpłatnie lub za bardzo niską opłatą.

PRACA I MIESZKANIE

Bardzo wielu korzystało bezpośrednio po przyjeździe z ulpanów, tj. szkół intensywnego nauczania języka hebrajskiego łącznie z internatem. W ten sposób odsuwano na przeciąg kilku miesięcy wszelkie troski o byt, poświęcając się wyłącznie nauce i poznawaniu nowych warunków. Dla pozostałych jednak rozpoczynał się od razu najbardziej żmudny i najciekawszy okres walki o byt, walki o mieszkanie, o pracę. I tu losy ludzi różnie się potoczyły. Co się tyczy mieszkania, to w zasadzie przydział na nie otrzymywały wszystkie rodziny. Ale mieszkanie kosztuje a większość ludzi nie przywiozła ze sobą żadnych zasobów. Co prawda Agencja szła przybyszom jak najbardziej na rękę budując dla nich mieszkania na bardzo dogodnych warunkach, na długoletnie spłaty. Suma, którą należało wpłacić jednorazowo, przed wprowadzeniem się do mieszkania wahała się w granicach od 400 do 1200 dol. i trzeba było ją jakoś zdobyć. Emigranci sprzedawali częściowo przywieziony dobytek, zapożyczali się i

jakkolwiek z trudem, ale przeważnie zbierali konieczną kwotę i jakoś dochodzili do mieszkania.

Spora garstka ludzi, posiadających jakieś, przeważnie skromne, zasoby pieniężne i dużo inicjatywy, a niekiedy tylko inicjatywę rzucała się do robienia interesów, zakładania przedsiębiorstw prywatnych lub spółdzielni, korzystając przy tym z wydatnej pomocy państwa.

Rząd Izraela za pośrednictwem Agencji zorganizował cały system rozdzielania kredytów na popieranie inicjatywy prywatnej. Kredyty te przyznawano na zakładanie drobnych fabryk, zakładów rzemieślniczych, sklepów. Przybysze z Polski założyli też niejedną spółdzielnię produkcyjną. Losy tych przedsiębiorstw są różne. Większość mimo borykania się z różnymi trudnościami stosunkowo szybko stanęła na własnych nogach, a co najważniejsze zapewniła utrzymanie jednej lub kilku rodzinom.

Znacznie gorzej wyglądała sprawa otrzymania pracy. Niektórzy, zwłaszcza ci, którzy mieli określone zawody lub posiadali znajomość języka hebrajskiego, znajdowali pracę bez większych trudności, szczególnie w początkowym okresie. Gorzej przedstawiała się sprawa z ludźmi, którzy mieli zawody mało przydatne w izraelskich warunkach lub wcale nie posiadali określonych zawodów. A ci stanowili przytłaczającą większość. Różnego rodzaju byli urzędnicy ministerstw, urzędów państwowych, prawnicy, profesorowie uniwersytetu z zakresu nauk humanistycznych, funkcjonariusze partyjni, dziennikarze — zmuszeni byli kołatać dzień w dzień do drzwi Agencji i różnych instytucji w poszukiwaniu pracy.

Ci szczęśliwcy, którym udało się zdobyć jakieś zajęcie, stanęli oko w oko z nowymi trudnościami. Obowiązujące w kraju ustawodawstwo pracy przewiduje, że każdy nowoprzyjęty pracownik musi przejść okres próby, trwający do 6 miesięcy. Po upływie tego czasu staje się pracownikiem stałym. Pracownik stały posiada cały szereg uprawnień, między innymi do rent i emerytur. Ponadto zwolnienie takiego pracownika jest w praktyce sprawą bardzo trudną, niemal że niemożliwą. Stąd naturalne dążenie każdego człowieka pracy do zostania pracownikiem stałym. Na tym tle miało i ma w dalszym ciągu miejsce mnóstwo szykan w stosunku do nowych *olim,* a omijanie ustawy we wszelki możliwy sposób jest nagminnie praktykowane.

ZA STARZY

Przeciętny wiek nowoprzybyłych waha się w granicach 40-50 lat. Instytucje niechętnie zatrudniają ludzi w wieku tak zaawansowanym mając przed sobą widmo rychłego wypłacania emerytury. Ludzie, którzy w Polsce w ogóle takiego problemu ni-

znali, stanęli nagle w obliczu świadomości, że są za starzy do pracy. Świadomość niesłychanie deprymująca, a jeśli dodamy do tego fakt, że z reguły otrzymywane zajęcie było znacznie poniżej kwalifikacji faktycznie posiadanych, lub niekiedy tylko urojonych, to można sobie wyobrazić, że samopoczucie tych ludzi wcale nie było najlepsze. Zdeklasowanie jest wśród ,,olim'' zjawiskiem powszechnym. Ktoś mógłby powiedzieć, że jest ono zjawiskiem powszechnym wśród każdej emigracji. To prawda, ale normalna emigracja rekrutuje się z ludzi w wieku przeważnie znacznie młodszym, którzy przyjmują to jako rzecz naturalną i o wiele lepiej to znoszą.

MY I WY

Przyczyny niezadowolenia są zresztą różne. Są małe i są duże. Są takie również, które wynikają z przeczulenia. Na niechętne nastawienie wpływa także specyficzna struktura tej ,,aliji'' Trudno, żeby ludzie, którzy w olbrzymiej większości przyjechali z dużych miast mogli czuć się dobrze w małej zagubionej osadzie. Trudności w opanowaniu języka, niemożliwość absorbcji kulturalnej powodują kompleks niższości, który wyładowuje się w różnego rodzaju pretensjach. Poza tym trzeba wziąć pod uwagę wstrząs, jakiego doznali ci ludzie przeskakując z gospodarki socjalistycznej do kapitalistycznej : znaleźli tutaj konkurencję w pracy i o pracę, większe wymagania zawodowe, wyższą wydajność pracy i wyższy poziom życiowy. To wszystko utrudnia i uprzykrza życie, co i często wyładowuje się w bezsilnej złości.

Pretensje *olim* pokrywają się zresztą często z pretensjami *watików* (ludzi z dawna w Izraelu zamieszkałych) ale naturalnym biegiem rzeczy *waticy* nie chcą przyznać *olim* prawa do tych pretensji, mają do nich o nie żal. Faktem jest, że w nowym kraju ludzie dzielą się na ,,wy'', to jest *watikim,* którzy dzierżą w swych rękach los nowoprzybyłych, którzy są obcy i dalecy, zwłaszcza gdy zaczynają snuć opowiadanie : ,,gdy my przybyliśmy do kraju... własnymi rękoma budowaliśmy te szosy...'' itp. itd., opowiadanie, które przeszło do tutejszego słownictwa anegdotycznego, oraz na ,,my'', to jest *olim,* którzy uważają, że ich udziałem są wyłącznie trudności i krzywdy, nie widząc trudności *watików.*

Każdy widzi swoje trudności a cudze sukcesy kolą go w oczy. Zazdrość — naturalne ludzkie uczucie — często przesłania obraz rzeczywistości. Nieraz spotkaliśmy się z takim zdaniem : ,,od razu dostali mieszkanie, na które my czekaliśmy długie lata ; od razu posada w Towarzystwie Elektrycznym, kiedy ja ubiegałem się o to tyle czasu... Pracowałem jako robotnik będąc inżynierem a tu kolega z ławy szkolnej, nie zdolniejszy,

nie zaradniejszy niż ja przyjechał i od razu dostał się na kierownicze stanowisko... A jakie meble przywiózł, jakie kryształy, antyki a czego ja się w tym czasie dorobiłem?

Tego rodzaju wypowiedzi słyszy się na każdym kroku i one to w niemałym stopniu przyczyniają się do pogłębienia podziału na ,,my i wy''.

Podział ten istniał zresztą z napływem każdej nowej fali *olim*. Nic zatem dziwnego, że istnieje on obecnie, w wypadku tej polskiej *aliji*, bardziej społecznie dojrzałej niż *alije* nie europejskie i mającej większe wymagania. W tym kraju permanentnej *aliji* każdy dobrze wie, że z upływem czasu role się zmieniają.

Pan X., który przyjechał do kraju przed rokiem a od kilku miesięcy zajmuje się w Agencji absorbcją nowych *olim* przyznał niedawno: ,,Oni mnie już denerwują, mają tyle wymagań, zdaje im się, że wszystko wiedzą''. Mimo to ludzie miejscowi zdają sobie sprawę z olbrzymiej wartości tej *aliji* dla kraju. Odczuwają zresztą tę wartość realnie w zwiększonym popycie, w zwiększonych możliwościach pracy i rozwoju.

Mimo wszystko uważają za swój obowiązek przyczynić się w jakikolwiek sposób do absorbcji *olim*. Starają się dla nich o pracę, o mieszkanie w pobliżu Tel-Avivu, dzwonią do urzędników Agencji, by przyspieszyć tę czy ową sprawę, by dali jeszcze jedną pożyczkę. Lekarze zrezygnowali z godzin nadliczbowych w instytucjach by zwolnić miejsca dla nowych. Związek dziennikarzy urządził dla swych kolegów po piórze specjalny *ulpan*, wywalczył w wielu redakcjach miejsca na praktykę dla nowoprzybyłych. Fabryki i przedsiębiorstwa przyjmowały nowych ludzi często dyskryminując *watików*. Koledzy w pracy — w większości wypadków — pomagali nowym w przystosowaniu się do nowych warunków pracy, w pokonywaniu trudności językowych. Spora liczba *olim* z Polski urządziła się u krewnych lub z pomocą krewnych, często nie bogatych.

Powstał cały szereg funduszów społecznych, jak Fundusz pomocy pisarzom i artystom ocalonym z zagłady i ich żonom; Fundusz dla byłych więźniów, którzy odsiadywali kary za działalność syjonistyczną; Fundusz Związku Olei Polania, fundusz stypendialne dla umożliwienia ukończenia studiów tym, którzy je w Polsce rozpoczęli. Warto zaznaczyć, że na sam wydział medyczny przyjęto w 1957 r. 54 *olim* z Polski.

Nie ma instytucji, która nie wchłonęłaby pewnej liczby nowych ludzi, nawet spółdzielnie autobusowe zrezygnowały w wielu wypadkach ze swej ekskluzywności.

TĘSKNOTA ZA POLSKĄ

A jednak kiedy się rozmawia z większością nowych *olim* — z tymi urządzonymi i z tymi nieurządzonymi — odnosi się

wrażenie, że niemal wszyscy są niezadowoleni. Zwłaszcza jeżeli nasz rozmówca jest w kraju mniej niż rok, kiedy jeszcze świeże są wszystkie bóle i żale : spłaty zaciągniętych pożyczek niezmiernie obciążają budżet rodzinny. Często niewiele zostaje na życie. Dojazdy autobusami do odległych miejsc pracy są niesłychanie męczące i kosztowne. Upały dokuczają. Za szkołę (gimnazjum) trzeba płacić, za uniwersytet również. Tyle utrudnień, których w Polsce nie było. Wraca obraz świata kapitalistycznego, którym karmił ludzi reżym. A w tym obrazie niechętny stosunek do syjonizmu zajmuje szczególne miejsce.

Inteligencja wspomina z łezką w oku nie tak jeszcze dawne dyskusje przy stoliku kawiarnianym w Warszawie. Trudno zapomnieć jak się przeżywało ,,Październik'', jak się komentowało takie czy inne przemówienie Mao-Tse-Tunga czy Chruszczowa, z jakim dreszczykiem czytało się Sartre'a lub Vercosa. A jeszcze trudniej pogodzić się z zupełnym brakiem przeżyć intelektualnych, z amerykańskim stylem życia, który przyswoili sobie *watticy* wraz z przekonaniem o swojej wyższości kulturalnej. Izraelskiemu intelektualiście — *sabrze,* który studiował w Oxfordzie, a doskonalił się w Harward — trudno zrozumieć i uwierzyć, że krakowski uniwersytet jest na wysokim poziomie, lub że warszawska politechnika wypuszcza dobrego inżyniera. Trudno mu znaleźć wspólny język z intelektualistą z Polski, który co prawda zraził się do systemu politycznego w Polsce, ale nadal pozostał rozmiłowany w poezji i literaturze polskiej i dla którego w dalszym ciągu ważnym przeżyciem jest dyskusja Rudnicki-Saudauer, a premiera w Teatrze Współczesnym w Warszawie ważnym wydarzeniem.

PRZEŁOM

Nieliczni stosunkowo dali się całkowicie opanować niechęci do nowej ojczyzny na skutek tych wszystkich trudności natury materialnej, trudności absorbcji kulturalnej i środowiskowej. Nieliczni powzięli decyzję powrotu do Polski lub emigracji do innego kraju. Mit o tłumach przed poselstwem polskim w Tel-Avivie przy bliższym wejrzeniu okazał się tylko mitem. Na kilku wyczekujących tam w tym właśnie celu jest zawsze kilkudziesięciu załatwiających sprawy legalizacji dokumentów, wiz turystycznych lub inne sprawy załatwiane normalnie przez konsulaty. Procentowo reemigracja nowych *olim* jest bardzo niska, do czego przyczynia się również fakt, że władze polskie nie kwapią się z zezwoleniami na powrót.

Ogromna większość zajęta jest codzienną walką o chleb, która pochłania ich bez reszty i nie pozostawia czasu na marzenia o minionej ,,świetności'', o Warszawie, o przyjemnych po-

południach w kawiarni „Nowy Świat" czy wieczorach w „Kameralnej", o beztroskich wczasach w Krynicy lub Zakopanem i fantastycznych ilościach wypitej przy różnych okazjach i bez okazji wódki. Obraz Polski oddala się, zaciera, jego miejsce zajmują nowe troski i nowe marzenia — o kupnie nowej kanapy czy nowego dywanu do mieszkania. Powoli ludzie ci zamieniają się w zwykłych Izraelczyków, przyswajają sobie ich pragnienia ambicje i marzenia.

Franciszka TORUŃCZYK i Filip BEN

Kraj

Nieprawda

W pięćdziesiątym trzecim roku zapisałem się oficjalnie do zetempe, czyli wymawiając tę rzecz z należytym szacunkiem — wstąpiłem do Związku Młodzieży Polskiej. Tym samym przystałem w szeregi młodych bojowników pochodzenia robotniczo-chłopskiego przede wszystkim, w wyjątkowych okolicznościach dopuszczało się również inteligencję pracującą. Zaznaczam wyraźnie, że inteligencję również. Akt został przypieczętowany.

O co ci młodzi ludzie chcą walczyć? O, to bardzo proste — o pokój i o socjalizm w ogólności, a w szczególe, — zbyt dużo było tych celów w szczególe, aby je tutaj wszystkie wymieniać. Walczyło się z elementami reakcji, prywatną inicjatywą, niedobitkami kapitalizmu w rodzaju fabrykanta czy też sklepikarza. To w środowisku miejskim. Oczywiście na wsi należało też z kimś walczyć — w głównej mierze z kułakiem, tak z kułakiem i z księdzem po trochu. Bo wiadomo — ten ostatni wstrzymuje wszelki postęp, szerzy zabobon i wiarę w cuda. Komuniści w takie rzeczy nie wierzą.

Było wielkie wydarzenie, pamiętam, że zawsze odtąd dodawałem jedno znamienne zdanie w moim życiorysie. Ileż to razy trzeba było pisać: „od roku 1953 jestem członkiem Związku Młodzieży Polskiej..." i coś jeszcze na dodatek, aby ten istotny moment nie wypadł zbyt sucho — towarzyszu, trzeba bardziej entuzjastycznie o tych sprawach! Przykład dali komsomolcy z Krasnojarska. Pisało się więc celowo tak, aby zwrócić uwagę czytającemu na ów ważny fakt, że człowiek jest bądź co bądź zorientowany politycznie i przez to nie można go w żaden sposób posądzić o reakcję względnie jakieś odchylenia lewicowe, czy też prawicowe — jedno i drugie bardzo niedobre. Chcecie wiedzieć jak niedobre? Dokładnie nie powiem, ale asortyment był różny, czasem tylko trzy lata, czasem pięć, czasem siedem albo i więcej. W najlepszym wypadku rok, jeśli uznają, że ktoś niepełnoletni, wobec tego nie może w pełni odpowiadać za

swoje przekonania. Za to cierpieli starsi z najbliższego otoczenia, też przykre. Gorzej, gdy wyszły na jaw czyjeś inklinacje w kierunku systemu kapitalistycznego, sympatie dla potęg imperialistycznych, takich jak USA, lub Anglia, czy chociażby ta niezdecydowana Francja. Kraje tak gruntownie przegniłe i zżarte przez ich własny ustrój. Źle o tym dobrze myśleć, jeszcze gorzej mówić.

Takie czasy. Zresztą one już minęły, ta historia ma w tej chwili posmak historyczny bardziej niż współczesny. Niemniej, te fakty — bo to są fakty — należą do naszej epoki, ona je przyniosła. Nam wszystkim na utrapienie. Delikatnie powiedziane, nieprawdaż?

Ale chciałem opowiedzieć więcej o tamtym dniu, to była taka uroczysta chwila. Dzień jak wczoraj, jak jutro i pojutrze — a jednak inny. Zwołano nadzwyczajne zebranie przyszkolnego Koła ZMP, właściwie nie tyle przyszkolnego, co przyklasowego. Bo każda klasa w liceum posiadała wówczas swoje własne Koło, swego własnego przewodniczącego, swego własnego sekretarza, skarbnika i swego własnego opiekuna ideologicznego: „Dziesiąta be" — zbieranina najróżniejszych wybij-szybę i daj-Antkowi-w-mordę rozbijaków. To była właśnie Nasza Klasa. Byliśmy dumni z niej, zawsze — i w jasnych i w czarnych chwilach. Towarzystwo — jak to zwykło się mówić — spod ciemnej gwiazdy, a jednak wciąż tak bliskie sercu. Przynajmniej jego cząstka została tam, wtedy, w tych dniach — tych które już minęły i jeśli minęły, to chyba po to, aby nigdy więcej nie wrócić. Szkoda.

Muszę jednak ciągnąć dalej. Otóż, klasa dziesiąta be nie była wcale gorsza od innych, bynajmniej, i też miała własne Koło ZMP, własnego przewodniczącego, własnego sekretarza i tak dalej — wszystko własne. Wspomniałem o uroczystym dniu i o zebraniu. Zwołano je po to właśnie, aby dokonać, w zgodzie z kompletnym i dość bogatym rytuałem przyjęcia kolegi Teodora w szeregi członków zetempe. Po raz dziesiąty powtórzę: Związek Młodzieży Polskiej, wygląda na dźwięczną nazwę. Od tamtej chwili przestałem być już bezpartyjnym, bezpańskim. Jak bezpański pies. Tak patrzono na tych innych. Nieliczni, przecież byli — ci, którzy wytrwali. Wytrwali mimo wszystko, mimo całej presji, wywieranej na ogół po cichu. Czasem też i głośno, różnie. Raz bardziej wyraźnie, raz mniej. Zawsze jednak czułeś to bracie. Na przykład: „czy kolega chce dostać się na wyższe studia? Tak? Kolega chce... Świetnie, bardzo chwalebna myśl. Czy kolega należy do Związku? Oh, nie... Rozumiemy, więc kolega nie chce walczyć o wykonanie planu 6-letniego i nie ma ochoty eliminować i wypierać kułaka na wsi. A w niedzielę — właśnie — być może w niedzielę kolega chodzi do kościoła? Na mszę??" Ten ostatni fakt, jeśli go stwierdzono naocznie, dyskwalifikował każdego, nawet bardzo zdolnych ludzi. Można było, ale po cichu. Wszystko po cichu.

Czemu nie, jeśli ktoś bardzo chciał, mógł nawet radia posłuchać. Mam na myśli ,,tamto'' radio, nie ,,nasze'' — to, które tak głośno zazwyczaj gra, Polskie Radio — ale, jak powiadam — ,,tamto''. Free Europa. Głos Wolnej Polski. Nadajemy Wiadomości Dobre Czy Złe, Ale Zawsze Prawdziwe — czyli — mówi Nowy Jork, Głos Ameryki... Madryt buczący niskim altem panny Piłsudskiej, jednej z córek Marszałka... A propos Marszałka, on już wprawdzie nie żyje, ale co o tym człowieku nie naopowiadano, Boże — musiałby chyba ze sto trzydzieści sześć razy obrócić się w grobie, gdyby tego słuchał. Że zdrajca, że agent wywiadu niemieckiego na terenach Polski, że chciał obalić bolszewizm — w tym ostatnim może i jest trochę prawdy, tak myślę. Cóż... czy ja wiem, dziadzio Stalin miał śliczne wąsy pod nosem, takowe zwykł nosić Marszałek Piłsudski — może stąd ta nadzwyczajna nienawiść. Przecież gatunki bliskie sobie nie znoszą się najmocniej. Tych rzeczy uczy chociażby ów słynny staruszek z siwą brodą — mistrz Darwin. Nie wiedzieliście o tym? Na Wawelu, w podziemiach Katedry jest krypta, w niej obszerna trumna Marszałka, do czasów października pięćdziesiąt sześć zakratowana, teraz z powrotem otworzona. Sceptycy pytają zawsze — czy On tam jeszcze naprawdę jest? Niemądre pytanie.

Podobnie niemądre pytania zadawano na zebraniach. Takich, jak tamto u nas w szkole, w naszej klasie. Oczywiście po lekcjach, to jest wtedy, kiedy każdy ma ochotę pójść do domu, nawet najbardziej zażarty Zetempowiec. A zatem: ,,dlaczego kolega postanowił wstąpić do Związku Młodzieży Polskiej? Proszę to uzasadnić. Jakie są polityczne przekonania kolegi?'' i jeszcze kilka tym podobnych. Pytania padały jedno po drugim, po kolei. Wszystkie brzmiały śmiertelnie poważnie, w ustach Przewodniczącego, równie poważnie brzmiały odpowiedzi. Każdy wiedział na pamięć co trzeba odpowiadać, jedna przy tym uwaga: nie należy recytować, to źle wychodzi i może być podejrzane. Te same zdania, te same słowa, ale powiedziane ,,od siebie'', tak z przekonaniem, robią zupełnie inne wrażenie. Zresztą obok siedział sekretarz i wszystko notował.

Jest jedna jasna plama w tej całej ponurej opowieści. Przecież i przewodniczący i sekretarz i cała reszta — oni byli moimi kolegami, z tej samej ławy. Jurek i Andrzej i Staszek, oni wszyscy i my wszyscy, i ich rodzice, i nasi rodzice, i ci ludzie nieznajomi, których tylu spotykałem codziennie w tramwaju, gdy posuwałem z ciężką teczką pod pachą. Otóż i ci przypadkowi, obcy ludzie spotkani w tramwaju — wszyscy myśleli tak samo. Być może nic o tym nie mówili, milczenie jest złotem, zwłaszcza w takich czasach. Przecież myśleć nikt nikomu nie potrafi zabronić, a stalinizm, choć tak genialny, nie przyniósł ze sobą elektronowej maszyny do odkrywania twoich myśli. Prawda, były za to inne środki, być może bardziej skuteczne, przy tym mniej elektronowe. Żelazne pręty, gumowe pałki, obcęgi do ściągania paznokci, pęk sznurów, rzemienny batog, czy chociażby rzecz

tak błaha, jak zgrabne, dobrze wyuczone uderzenie pięścią w zęby — co za precyzja — po takiej krótkiej operacji nic już w ustach nie zostawało prócz krwawej miazgi i kilku kawałków twardego szkliwa.

Przecież wieczorem, w ciszy odgrodzonej szczelnie czterema ścianami pokoju, można było usłyszeć daleki głos w eterze — trochę cierpliwości i trochę szczęścia, aby poprzez cały ów jazgot... Cóż za piekielne maszyny, piekielny umysł, który to wymyślił one szły i wciąż jeszcze idą! ...Aby poprzez ten falochron uchwycić dalekie, polskie słowa Stamtąd. Do dziś pamiętam nerwowe drżenie palców — żeby tak delikatnie obrócić gałkę kondensatora, aby nie stracić odbioru tamtej stacji, a uniknąć zagłuszania. Nie każda rodzina w Polsce posiada aparat radiowy, nie przeszkadza to wcale, że każdy wie „co słychać w świecie" i zna na pamięć i na wyrywki „wiadomości dobre czy złe ale zawsze prawdziwe" — tak było przynajmniej Wtedy. Wydaje się dawno, przecież trzeba pamiętać, że bardzo nikła granica dzieli to Dawno od obecnego Teraz. Był w międzyczasie październik, przedtem zmarł Stalin. Krew go zalała, czy coś takiego — tak mówią — czy ja wiem jak to było, dość, że wąsiasty dziadzio usunął się w cień. Później odszedł od nas nasz wielki, ukochany przyjaciel, wódz i ojciec — Bolesław Bierut. Grzebaliśmy go wszyscy wspólnym wysiłkiem, w Warszawie na Powązkach. Trochę smutno bo bez księdza, ale tak wielkiemu człowiekowi jak on nie było to potrzebne, za to ryczały żałosnym tonem wszystkie megafony, wysoko aż pod niebo, a Chopin grał swój Marsz Żałobny w każdym zakątku kraju. Potem... właśnie, cóż jeszcze potem zdarzyło się ciekawego? Bez dużego hałasu zastrzelono Berię — tego, który przysięgał nad grobem nieśmiertelnego Stalina wierność komunizmowi — aż do grobowej deski. Biedak, czy mu chociaż tę deskę dano, chyba nie. Moskwa jest okrutna, jeśli dziś jesteś jej przyjacielem, być może jutro zostaniesz ogłoszony jej wrogiem, skąd wiesz. Był dobroduszny Maleńkow, rozrośnięty w cztery strony, on też usunął się na bok. Szczęśliwie obyło się tym razem bez publicznego procesu i bez głośnego przyznawania się do wszystkich grzechów, popełnionych i niepopełnionych — działalność na rzecz agentur imperialistycznego wywiadu — cóż, kwestia przyzwyczajenia. Mam ochotę zdradzić w tym miejscu jedną taką „po zakulisową" anegdotkę — jeszcze z tamtych „dobrych czasów", gdy żył Stalin i, jak zwykle, bardzo lubiał palić swoją fajkę, wszędzie z fajką, zupełnie tak jak mój dziadek z Tarnobrzega. Zdarzyło się, że fajka zginęła, nieszczęście. Stalin woła swojego wypróbowanego zausznika, Berię, ten był spec, i powiada mu o zgubionej fajce... Wieczorem fajka znalazła się, o dziwo. Była na swoim miejscu, za cholewą. Wieczorem Stalin widzi znów Berię i znów rozmowa schodzi na temat fajki.

— Znalazła się — mówi Stalin.

— Za późno — stwierdza Beria. — Zamknąłem czterech ministrów, w śledztwie wszyscy przyznali się do kradzieży fajki

Anegdotek takich jak ta, dłuższych i krótszych, opowiadano sobie wówczas dziesiątkami, a może i setkami. Byłby gruby tom, gdyby to zebrać, myślę, że ciekawy. I znów muszę powtórzyć, że te czasy minęły. Przecież...

Teraz mamy wujka Chruszczowa, zawsze z tak miłym i ujmującym uśmiechem na swojej rozlanej i wiszącej na dół twarzy, tyle tłuszczu pod tymi fałdami. Wujek — wielki entuzjasta rolnictwa w ogóle, a kukurydzy w szczególności. Dziwna rzecz, dlaczego akurat kukurydzy, to prawda, że świetne pożywienie dla świń, ale przecież do pędzenia bimbru nie nadaje się. Jeśliby chodziło o wódkę — o, to rzecz potrzebna, przy czym potrzeba ta wzrasta proporcjonalnie do wysokości stanowiska i odpowiedzialności w aparacie państwowym — otóż, na ten cel lepiej od kukurydzy nadają się ziemniaki, zboże — albo jakieś owoce, jabłka, gruszki.

Tak tedy przebrnęliśmy z tamtych czasów w te czasy, z tego co było kiedyś, do tego co jest teraz. Woda w rzece płynie w sposób ciągły i wiadomo, że nie ma po drodze luk — trudno byłoby więc poukładać sobie pewne okresy do ściśle wyznaczonych szufladek, każda z nalepioną etykietą : ,,od-do''. Po prostu nie da się.

Po kilku dniach dostałem legitymację członkowską. Nowa, w twardej, czerwonej okładce z wytłoczonymi literami ,,ZMP'', wewnątrz moje zdjęcie zamazane w jednym rogu pieczęcią — potem miejsce na składki, wyjątki ze statutu organizacji i tak dalej. Podobno nasi rosyjscy koledzy, komsomolcy — niezrównany wzór i przykład — zwykli nosić taką legitymację zawsze przy sobie, w lewej kieszeni marynarki, na piersiach, tuż przy sercu. I nigdy nie oddać wrogowi.

Jedno zebranie w tygodniu więcej. Jedno mniej, jedno więcej — już ich i tak dosyć było, policzyć tylko. Samorząd klasowy, Samorząd szkolny, Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, Liga Przyjaciół Żołnierza, Związek Bojowników o Pokój . Demokrację... żadna z tych instytucji nie chciała być gorsza, wobec tego niemal co dzień wypadało jakieś Zebranie — plaga tamtych dni. Ciekawa rzecz, gdy rozmawiam niekiedy z ludźmi tych czasach — oni najlepiej pamiętają te niekończące się posiedzenia, narady zwykłe i narady produkcyjne — takie bywały co kwartał, najróżniejszego gatunku zebrania, tak zwane kursokonferencje i wreszcie takie sobie zwykłe konferencje. Jeśli czasem człowiek chciał urwać się z domu — pamiętam — były przecież jeszcze inne sprawy, park, wiosna, ciepły wiatr — te problemy istnieją wiecznie — otóż, gdy trzeba było nagle wyjść jeśli w ostatnim momencie padało znienacka pytanie : ,,gdzie dziesz?'' — cóż, prosta na to odpowiedź : ,,idę na zebranie'' wszystko było jasne. Nikt nie wchodził głębiej, jakie mianowicie zebranie i gdzie — tyle się tego namnożyło, niektóre z nich rwały bardzo długo.

Jedne były szalenie ciekawe, inne mniej. Najmniej chyba te w środy, po sześciu lekcjach. „Niepartyjni", to znaczy nie-członkowie Związku szli sobie do domu drwiąco śmiejąc się w duchu, czasem głośno też, z tych, którzy musieli zostać. Twardo zabieraliśmy się do obrad, my. Porządek dzienny zebrania zawsze bywał taki sam — mało powiedzieć taki sam, był identyczny co do joty, kubek w kubek taki jak ten w zeszłą środę. Punkt pierwszy — zagajenie, a więc „otwieram kolejne zebranie itd.", punkt drugi — zaproponowanie porządku dziennego, to robił przewodniczący. Punkt trzeci — dyskusja nad porządkiem dziennym, ewentualne wniesienie poprawek przez członków Koła, tu nie było długich dyskusji, zazwyczaj odbywało się wszystko jednomyślnie, jednogłośnie, przez aklamację, wszyscy za. Następny punkt przynosił bodajże odczytanie protokółu z poprzedniego zebrania, czytał sekretarz — później — przyjęcie względnie nieprzyjęcie protokółu przez członków Koła, to już był czwarty punkt. Następnie szło odczytanie jakichś tam tez lub wytycznych, które przychodziły co tydzień z Zarządu Głównego — robił to zwykle Jurek, którego ceniono za to, że potrafił wyrzucić z siebie około stu dziesięciu słów na minutę — sprawdzaliśmy raz przy pomocy stopera. Dyskusja nad tymi tezami to też był osobny punkt i już zbliżał się koniec. Jeśli przebrnęło się pomyślnie kolejno przez wszystkie opłotki i jeśli nikt nie wyrwał się po drodze z głupim pytaniem w rodzaju „dlaczego od tygodnia nie ma masła w sklepie?" lub „dlaczego mama wysyła mnie do ogonka po chleb?" lub na inną nutę — jak to podobno gdzieś się zdarzyło: „Ile Związek Radziecki płaci za jedną tonę naszego węgla?". Takie pytanie miało już zdecydowanie kryminalny odcień i potem nikt nie wiedział co z takim fantem zrobić. Otóż, jeśli jakiś tuman nie rozpoczął gadki w ten deseń, to wszystko kończyło się szczęśliwie. Nasze tempo było nawet nienajgorsze. Pamiętam szósty i ostatni punkt programu — wolne wnioski i zaraz potem sakramentalne słowa przewodniczącego: „ponieważ w wolnych wnioskach nikt głosu nie zabiera, uważam zebranie za skończone". Hip-hip-hurra i szło się do domu. Jedno mniej.

Czasem, ale to rzadko — tylko wtedy, gdy nie było opiekuna — nasze zebranie stawało się fascynujące i przy tym tak wesołe, że nikt dobrowolnie nie opuściłby go. Bezpłatna komedia, a jak Andrzej twierdził — lepsza niż kino. Było byczo, to nie ulega wątpliwości, sami swoi, wobec tego żaden z nas nie bał się mówić co chciał, co mu w głowie świtało. Nareszcie, znaliśmy się przecież na wzajem jak łyse szkapy. Było o czym — mam na myśli tematy rozmów — po prostu Jurek czytał owe tezy czy dyrektywy, jak zawsze, tylko tym razem nieco wolniej i na poczekaniu dorabiało się komentarze. Chwilami miałem łzy w oczach, — śmiech był jak wulkan, przychodził sam nieproszony. Być może wystarczyłby tylko jeden taki komentarz aby odsiedzieć zań te swoje dwa albo trzy lata, inne były jeszcze lepsze — pięć albo siedem lat. Tam byliśmy jednak bezpieczni,

wszystko działo się przecież w ramach, na forum i pod egidą. Patronował Związek Młodzieży Polskiej.

W ósmej klasie była jeszcze religia, później już nie. Zaczęło się od tego, że pewnego dnia nie znaleźliśmy krzyża na swoim miejscu — na frontowej ścianie w klasie, powędrował na bok, wisiał sobie nad drzwiami. Wciąż jednak był, nie na długo. Potem zniknął ze szkoły ksiądz, rano nie śpiewaliśmy już nigdy ,,Kiedy ranne wstają...'' zamiast tego była inna piosenka ,,Naprzód młodzieży świata...'' i inna melodia, lub niekiedy dla odmiany : ,,wyklęty powstań ludu ziemi''.

Porządku pilnował sam dyrektor. Zresztą zamiana szkoły na świecką odbyła się ,,za zgodą'' i ,,na prośbę'' samych uczniów, specjalna petycja w tej sprawie poszła do Wydziału Oświaty. Dziś jeszcze mam w oczach inteligentną, pewną siebie twarz faceta, był on całkiem młody, który tłumaczył nam wszystkim, że religia uczy nonsensów i dlatego nie ma dla niej miejsca w socjalistycznej szkole. I aby logicznie tę tezę uzasadnić, opowiadał długo o wielorybie, że... Bo było tak, że Święty Jonasz wypadł kiedyś do morza, nie tyle wypadł ile go tam wrzucono i pech chciał, że połknął go wieloryb. W brzuchu wieloryba Święty Jonasz przesiedział trzy dni, później wylądował na jakimś brzegu i w ten sposób został uratowany... Przecież z biologii wiemy, że wieloryb ma przełyk wąski jak pięść, więc... i tak dalej. To był taki przykład, być może też nadesłał go Zarząd Główny albo jakieś inne odgórne instancje jako temat do dyskusji.

Od tego czasu nie znaleźliśmy już więcej religii ani w programie zajęć szkolnych, ani na naszych świadectwach. Wszyscy — aby być ścisłym — prawie wszyscy chodzili wieczorami w czwartki do kościoła, tam w jednym z pokoików Urzędu Parafialnego siedział za stołem ksiądz i uczył tego co dawniej — tyle tylko, że teraz miał o wiele lepszych uczniów, nie trzeba było ciągnąć za uszy, każdy, kto tam przyszedł, zrobił to na pewno dobrowolnie.

Cztery lata liceum przeleciały bardzo szybko. Polak powiedziałby : jak z bicza strzelił, lub może inaczej : ani się człowiek nie obejrzał, a już...

Rzeczywiście, ani się człowiek nie obejrzał, a już miał świadectwo maturalne w kieszeni i zawiadomienie o terminie egzaminu wstępnego na wyższą uczelnię. Między innymi trzeba było zdać marksizm-leninizm, dokładnie mówiąc ,,podstawy marksizmu-leninizmu, niektórzy nazywali tę rzecz popularnie ,,wodolanie''. Pamiętam niekończące się dyskusje podczas seminariów na temat ,,w jaki sposób Rewolucja Październikowa przyniosła wyzwolenie Polsce w latach pierwszej wojny światowej'', przedmiot dość trudny, prawda ? Ale wszystko da się udowodnić, nawet to, że Związek Radziecki bronił Polski przed Niemcami w trzydziestym dziewiątym, tą właśnie tendencją obrony tłumaczono wkroczenie wojsk Armii Czerwonej na wschodnie tereny Polski, rzecz tak oczywista. Zwłaszcza dla kogoś, kto ma duże

oczytanie w literaturze marksistowskiej, Boże, cóż to za stosy papieru ! — względnie jeszcze lepiej, jeśli ktoś ma zaufanie do Partii, wtedy może obejść się bez tak głębokich studiów, wystarczy ,,kalendarzyk aktywisty'' lub przejrzenie ,,krótkich wniosków''. Historia Wukapebe, czyli Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii Bolszewików — obszerna książka, choć autor, prawdopodobnie sam nieśmiertelny mistrz, zastrzega w podtytule, że to tylko ,,krótki kurs''. Ów ,,krótki kurs'' — jeden z najtrudniejszych egzaminów na Uniwersytecie, trzeba znać rozdział za rozdziałem, punkt po punkcie.

Już nie tak wesoło jak kiedyś w szkole, o nie ! Ludzie nie byli całkiem pewni, przynajmniej nie wszyscy. Trzeba było być ostrożnym, milczącym, trzeba było się bać. Po to, aby skończyć studia, bo przecież w gruncie rzeczy to jest cel. Zebrania zetempowskie odbywały się regularnie jak dawniej, ale były bardzo różne, o wiele teraz poważniejsze, bardziej odpowiedzialne. Wiadomo, nasz Rząd i Partia pokłada swoje największe nadzieje w młodym pokoleniu. Stare jeszcze wprawdzie żyje, do czasu. To jest przykra konieczność, nie da się wszystkich naraz usunąć. Oni — ci starsi — pamiętają zbyt dużo, wiedzą nawet co było zanim wybuchła wojna, oni tkwią korzeniami w reakcyjnym błocie, nawet te korzenie są już trochę zgniłe. My młodzi... Młodzi — to będą ludzie, którzy zbudują nowy ustrój, teraz kładą się jego podwaliny. Okres przejściowy, trudności przejściowe, rolnictwo nie nadąża za przemysłem — każdy zna to na pamięć. Mięsa nie jesz cały tydzień, bo go nie można dostać — za to bardzo tanim wysiłkiem możesz przeczytać w prasie za dwadzieścia groszy, takie mnóstwo tego... albo usłyszeć w radio, że spożycie mięsa na głowę ludności w Polsce wzrosło obecnie o sto czterdzieści sześć i osiem dziesiątych procent w porównaniu z rokiem trzydziestym czwartym. Rzecz oczywista — wtedy, w tamtych latach rządziła burżuazja, wielcy właściciele ziemscy, obcy kapitał... Stąd ta nędza. Teraz, w socjalistycznej Polsce dzięki wspaniałej, nieocenionej pomocy Związku Radzieckiego dobrobyt społeczeństwa wzrasta z dnia na dzień, z godziny na godzinę... trudno uwierzyć, że w tym nie ma ani krzty przesady — tak wtedy wyglądał język oficjalny. Skończę tutaj, bo zbyt mało mam czasu aby pisać podręcznik marksistowski i chyba nie chcę tego robić. Zresztą pewne rzeczy — właśnie te — są dobrze znane, tak przypuszczam i im dłużej o nich opowiadać, tym bardziej coś ściska w gardle, coś niedobrego, aby nie powiedzieć wprost, że człowiek chce rzygać, bo to nieładne słowo.

Czerwone, wyolbrzymiałe słońce zapadało nisko za brzegiem jeziora, rozigrane blaski zorzy wieczornej topiły się szybko w wodzie. Gasły bez protestu, bez syczenia nawet, gdzieś w cichej niewidocznej głębi, nie tak, jak robi to gorący żar ogniska kiedy polać go kawą z menażki. Te wakacje były jednak cudowne, dwa tygodnie na Węgrzech, pełzło leniwie południe a

wraz z nim tak-połóż-się-i-o-niczym-nie-myśl lipiec. Jednak warto żyć, mimo wszystko. Jezioro — to samo, o którym mówiłem, że za jego brzegiem zachodziło słońce i tak powtarzało się każdego wieczora — nazywało się Balaton. Dużo pływałem, oczywiście znowu — żagle, biała pasja.

Węgrzy — nasi gospodarze i nasi koledzy, studenci Politechniki Budapeszteńskiej, wiem, że jeden z nich, wysoki brunet, mówił dobrze po angielsku, łaziłem z nim nad Balatonem, parę razy kłóciliśmy się — on później zginął, pośród setek innych. Dlaczego on ? Bo to lato było przed jesienią, tamtą pamiętną jesienią. Otóż, nie dokończyłem, że Węgrzy byli naprawdę mili i pamiętam, jak uczyli się zawzięcie jak powiedzieć po polsku ,,ja ciebie kocham'' lub coś jeszcze ciekawszego, na przykład : ,,mój dziubeczku''. Bo trzeba wiedzieć, że przywieźliśmy ze sobą z Polski kilka niczego sobie babek w okolicach dwudziestki, a jeśli nawet nie wszystkie były tak ładne jak Bardot, przecież zawsze na swój sposób interesujące. Chociażby taka Elżbieta — ta sama, która kończy teraz piąty rok studiów na Akademii Medycznej w Warszawie. Nie dziwię się więc Węgrom, że próbowali nawiązać jakiś kontakt — w słowie ,,jakiś'' kryje się pułapka — to mógł być kontakt na przykład intelektualny — ot, chociażby poprzez konwersację, stąd trzeba było nauczyć się przynajmniej dwóch zdań po polsku, to mógł być kontakt mniej intelektualny, za to — powiedziałbym — bardziej międzynarodowy i chyba w takich właśnie wypadkach — bardziej przydatny.

Słowem, aby uciąć krótko długą historię, to mogły być wspaniałe wakacje, ale jednak nie były. Obrzydzili nam życie nasi polityczni opiekunowie, którzy przez cały ten czas dbali o to, aby nikt nie wychylał nosa gdzie nie potrzeba i nie mówił rzeczy niepotrzebnych — takich, które mogłyby być politycznie niebezpieczne. Co było bezpieczne, a co nie — któż miał osądzić ?

Przede wszystkim kwestia Poznania, drażliwa historia. Poznań słynny był wówczas z zajść, które miały miejsce kilka tygodni temu. Wszyscy o tym mówili, dopytywali się ciekawie. Rozruchy ? Powstanie ? Rewolucja ? — Co to było ? Oficjalna wersja tłumaczenia była zaskakująco prosta — jeśli jakieś tłumaczenie w ogóle było potrzebne. Okazuje się, że czasem jednak tak — gdy kogoś przyparto do muru. Przekonywująco i daleko od prawdy — mówiło się tak : drobne zamieszki uliczne, wywołane przez grupę młodocianych chuliganów, cała sprawa miała charakter raczej kryminalny a nie polityczny — szybko stłumione, następnego dnia nasza władza przywróciła spokój w mieście przy poparciu robotników etc., etc. Jeśli ktoś odważył się opowiadać inaczej, to była wtedy całkiem po prostu robota na rzecz propagandy imperialistycznej. Nieprzyjemnie pachnie.

I istotnie nieprzyjemnie skończyło się. Za dużo gadałem, bo mnie czasem cholera ponosi — czy to moja wina ? Nie przy-

puszczałem nawet, że tylu mam wrogów wśród moich własnych kolegów — tych speców od ,,ideologii'', stróżów czystości myślenia u wszystkich innych. Jeden z nich, zwłaszcza ten jeden — gdybyż on mógł — zdarłby chyba ze mnie skórę żywcem. Co mu zrobić, taki syn. Zastanawiam się, czy on będzie miał jeszcze kiedyś w życiu do tego okazję. Jeśli tak, to nie wątpię, że potrafi ją wykorzystać.

Po powrocie do Polski rozprawiono się ze mną gruntownie. Dopóki byliśmy na Węgrzech i później w przejeździe przez Czechy — polubiłem naprawdę Bratisławę — otóż, wtedy jeszcze był spokój. Zaczęło się na miejscu, w Warszawie, tam dobrali się na koniec do mojej skóry. Znowu uroczyste zebranie, a jakże — zupełnie jak tamto kiedyś, tamto z dawnych czasów, gdy przyjmowano mnie do ZMP. I tym razem dłuższa dyskusja, co najmniej dwie godziny, podsumowanie dyskusji, głosowanie i... I kolega Teodor został usunięty z szeregów Związku, raz na zawsze. Znowu z zachowaniem pełnego rytuału, za dużo szczegółów, aby o wszystkich pisać. Powód? Powodów było aż za dużo, decyzję przypieczętowało to, co w protokóle otrzymało delikatną nazwę ,,niewłaściwe zachowanie się na Węgrzech''.

Jak niespostrzeżenie ten czas ucieka i co gorsza wszystko się zmienia. Niemal momentalnie po wrześniu — tamte sprawy były we wrześniu — przyszedł październik. Polski Październik — wiadomo kiedy i co. Wobec tak doniosłych wydarzeń tamta historia, rzecz jasna, ucichła i nikt odtąd o tym nie wspominał, nawet najbardziej zażarci nie pisnęli słowem. Nie było już zresztą o czym piszczeć, bo w międzyczasie Związek Młodzieży Polskiej zniknął z powierzchni ziemi. Ów mało sławetny twór został rozwiązany. Więc i takie katastrofy są możliwe? Prędzej uwierzyłbym w trzęsienie ziemi na Bielanach pod Warszawą lub w rozpadnięcie się Pałacu Kultury i Nauki — tego kamiennego kolosa, niż w ów łańcuch wypadków, które zdarzyły się. Każde, najmniejsze nawet ogniwo łańcucha parzyło w dłonie i oślepiało oczy rażącym promieniem. Było gorąco, mimo że jesień. Jednak, to nie trzęsienie ziemi, to nie zorza polarna, a właśnie październik się zdarzył.

Rzecz zastanawiająca — zastanawiające spotkania. Ano, powiadają, że góra z górą nie zejdzie się, prędzej człowiek z człowiekiem — stąd te spotkania, a zastanawiające dlatego, że po październiku. Ci sami, ci sami ludzie — wówczas zacięci działacze polityczni — obecnie dmuchają w oficjalną trąbę, robią to jak najbardziej w zgodzie z nowym prądem, w zgodzie z nowymi paragrafami, potępiają w czambuł to, co należy potępiać i chwalą w czambuł, co należy chwalić — jeśli spojrzysz na nich z ubocza, gotów jesteś rozczarowany zwrócić głowę za siebie, spojrzeć do tyłu — gdzie u licha podział się ten październik? Gnojówka płynie sobie nadal tak spokojnie i niewzruszenie jak płynęła — czyżby nic nie było w stanie rozkopać tego rowu? Nie, bo przy rowie jest koryto, a w ko-

rycie żłób. Co jest dalej, tam w środku? Nie posunę się aż tak daleko, aż w tak intymne zakątki, wiadomo o co tutaj chodzi.

Polski październik i węgierski listopad — bliskie sobie, przecież bardzo różne i chyba dużo dające do myślenia. Do myślenia? Coś wam powiem... Mam także dziwne czasem wrażenie, gdy widzę, jak sunący miękko koniuszek długopisu zostawia na białym papierze mokry ślad — niebieska, wyciągnięta i śmiesznie powyginana nitka, jak gdyby trafiona atakiem epilepsji. Otóż, gdy obserwuję ją mimowoli — jak teraz — myślę sobie, że właśnie ta cienka niteczka jest torem, po którym później biegnie myśl, szeroka i wygodna droga, jak stalowe prowadnice łoża tokarki — te, po których przesuwają się ciężkie sanie suportu, stal trze o stal, pomiędzy jest warstewka tłuszczu. Czyż tak nie jest w istocie?

Nie chcę jednak, nie teraz w każdym razie, nie chcę nikomu nic ułatwiać, dlaczego miałbym to robić? Lepiej myśleć samotnie, obywając się bez cudzych sugestii. Wtedy człowiek może mieć złudzenie, że w istocie to właśnie on sam do wszystkiego doszedł. Praca mózgu jest żmudna i powolna, przecież owocna. Zostawmy wobec tego i październik i listopad na boku.

Jeśli w ciele ferromagnetycznym wywołać stan namagnesowania — w praktyce laboratoryjnej robi się to zazwyczaj za pomocą innego magnesu stałego, może być też elektromagnes — wówczas wszystkie cząsteczki, z których każda jest maleńkim dipolem — dipol znaczy mniej więcej tyle co dwa bieguny, które dadzą się wyróżnić nawet w najmniejszej partykule — otóż, wtedy te wszystkie cząsteczki ze stanu bezładnego przechodzą w stan uporządkowany — z chaosu wyłania się idealny porządek, teraz każda drobina spoczywa równo w szeregu jak setki innych zwrócona w tym samym kierunku. Zjawisko częste w przyrodzie. Przecież bywa i odwrotnie, równie częsty fenomen.

Przed pięćdziesiątym szóstym rokiem mieliśmy w Polsce stan namagnesowany, uporządkowany — tak wyglądało przynajmniej na zewnątrz — teraz nastąpiło rozmagnesowanie. Myślę tu w głównej mierze o młodych ludziach, oni są mi najbliżsi. Trudno mi uogólniać, choć może i miałbym do tego prawo, taka jest sytuacja.

Istnieją jakieś orientacje, jakieś próby-modele — te zawsze muszą być, ale... Ten gąszcz jest zbyt nieprzenikliwy, aby mieć jakiś bardziej jasny obraz — czy ja wiem — nie jesteśmy przecież mózgami elektronowymi. Dla tych tworów poskładanych z drutu i lamp próżniowych, tak wielu ile jest ziarenek piasku na smutnym brzegu Bałtyku — martwe istoty, przecież elektronowa krew pulsuje bezustannie w ich wnętrznościach, stąd rodzi się myśl. I wszystko jest takie szalenie proste.

Nie dla nas, jesteśmy organizmami bardzo niedoskonałymi, stąd wniosek, że polityka nie jest tematem, którym warto by się zająć. Święty spokój. Do podobnej konkluzji doszło —

myślę, że zupełnie niezależnie ode mnie — dziesiątki młodych ludzi w Polsce. Tak jest mądrze i dobrze. Ta porywająca umysły domena usuwa się teraz w cień, coraz bardziej i bardziej — cóż przychodzi w to miejsce opustoszałe? Co robić teraz? Hm. Można włożyć długie czarne dżinsy z dwoma zamkami błyskawicznymi z tyłu i z obcisłym rozporkiem, można zapuścić sobie brodę, założyć Klub Bosych Skurwysynów (*), można... tak wiele rzeczy można zrobić, nieprawdaż? Na przykład wypisać na ścianie klubu, tam, gdzie dotychczas wisiał portret Bieruta i Cyrankiewicza a pod spodem transparent: ,,Walka o wykonanie planu 6-letniego to cios zadany siłom imperializmu''; otóż — w tymże samym miejscu można napisać — najlepiej robi się to czarnym smarem do nart — coś takiego jak: ,,dupa Jaś'', lub ,,niech żyje minister Bieńkowski... za 300 złotych miesięcznie'' (**). Trzeba wiedzieć, że trzysta złotych wzięło się tu nie bez kozery, bo tyle wynosi przeciętnie stypendium przeciętnego studenta w Polsce. Lub jeszcze lepiej — jeśli ktoś nie lubi haseł z wydźwiękiem politycznym — można wymyślić coś bardziej ogólnego, na przykład: ,,W imię tego i tamtego zrobimy to i owo'', lub ,,buzi — tylko u nas!''. To ostatnie jest urocze, czyż nie tak? Wolno też włożyć spodnie z dziurą w niecenzuralnym miejscu i połataną na krzyżu marynarkę, a z tyłu przyczepić tabliczkę: ,,repatriant ze Związku Radzieckiego''. Dużo można...

Czy to wszystko do czegoś prowadzi? Nie wiem, muszę się kogoś o to zapytać.

Tomasz TEODOR

(*) Wszystkie nazwy są autentyczne.
(**) Wszystkie hasła są autentyczne.

Wolna Trybuna

Eksplozja demograficzna

Adamowi Krzyżanowskiemu i cieniom Roberta Malthusa — p o ś w i ę c a m

W pierwszym wydaniu (z roku 1924) swej ,,Pauperyzacji Polski Współczesnej'', najwybitniejszego — obok ,,Nędzy Galicji'' Stanisława Szczepanowskiego — dzieła ekonomicznego, jakie kiedykolwiek ukazało się w Polsce, Adam Krzyżanowski pisał: ,,Mało pracujemy, mało oszczędzamy. Cóż dziwnego, że ubożejemy!'' W drugim wydaniu tejże pamiętnej, a jakże zwięzłej książki, Krzyżanowski zdanie to uzupełnił, pisząc: ,,Mało pracujemy, mało oszczędzamy, *MAMY DUŻO DZIECI*. Cóż dziwnego, że ubożejemy!'' W tych trzech słowach krakowski mędrzec położył palec na najgorszym wrzodzie, który toczy żywe ciało narodu polskiego, wytknął podstawową przyczynę naszego katastrofalnego ubóstwa. Niestety, kołtuństwo naszej opinii publicznej, zahipnotyzowanej narodowym i lewicowym frazesem, ale odmawiającej spojrzenia realiom w oczy, uniemożliwiła Krzyżanowskiemu prowadzenie tej agresywnej, namiętnej, ba, powiedziałbym, drapieżnej kampanii za ograniczeniem ilości urodzin, za *birth control,* której wymaga kategorycznie i bezapelacyjnie ocalenie naszego narodu, naszego kraju — jeżeli nie ma on się stoczyć do poziomu azjatyckiej, wschodniej barbarii i nędzy. Od czasu do czasu, Adam Krzyżanowski powracał do tego zasadniczego tematu, jak zawsze w słowach oględnych, zbyt oględnych niestety, by mogły przebudzić opinię publiczną, zaczadzoną prostackimi deklamacjami obłąkanych populacjonistów. Tak więc Krzyżanowski kiedyś pisał: ,,Słusznie odwracamy się ze wstrętem od pijaków, od obżartuchów, od ludzi, którzy nie

---

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

umieją zapanować nad gniewem. Dlaczegoż brak umiarkowania w płodzeniu dzieci ma stanowić jedyny wyjątek w ogólnej regule, która każe zawsze poszukiwać złotego środka, dlaczego folgowanie namiętnościom w tym jednym wypadku ma uchodzić za zasługę, a nie za godny napiętnowania nałóg?'' Słowa te naturalnie były głosem wołającego na puszczy. Nie tylko nasi prostaczkowie, ale i tak zwani przywódcy naszego narodu głosili najbłędniejsze teorie demograficzne, szerzyli zamęt w umysłach, byli i głusi i ślepi na wszelki głos rozsądku, na upomnienia ludzi światłych i świadomych niebezpieczeństw przeludnienia. Tak zwana prawica ankurażowała złowrogą działalność dzieciorobów pod wpływem najbłędniejszych wyobrażeń religijnych i nacjonalistycznych, nie zdając sobie w najmniejszym stopniu sprawy, że gwałtowny przyrost ludności prowadzi do osłabienie narodów, do ich zubożenia, do przewrotów komunistycznych, a stąd i do podważenia Kościołów i do bezbożnictwa. Jeszcze dziwniejsze, jeszcze bardziej dla mnie zagadkowe było i jest populacyjne nastawienie tak zwanej lewicy. Nastawienie to trwa po dziś dzień: sam słyszałem przez radio Bieruta, jak zapisywał na konto zasług ,,Polski Ludowej'' złowrogi wzrost stopy urodzeń powyżej stopy przedwojennej, już i tak katastrofalnie wysokiej. Podobne przechwałki na tematy demograficzne słyszałem również w radio warszawskim z ust Jędrychowskiego, przy czym ten ,,mąż stanu'' nie rozróżniał nawet stopy urodzeń od stopy przyrostu ludności, i twierdził, że ta ostatnia wynosi obecnie 30 promille, co jest oczywistym nonsensem.

Nigdy nie zrozumiałem, i nigdy nie zrozumiem, jak ludzie, którzy nieustannie prawią o ,,planowaniu'' nie zdają sobie sprawy, że wszelkie planowanie musi się zaczynać od planowania urodzin. Nie mogę pojąć, jak ludzie, którzy bez przerwy wołają o polepszenie doli klas pracujących, mogą zapoznawać niezbity fakt, że bez ograniczenia urodzeń podwyższenie stopy życiowej mas jest absolutnie niemożliwe. Nie mogę uwierzyć, jak apostołowie tak zwanej reformy rolnej mogą jednocześnie radować się znaczną rozrodczością wieśniaków: przecież musi być dla każdego jasne, że podział gruntów (zakładając, że jest w ogóle wskazany) może przynieść drobnym rolnikom ulgę tylko w wypadku, gdy chłopstwo przestaje się rozmnażać. Zarówno prawica, jak i lewica muszą i powinny domagać się energicznej polityki ograniczenia urodzin: z jednej strony klasy posiadające nie mogą nawet marzyć o utrzymaniu swych bogactw czy przywilejów w krajach, których ludność szybko się pomnaża; z drugiej, warstwy ubogie i ich obrońcy nie mogą marzyć o polepszeniu stopy życiowej ludności, żyjącej z pracy najemnej, czyli, jak się to nieściśle mówi, świata pracy, bez zdecydowanej polityki ograniczenia urodzeń, bez *birth-control*.

◆

Muszę się teraz pokrótce rozprawić z argumentami populacjonistów. Panuje dość powszechnie mniemanie, że wierzenia re-

igijne są głównym motorem rozrodczości, a także agitacji na rzecz rozmnażania się. Tymczasem trudno zaprzeczyć, że od prawieków Chińczycy zdobyli — i wciąż je piastują — wszystkie rekordy światowe w dziedzinie rozrodczości : ich stopa urodzeń stale się utrzymuje dookoła granic, wyznaczonych przez fizjologię, to znaczy dookoła stopy blisko sześćdziesięciu promille. A tymczasem, specjaliści od buddyzmu zapewniają, że religia ta wcale nie kładzie specjalnego nacisku na liczebność potomstwa : przeciwnie, zachowuje wobec tego problemu obojętność, godną Nirwany. Pragnienie posiadania syna (nie córek), które ma być charakterystyczne dla chłopów chińskich, ma wiązać się, według tychże specjalistów, nie z buddyzmem, ale z kultem przodków, czyli z pewnego rodzajem zabobonem ludowym, pozbawionym dogmatycznych sankcji religijnych. Koran jest bardziej od buddyzmu pro-populacyjny : a mimo tego, przez długie wieki, to właśnie tak długo, jak długo przepisy religijne Mahometa były ściśle przestrzegane, ludność muzułmańska wzrastała niesłychanie powoli, bądź nawet wymierała : tym właśnie tłumaczy się Jasyr, tak sprzeczny z duchem dziejów świata, z wewnętrzną logiką historii : ta ostatnia bowiem dowodzi, że podczas gdy mordowanie wrogów i narodów podbitych było mniej więcej regułą, to pojmowanie kobiet obcych na żony czy nałożnice było raczej wyjątkiem — rasizm istniał przeważnie wszędzie od najdawniejszych czasów, i narody dbały bardziej o czystość rasy, niż o pomnażanie swych szeregów. Poligamia, uświęcona przez Mahometa, oczywiście wpływała zniżkowo na cyfry urodzin : wprawdzie dzięki tej instytucji możni i bogaci płodzili nieproporcjonalnie więcej, ale za to ubodzy, pozbawieni kandydatek na małżonki i stąd zmuszeni do celibatu, płodzili nierównie mniej niż w normalnych warunkach monogamicznego małżeństwa : a przecie zawsze i wszędzie rozrodczość ubogich decyduje o ogólnej skali stopy urodzeń.

Pozostaje więc z wielkich religii religia żydowska. Rzeczywiście Stary Testament zawiera nawoływania, rzekomo pochodzące od samego Jehowy, do rozmnażania się. Te apele do Narodu Wybranego tłumaczą się łatwo zupełnie wyjątkową, nienaturalną powiedziałbym, sytuacją Izraela. Tak, jak dzisiaj Izrael jest zagubiony i śmiertelnie zagrożony otaczającym go morzem arabskim, tak samo w zamierzchłych wiekach Abrahamów i Mojeszów był on stale zagrożony zagładą wśród otaczających go plemion fenickich, egipskich, chaldejskich, asyryjskich i innych. W ówczesnych warunkach, w których siła mięśni była równoznaczna z siłą obronną, ludy mogły łacno dawać posłuch hasłom populacyjnym, upatrywać w nich tajemnice Wyższej, nawet Odwiecznej Mądrości.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, te staro-żydowskie zaklęcia i zawołania populacyjne zostały przejęte przez kler katolicki, chociaż wielu historyków słusznie i trafnie podkreśla, że to właśnie protestantyzm należy utożsamiać z nawrotem do Starego Testamentu; Nowy Testament nie zawiera żadnych nakazów

populacyjnych, natomiast jest ich wiele w Starym, umiłowanym przez Protestantów, w szczególności Purytanów, a więc po prostu Kalwinów. Logicznie przeto, sekciarze protestanccy w Szkocji, w Holandii, w Niemczech, w Szwajcarii, w Anglii, w Ameryce powinni wzywać do akcji rozrodczej. Tymczasem, jak wszyscy wiemy, protestanci sprzyjają *birth control;* natomiast Kościół Rzymski, wrogi protestantyzmowi, ostrożny wobec Starego Testamentu do tego stopnia, że odradza wiernym czytanie tych starych ksiąg żydowskich bez odpowiednich komentarzy i przygotowania, przejął w praktyce prymitywne doktryny rasowo-wyznaniowo-rozrodcze Proroków Izraela.

Chodzi tu jednak raczej o pewien obyczaj czy zabobon katolicki niż o dogmatykę. Nie pamiętam ani jednego zdania w Nowym Testamencie — który jednak stanowi i fundament nauki katolickiej — wzywającego do rozmnażania się i mnożenia potomstwa. Na pewno nie ma żadnego dogmatu, który by wyraźnie nakładał na wiernych obowiązek prokreacji. Kodeks kanoniczny wyraźnie powiada, że akt płciowy, którym małżonkowie „fiunt una caro'' ma cel dwojaki: „procreatio prolis'' oraz „remedium concupiscentiae''. A więc remedium dla chuci jest już wystarczającym powodem dla aktu spółkowania małżeńskiego. Co więcej, i co jest o wiele ważniejsze, Kościół Święty, Matka Nasza, w ogóle nie jest entuzjastą ani aktu płciowego, ani małżeństwa, ani posiadania, cóż dopiero mnożenia potomstwa. Kościół wyraźnie opowiada się za celibatem, za wyrzekaniem się stosunków płciowych. Przypominam sobie, żem kiedyś wyczytał pasjonującą statystykę: statystykę świętych Rzymskiego Kościoła, Index Martyrorum Romanorum, jak oficjalnie nazywa się spis Świętych Pańskich. Statystycy stwierdzali, że w tym Indeksie liczba świętych, pozostających w związkach małżeńskich jest wprost znikoma: olbrzymią większość stanowią Dziewice, względnie Zakonnicy i Biskupi, a więc bezżenni kapłani. Po osobach pozostających w celibacie, idą wdowy: dopiero na samym końcu znajdują się małżeństwa, jak np. św. Izydor z małżonką. Słowem Kościół uważa, że osobom pozostającym w związkach małżeńskich trudniej dojść do stanu świętości, niż osobom pozostającym w celibacie. Zauważę również, że Kościół Katolicki jest bodaj jedynym, który wymaga od swych kapłanów nie tylko monogamii, ale celibatu: jeżeli chodzi o zakonnice, to śluby czystości są w tym wypadku mniej nowatorskie i rewolucyjne: ostatecznie i Rzymianie żądali czystości od Westalek, a naruszenie tego ślubu karali śmiercią; podobne wymogi stawiają różnym kapłankom również i inne religie pogańskie. Czystość, dziewictwo, były zawsze wyżej cenione u kobiet niż u mężczyzn, choć założenia tej filozofii życia płciowego wydawały mi się zawsze wątpliwe. Zapewne chodziło tu o pewność potomstwa. *Mater semper certa,* mawiali Rzymianie.

Podobnież prawdziwie znamiennym dla istotnych, prawdziwych, a nie fantazyjnych i wypaczonych poglądów Kościoła Rzymskiego na zagadnienia populacyjne jest fakt narzucen

ɔrzez tenże Kościół celibatu całemu duchowieństwu. Nakaz ten, :nowuż nieoparty na żadnych wyraźnych Tekstach Pisma, zosał wydany w wieku XI, a więc w czasach, gdy w krajach chrzecijańskich cała, ale to absolutnie cała, inteligencja składała się : osób duchownych. Reformy Grzegorza Siódmego równały się więc w praktyce narzuceniu celibatu całej ówczesnej inteligencji. nnymi słowy, Stolica Apostolska powiadała inteligencji: Kto :hce żyć nie z pracy rąk, ale z pracy głowy, z pracy umysłowej — ten musi rezygnować z założenia rodziny, z posiadania poomstwa. Celibat był zawsze bowiem czymś odmiennym od pojęcia czystości. W ubiegłych wiekach Kościół nieraz omalże oficjalnie patrzył przez palce na naruszanie przez kapłanów nakazu czystości, chociażby na przykład w rozwiązłym wieku osiemnastym; ale fakt zawarcia związków małżeńskich przez osobę duchowną pociągał zawsze surowe kary duchowne nawet dla najbardziej wysoko-postawionych, a zatem wpływowych osobistoci: wystarczy w tym miejscu wspomnieć o biskupie Auteuil. bardziej znanym szerokiej publiczności, jako Karol Maurycy hrabia de Talleyrand Périgord, książę Beneventu. Warto o tym stanowisku Kościoła szczególnie pamiętać gdy mowa o rozrodczości tak zwanej inteligencji: jest to rozdział szczególnie ważny — i bolesny — w smutnych annałach rozrodczości.

◆

Teraz przejdźmy do szczegółowej analizy środków zapobiegających nadmiernej rozrodczości. Zauważmy po pierwsze, że problem ten bynajmniej nie jest nowy. Już starożytni dostrzegli ak wielkie niebezpieczeństwo dla równowagi społecznej i szczęśliwości ludów przedstawia nadmierne mnożenie się ludności: właśnie te obserwacje były zapewne, a nawet na pewno, u źródła ohydnych obyczajów licznych ludów antyku składania bogom ofiar z małych dzieci: to sakralne dzieciobójstwo, najbardziej zapewne znane w formie ofiar na rzecz bożka Molocha w Kartaginie, było barbarzyńską formą walki z nadmiernym przyrostem udności. Najbardziej „naukową" formą dzieciobójstwa był zapewne system, obmyślony przez Tokugawów, którzy dorwawszy się w Japonii do Szogunatu, a więc do rządów w XVI-ym wieku, v sposób zdumiewający, jak na ten kraj i na tę epokę, obliczyli, :e wyspy japońskie mogą maksymalnie wyżywić 33 miliony mieszkańców; i że jeżeli ta ogólna liczba nie ma być przekroczona, o cyfra urodzin nie może przekraczać takiej to a takiej rocznej przeciętnej. Wychodząc z tych założeń Szogunowie z rodu Tokugawa zadekretowali, że w poszczególnych ko (które odpowiadały plus minus naszym powiatom) roczna cyfra urodzin nie może przekraczać takiego to a takiego poziomu: po czym co roku wysyłali inspektorów, a gdy ci stwierdzali, że w ciągu poprzedniego roku liczba urodzin wyznaczoną cyfrę przekraczała, nadwyżkę uśmiercali, ścinając mieczem względnie toporem odpowiednią ilość dzieci poniżej jednego roku. System ten utrzymał

się w mocy przez trzy wieki, do czasu tak zwanej restauracji Medżi w roku 1868, kiedy to Szogunat został wreszcie zniesiony. Na skutek tej barbarii ludność Japonii rzeczywiście utrzymała się przez przeszło trzy wieki na poziomie 33 milionów mieszkańców i dopiero teraz wzrosła do 90 milionów mieszkańców.

Były to jednak skrajne wypadki. Przez długie wieki natura sama zajmowała się regulacją urodzeń. Z jednej strony ludzkość nie znała, poza dzieciobójstwem, żadnych form zapobiegania mnożeniu się potomstwa. Z drugiej strony, wysoka śmiertelność niemowląt i krótkość żywota ludzkiego w ogólności sprawiały, że przeludnienie wydawało się niebezpieczeństwem teoretycznym, natomiast wymarcie ludzkości, zwłaszcza w okresach moru, niebezpieczeństwem bezpośrednim i niezwykle groźnym.

Oczywiście, nie mamy dzisiaj żadnego sposobu, by obliczyć jak wielka była śmiertelność niemowląt w odległych wiekach, ani też, jaka była przeciętna długość życia ludzkiego w czasach zamierzchłych. Wystarczy się wszakże przejść po podziemiach Eskorialu, gdzie całe sale, całe amfilady sal zapełnione są setkami, tysiącami trumienek infantów i infantek. Zważmy przy tym że zarówno Habsburgom jak i Bourbonom hiszpańskim stale groziło wymarcie, a zrozumiemy jak potwornie wysoka była śmiertelność niemowląt i dzieci w obu tych dynastiach. A jeżeli tak wysoka była śmiertelność na dworze królewskim, to możemy sobie wyobrazić, jak śmierć kosiła dzieci w ubogich pueblach i w zakamarkach hiszpańskich miast i miasteczek. Cóż dziwnego że w tych warunkach ludzie myśleli nie o grozie przeludnienia, ale o grozie śmierci, epidemii, wymierania. Jeżeli przeciętna życia ludzkiego w Indiach dzisiaj jeszcze nie przekracza 25 lat, to możemy sobie wyobrazić, jak była ona niska nie tylko w Średniowieczu, ale choćby w siedemnastym czy osiemnastym wieku w naszej Europie. Nawet w bogatej Francji, jeszcze u progu naszego stulecia przeciętna długość życia ludzkiego wynosiła zaledwie około 48 lat. Przeciętna — a więc w wypadku rodzin robotniczych przeciętna ta była na pewno dużo niższa. Problem rozrodczości stał się palący dopiero dzisiaj w związku z nieprawdopodobnym spadkiem śmiertelności niemowląt i prawie równie radykalnym, rewolucyjnym przedłużeniem przeciętnej długowieczności. W wielu krajach zachodnich przeciętna ta wynosi dzisiaj około 70 lat dla mężczyzn; i o dobrych sześć — osiem lat więcej dla kobiet, które wbrew ogólnemu mniemaniu cieszą się dużo lepszym zdrowiem od mężczyzn i dużo silniejszą konstytucją fizyczną. W Zachodniej Europie, kobieta ma osiem razy więcej szans zostania wdową niż mężczyzna wdowcem. Śmiertelność niemowląt spadła we Francji z przeszło stu na tysiąc przed wojną do 30 promille dzisiaj, w Niderlandach i Szwecji nawet do poniżej 20 na tysiąc. Innymi słowy, w Holandii umiera mniej niż jeden noworodek na 50 niemowląt. Dawniej obłąkani rodzice oddający się nałogowi płodzenia, mogli pocieszać się myślą, że „Bozia" naprawi skutki ich lekkomyślności. Dzisiaj już ich nie naprawią.

Póki śmiertelność w ogóle, a śmiertelność niemowląt w szczególności była wysoka, społeczeństwa mogły sobie pozwalać na wysoką stopę urodzeń. W tych to czasach powstała reguła, droga naszym prababkom : by ludzkość nie wymarła, każda rodzina musi mieć co najmniej troje dzieci. Osiemdziesiąt lat temu, reguła ta z grubsza mogła mieć pewne uzasadnienie, zwłaszcza w kraju tak prymitywnym i zacofanym jak Polska. Dzisiaj stopa urodzin i stopa zgonów muszą się wyrównywać, albo też ludzkość musi się szybko pomnażać. W Europie stopa zgonów oscyluje już prawie wszędzie dookoła cyfry 12 promille, co daje przeciętną długowieczności około 80 lat. To znaczy albo stopa urodzin spadnie wszędzie do 12 promille, albo też liczba ludności będzie szybko wzrastać. Niestety, nie ma ani jednego kraju na świecie, w którym by stopa urodzin utrzymywała się na tym rozsądnym poziomie. Wszędzie jest wyższa, nawet w Austrii, która do niedawna miała najniższą stopę urodzeń na świecie. Dwoje dzieci na małżeństwo stanowi maksimum dopuszczalne. Każde dalsze dziecko stanowi przyrost, a więc reprezentuje już niebezpieczeństwo dla stopy życiowej przyszłego pokolenia.

Sytuacja ta mogłaby ulec zmianie tylko w jednym wypadku, a mianowicie, gdyby wzrosła stopa zgonów. Jeżeliby, dajmy na to, wszyscy mieszkańcy Europy mieli umierać w 50-ym roku życia, to wówczas stopa urodzeń mogłaby wzrość do 20 promille, bez pociągania za sobą niebezpieczeństwa przeludnienia. Chętnie wierzę, że taka ewolucja — więcej urodzeń, krótsza przeciętna życia — byłaby pod każdym względem błogosławioną zmianą na lepsze. Byłoby więcej młodzieży, a mniej ludzi starych, zgryźliwych, mało produkcyjnych, przeważnie niepotrzebnych. Już Adam Krzyżanowski pisał : ,,Społeczeństwa nie stać na utrzymywanie coraz liczniejszych trzódek dzieci i coraz większej czeredki dziadków'' (a teraz dodajmy : i pradziadków). *Aut, aut.* Ale jak zwiększyć śmiertelność, jak wpłynąć na wzrost stopy zgonów? Przeciwnie, rozwój medycyny każe oczekiwać dalszego wydatnego spadku śmiertelności. Nauki lekarskie uporały się ostatnio z większością chorób dziecięcych, z gruźlicą, tyfusem, z chorobami zakaźnymi. Lekarze przepowiadają, że wkrótce uporają się z rakiem. Operacje *à coeur ouvert* dają coraz lepsze wyniki. W tych warunkach śmiertelność może wzrosnąć tylko albo na skutek wojen, albo też decyzji rządów ,,usypiania'' każdego pięćdziesięciolatka zastrzykami. Oczywiście, operacja taka mogłaby być przeprowadzana tylko pod warunkiem, że nie będzie absolutnie żadnych wyjątków : inaczej byłaby tylko pretekstem do najpotworniejszej tyranii i do ludobójstwa na skalę nieznaną. Jest mało szans, by ludzkość zgodziła się na ten heroiczny środek zaradczy. W tych warunkach przed nami stoją tylko dwie alternatywy : albo pogodzić się z mnożeniem się ludzkości w tempie coraz to bardziej przyśpieszonym, albo też dobrowolnie ograniczyć liczbę urodzin. *Tertium non datur.*

Klan dzieciorobów ma dwa główne argumenty: argument rzekomo religijny, i argument militarno-nacjonalistyczny. Omówmy pierwszy.

Materia est sordida, sed tamen necessaria, mawiał krakowski profesor prawa kościelnego Ulanowski, rozpoczynając co roku wykład prawa małżeńskiego. Uważam, że w sprawie ograniczenia urodzeń trzeba przeprowadzić ścisłe rozróżnienie. Kościół ma podstawy moralne i teologiczne do kategorycznego potępiania spędzania płodu, w szczególności skrobanki, i do utożsamiania jej z dzieciobójstwem. Jest to stanowisko zgodne zarówno z teologią chrześcijańską (nie tylko katolicką), jak i z prawem naturalnym: „nie człowiek, lecz Pan Bóg stwarza życie, nie człowiek więc ma prawo życie odbierać". (Nawiasem mówiąc ten sam argument przemawia przeciw instytucji kary śmierci, właśnie szczególnie popieranej przez orędowników licznego potomstwa na całym świecie). Uważam, że Państwo, w ślad za Kościołem, spędzanie płodu i zwłaszcza skrobanki powinno uznać za przestępstwo i z całą surowością ścigać karnie. Ale nie rozumiem argumentów, które mają rzekomo przemawiać przeciw niedopuszczaniu do zapłodnienia, do działań prewencyjnych. W tych wypadkach życie nie powstało, więc dzieciobójstwa nie ma i być nie może. Sam Kościół toleruje tak zwany kalendarz japoński; dlaczego więc nie ma tolerować innych form, zmierzających do tegoż celu, to znaczy zapobieżenia poczęciu? A jeżeli, jak zapewniają lekarze amerykańscy, zostanie niebawem wynaleziona pigułka antykoncepcyjna, to czy zażycie tej pigułki będzie grzechem?

Kościół jest z natury swojej instytucją konserwatywną. Stąd konieczne reformy są zwykle opóźniane o dobrych kilka albo kilkanaście lat. Niedawno Ojciec św., Pius XII, *de glorieuse mémoire,* zaaprobował bezbolesny poród, chociaż w Piśmie św. stoi wyraźnie, że od chwili wygnania z Raju mężczyzna będzie musiał w pocie czoła zarabiać na chleb codzienny, a kobieta będzie rodzić w bólu i cierpieniu. Autorytet Genesis jest jednak większy, niż autorów broszurek populacyjnych, a jak już zaznaczałem żadnych tekstów Pisma na rzecz zabronienia środków zapobiegawczych, antykoncepcyjnych nie było i nie ma.

Przejdźmy od tych rozważań teoretycznych do rzeczywistości. We Włoszech stopa urodzeń za rządów Mussoliniego przekraczała 30 promille. Dzisiaj stopa ta spadła o połowę, do 17 promille, i po raz pierwszy w dziejach jest niższa od stopy urodzeń we Francji. Błogosławiona to zresztą zmiana: bez niej Włochy nie potrafiłyby odrodzić się gospodarczo, nie zdołałyby podnieść stopy życiowej mas, i zapewne nie uniknęłyby komunizmu. Ten radykalny spadek płodności Włoszek na pewno nie jest wynikiem jakichś zmian fizjologicznych, ale rezultatem świadomego stosowania środków antykoncepcyjnych. Watykan naturalnie wie o tym doskonale. Ani razu jednak głos Papieża nie podniósł się przeciw tym, błogosławionym w skutkach, aktom przezorności włoskich rodziców, czy kandydatów na rodziców.

Dlaczegóżby zabiegi, milcząco uznane za godziwe we Włoszech, miałby Watykan uznać za zdrożne w Polsce? Watykan był zawsze o wiele bardziej postępowy, światły i dalekowzroczny od polskich proboszczów, a już tym bardziej od polskich kołtunów. Kwestia oficjalnego tolerowania środków antykoncepcyjnych przez Stolicę Apostolską jest tylko kwestią czasu. Krótkiego czasu.

◆

Dużo gwałtowniejszy będzie opór drugiego klanu dzieciorobów i zawodowych naganiaczy populacyjnych, to znaczy ponurej, złowrogiej i zawziętej kohorty i kliki militarno-nacjonalistycznej. Najgorętszymi apostołami płodzenia i zaprzysięgłymi wrogami *birth control* byli nie tylko katolicy, ale i fanatyczni wrogowie Kościoła — Hitler i Mussolini. I w innych też krajach rzekomi mężowie stanu, znani ze zmian religii i żon, z brutalnych napaści na książąt Kościoła, byli protagonistami i eksponentami najdzikszych, najbardziej reakcyjnych poglądów populacyjnych. Tito, który więzi Kardynała Stepinacza i prześladuje Kościół, prowadzi nieustanną agitację za robieniem dzieci, a Stalin wprowadził nawet ohydny order dla płodnych matek sowieckich, mających powyżej dziesięciorga dzieci, jakby to chodziło o premiowanie maciory w chlewie kołchoźniczym.

Argumenty militarystów i nacjonalistów na rzecz mnożenia ludności są pozbawione wszelkiego praktycznego sensu. Liczebność narodu nigdy nie odgrywała decydującej roli w wyznaczeniu jego roli dziejowej: gdyby było inaczej, od prawieków Chińczycy byliby przodującym narodem na świecie, a wszyscy wiemy, że nigdy tak nie było. Finlandczycy mają cztery miliony mieszkańców, a mają niepodległość, i jak na warunki wschodnio-europejskie najlepsze bodaj dane na zachowanie tej niepodległości; Ukraińców jest czterdzieści milionów, a niepodległości nie mają. Podobnie element liczby odegrywa w dzisiejszych warunkach coraz mniejszą rolę w wyznaczaniu potencjału wojskowego poszczególnych państw; można nawet twierdzić, nie bez słuszności, że w razie wojny atomowo-wodorowo-rakietowo-sputnikowej plemię Tuaregów ma dużo więcej szans na *survival,* niż Wielka Brytania. Wielkość jakiegoś narodu, jego rola historyczna nigdy nie stała w żadnym związku z jego liczebnością. Florencja Medyceuszów miała 50 tys. mieszkańców, a tylko wariat mógłby zaprzeczać, że jej rola dziejowa jest niepomiernie większa od roli wielu milionowych państw.

◆

Największym zbytkiem, na jaki naród może sobie pozwolić, jest szybki wzrost liczby dzieci i liczby starców. W porównaniu z astronomicznym kosztem gwałtownego powiększania ludności, utrzymywanie dworów wielkopańskich, chmary utracjuszów, na-

wet armii urzędników, nawet hord oficerów i żołnierzy jest kosztem do zniesienia. Niemcy (oczywiście zachodni), którzy mają najlepszą statystykę na świecie, dokonali ostatnio następujących obliczeń: koszt społeczny (a więc łącznie z budową szkół, przychodni lekarskich, kindergartenów itd.) wychowania noworodka na NIEWYKWALIFIKOWANEGO robotnika (do siedemnastego roku życia) wynosi 40 tys. marek, czyli 10 tysięcy dolarów. Jeżeli ten noworodek ma zostać robotnikiem wykwalifikowanym, koszty te trzeba będzie podwoić, jeżeli ma zostać inżynierem, koszty te będą potrójne. Jak wiadomo, dzisiejsza Polska nie ogłasza szczegółowej statystyki ludnościowej; nawet w tablicach urodzeń i zgonów, jakże sumarycznych, ogłaszanych w miesięcznym biuletynie statystycznym ONZ-etu Polska w ogóle nie figuruje. Wszystko co wiemy o polskich cyfrach ludnościowych, to jakieś przypadkowe dane, zawarte w przypadkowych przemówieniach jakichś dygnitarzy. Podobno w Polsce rodzi się powyżej 800 tys. dzieci rocznie, a więc tyleż co w bogatej i niedoludnionej Francji. Jeżeli tak jest, to około 12 milionów ludności Polski musi dzisiaj mieć poniżej 16 lat. Co to oznacza? Że dorośli, że w szczególności ci patrioci, którzy ze względu na dobro ogólne, na interes narodowy żyją w celibacie lub, zawarłszy związki małżeńskie, wstrzymują się od płodzenia potomstwa, muszą w tej czy innej formie tę potworną inflację rozrodczą finansować.

Jeżeli koszt wychowania dziecka na niewykwalifikowanego robotnika obliczyć, jak to zrobili Niemcy, na 10 tysięcy dolarów, czyli rocznie na z grubsza 500 dolarów, to wówczas trzeba dojść do wniosku, że Polska wydaje rocznie jakieś co najmniej pięć czy sześciu miliardów dolarów na wychowywanie młodego pokolenia. Cóż dziwnego, że przy tym szalonym wydatku nie stać jej ani na inwestycje, ani na podniesienie stopy życiowej, ani na godziwe zaopatrzenia starości, ani nawet na dostarczenie rzetelnej wiedzy tym hordom młodzieży. We wszystkich krajach zacofanych przebieg wypadków jest analogiczny: W Indiach i krajach arabskich sytuacja jest oczywiście jeszcze bardziej katastrofalna. Weźmy Indie. Ludność ich (bez 80-milionowego Pakistanu oczywiście, a takoż bez 20-milionowej Burmy i bez 10-milionowego Cejlonu) wzrasta dzisiaj rocznie o pięć milionów dusz. W tych warunkach wielomilionowe nie kredyty, ale darowizny Stanów Zjednoczonych na rzecz tego nieszczęsnego kraju, są wyrzucaniem pieniędzy przez okno. Sumy te nie tylko nie mogą zapewnić wzrostu potwornie niskiej stopy życiowej Hindusów, ale nawet nie mogą zapobiec pogłębianiu się nędzy. W praktyce, ta garsteczka ryżu, którą się Hindus wyżywia (i robiąc ze smutnej konieczności cnotę, przezwał głodowanie, wywołane płodzeniem, nauką Yogów czy podobnym bzdureństwem — otóż ta garsteczka ryżu staje się co roku mniejsza. Zastrzyki dolarowe bogatej Ameryki dla Indyj, dla krajów arabskich i dla Indonezji wystarczają jedynie dla finansowania przyrostu ludności. A w Chinach wzrost ten przybrał rozmiary tak koszmarne (według oficjalnych szacunków dochodzi on do 12 czy nawet 1

milionów dusz rocznie), że gdyby i Ameryka i Zachodnia Europa wszystkie swe nadwyżki inwestycyjne lokowały w Chinach, i to naturalnie tytułem darowizny, bo rzecz jasna w dzisiejszych warunkach, i jeszcze przez dziesiątki lat, Chiny nie są i nie będą w stanie spłacić grosza kredytu, to i tak by tej pomocy nie starczyło na najskromniejsze chociażby podniesienie stopy życiowej. Chiny ocalić może tylko *birth control,* i to tak drastyczny, by doprowadził do SPADKU ludności, nie tylko do powstrzymania jej wzrostu. Jeżeli Chiny nie zdołają tego *birth control* narzucić swej ludności,, powrót do starej, odwiecznej chińskiej metody przeciwdziałania presji populacyjnej, to znaczy do morderczych wojen domowych, będzie nieunikniony.

Bogu dzięki, sytuacja demograficzna w Polsce nie doszła do koszmarnego stanu, który jest udziałem krajów azjatyckich. Ale jednak sytuacja ta jest bardzo poważna. Nadmierna rozrodczość była główną przyczyną ubóstwa Polski, bezrobocia, przeludnienia na wsi, zacofania kulturalnego, słabości demokracji, militaryzmu, antysemityzmu, nacjonalizmu, oraz zażartej walki o posady, którą bezrobotna, względnie niedotrudniona, a zawsze podle płatna i głodująca inteligencja nazywała w swej naiwności walką stronnictw, walką z sejmowładztwem, walką z zalewem żydowskim, walką z kapitałem zagranicznym. Polacy zawsze przeceniają wpływ elementów zewnętrznych przy analizie powodów swej nędzy. Myślę, że w okresie międzywojnia przecenialiśmy ujemny wpływ eksploatacji zarówno przez kapitał zagraniczny, jak i przez kapitał żydowski, moment konkurencji żydowskiej w ogólności. I jako dowód mego obiektywizmu naukowego, pomimo całej mej antypatii do komunizmu, do Sowietów i do Rosjan, dodam, że jestem przekonany, iż w analizie przyczyn potwornej nędzy, koszmarnego ubóstwa Polski dzisiejszej, przesadzamy znaczenie eksploatacji Polski przez Sowiety. Jestem przekonany, że dzisiaj przesadzamy ujemne skutki ustroju komunistycznego, tak jak komuniści na pewno przesadzają skutki istnienia tak zwanego ustroju kapitalistycznego w przedwojennej Polsce. Potworna nędza, szerząca się w Polsce zarówno przed wojną, jak i tym bardziej dzisiaj, ma te same źródła : po pierwsze, nadmierne rozradzanie się; po drugie nadmierne wydatki wojskowe i wynikające stąd przeciążenie podatkowe, niskie płace oraz anemię inwestycyjną; po trzecie brak inwencji i postępu technicznego, który jest dużo większym motorem bogactwa, niż się to ekonomistom zdaje. Bez radykalnego obniżenia stopy urodzin, bez radykalnego obcięcia wydatków wojskowych, bez przestawienia całej naszej mentalności narodowej na zagadnienia techniczne, bez przestawienia naszego szkolnictwa z nieszczęsnych ,,Dziadów'' na pasy transmisyjne i rachunek różniczkowy — można deklamować o postępie społecznym, o dobrobycie, o potędze i niepodległości — ale niczego realnego nikt dokonać nie zdoła. Niezależnie od ustroju. Niezależnie od nazwiska polityka czy zawodowego wojskowego, którego nasz infantylny naród ochrzci nazwą wodza. W krótkim artykule nie mogę wy-

czerpać wszystkich aspektów problemu bogactwa. Muszę się na razie ograniczyć do omówienia problemu rozrodczości, który na pewno jest najważniejszy. Szkoda mówić o jakimkolwiek innym zagadnieniu, póki obecny wyścig kołysek w Polsce będzie trwał w tempie dotychczasowym.



Nie ma w Polsce warstwy społecznej, która by nie cierpiała z powodu rozrodczości naszego narodu. Jest to oczywiste jeżeli chodzi o chłopów. Przy obecnej stopie urodzin, nawet zamiar obdarzenia każdej rodziny chłopskiej gospodarstwem 5-hektarowym jest absolutnie utopijny. Lada rok, pomimo reformy rolnej, pomimo kolonizacji Ziem Zachodnich sytuacja wieśniaków będzie równie tragiczna, jak w okresie międzywojennym. Najwybitniejszy ekonomista marksistowski w Polsce, którym jest, naturalnie, nie Lange, ale Michał Kalecki, zapewniał mnie w Oxfordzie, zaraz po zakończeniu drugiej wojny światowej, że w Polsce, w obecnych jej granicach, jest dość miejsca co najwyżej dla 10 milionów ludności rolniczej, a tymczasem cyfra ta została już obecnie dawno przekroczona. Gospodarstwo 5-hektarowe, obiekt marzeń radykałów chłopskich, jest tymczasem na całym już świecie, uznane za gospodarstwo karłowate, absolutnie niezdolne do życia. W Niemczech Zachodnich, specjaliści od ekonomiki rolniczej obliczyli, że maksimum produkcyjności reprezentują gospodarstwa rolne od 100 do 200 hektarowe, czyli właściwie gospodarstwa jedno-folwarczne. W porównaniu z nimi farmy od 50 do 100 hektarów mają produkcyjność o jedną trzecią niższą; według tychże źródeł, gospodarstwa poniżej 50 ha są z punktu widzenia gospodarki narodowej już tylko marnotrawstwem, tylko czystą stratą. Chłopi polscy, jeżeli mają lepiej żyć, tym bardziej jeżeli mają spełniać swoje obowiązki wobec narodu polskiego, muszę inwestować : jak może inwestować chłop, który ma sześcioro dzieci ?

Rozmnażanie się ludności wieśniaczej rikoszetem uderza we wszystkie warstwy społeczne. By jakoś utrzymać siebie i swe zbyt liczne rodziny przy życiu, chłopi na całym świecie wykorzystują swój wpływ polityczny, wynikający z ich liczebności, by wyciągać od państwa subwencje, kredyty, cła ochronne, zakazy przywozu i inne fawory. W rezultacie reszta ludności musi więc z tego tytułu płacić wyższe podatki oraz wyższe ceny za płody rolnicze. Stany Zjednoczone, które mają największe nadwyżki rolne na świecie i zaopatrują zarówno Azję, jak i Polskę w zboże, bawełnę, tytoń i tak dalej, mają tylko około 8% ludności zatrudnionej na roli; Francja ma zatrudnionych na roli 25% mężczyzn i kobiet w wieku od lat 15 do 60; Polska i tu żadnych dokładnych statystyk nie publikuje, ale zapewne około połowy zatrudnionych pracuje na roli. Odpływ ludności rolnej ze wsi jest koniecznością. Jak tego dokonać, jeżeli jednocześnie tych rąk do pracy po wsiach ma co roku przybywać? Czyż w tych warun-

kach można marzyć choćby o likwidacji tych strasznych obrazów które niestety zachowałem w pamięci, jako symbol naszej nieszczęsnej ojczyzny: tych biednych, chudych, bosych, brudnych pastuszek, uganiających się po miedzach i rowach za jakąś jałówką czy częściej zagłodzoną gęsią. Nie ma najmniejszego celu i sensu wybielać strasznych warunków, w jakich żyła ogromna większość polskiego chłopstwa przed wojną — były to istotnie stosunki potworne, bardziej zbliżone do warunków chińskich, niż europejskich, ale tak samo tylko fanatycy, tylko ludzie złej woli i złej wiary mogą próbować zaprzeczać, że głównym powodem tej wstrętnej, odpychającej nędzy była nie wielka własność, nie kapitalizm, nie taki czy inny ustrój, ale brak jakiegokolwiek poczucia odpowiedzialności chłopskich rodziców w płodzeniu dzieci. Ta lekkomyślność była cechą całej ludności rolniczej w Polsce, zarówno gospodarzy jak i robotników rolnych i komorników, a także ziemian. I właśnie te warstwy społeczne, które najgłośniej agitowały przeciw reformie rolnej, same świeciły złym przykładem chłopom, płodząc bez pamięci, bez sensu, bez resztki sumienia, i w ten sposób czyniąc tę reformę rolną, której chciały uniknąć, absolutnie nieuniknioną.

Tak samo świat robotniczy cierpi na skutek wysokiej stopy urodzin. Tam gdzie ludność szybko i gwałtownie wzrasta, tam wzrost płac realnych jest niepodobieństwem. Co gorsza, nadmierna podaż rąk do pracy opóźnia postęp techniczny. Ekonomiści niemieccy słusznie zwracają uwagę, że napływ uchodźców z Niemiec Wschodnich opóźnił modernizację techniczną i automatyzację zachodnio-niemieckich zakładów pracy. Przy sposobności zwrócę uwagę, że napływ immigrantów dorosłych jest oczywiście mniejszym złem, niż wysoki przyrost ludności: bo przy immigracji dodatkowa ludność przynajmniej zaraz zaczyna pracować, a więc odrzucać jakiś dochód społeczny. Przy mnożeniu potomstwa trzeba na tę dywidendę społeczną czekać co najmniej kilkanaście lat. Dla krajów przeludnionych, jak Polska i Włochy, emigracja jest koniecznością, jest nawet może jedyną deską ratunku: tym niemniej jest ona w rezultacie czystą stratą, uzasadnioną tym tylko, że w razie pozostania tych emigrantów w kraju pochodzenia, straty społeczne byłyby jeszcze większe.

Ale najniebezpieczniejszy jest przyrost ludności dla tak zwanej inteligencji. W warstwie tej intelektualiści stanowią w najlepszym razie 1%: stąd nazwa inteligencji jest błędna. Trafniejszy jest termin anglosaski: *White collar workers*. Po polsku najtrafniejszy jest termin: biuraliści. Liczba pracowników biurowych na całym świecie wzrosła od początku bieżącego stulecia wielokrotnie więcej, niż pracowników fizycznych; jest ich dzisiaj wszędzie za dużo. Podczas gdy mechanizacja i automatyzacja pozwoliły zaoszczędzić miliony pracowników po fabrykach — modernizacja biur ledwo się zaczęła na Zachodzie, a do Polski ta ewolucja wcale nie dotarła. Jest rzeczą pewną, że już w najbliższym czasie można by zwolnić miliony pracowników w biurach, w bankach, w ubezpieczeniach, w urzędach, wpro-

wadzając nowoczesne maszyny i urządzenia. Biuraliści przed tymi inowacjami bronią się jak mogą, ale musi przyjść chwila, gdy podatnicy wielkim głosem będą żądać zmniejszenia tych falang biurowych, a wówczas miliony tak zwanych inteligentów znajdą się na bruku. Inteligenci chcą swym dzieciom zapewnić stanowiska również po biurach. Nie pamiętam wypadku, by jakiś inteligent życzył sobie dla swego syna czy swej córki losu górnika, brukarza czy choćby szewca. W praktyce dzieci inteligencji, tak jak i ich rodzice, mnożą szeregi urzędnicze : nadprodukcja dyplomów prowadzi zawsze do nadprodukcji pracowników państwowych, a zatem do przeciążenia podatkowego. A przecież, ponadto, tak zwany postęp społeczny jest też koniecznością. Z inteligencją jest jak z solą : przesolenie jest nie mniej groźne jak brak soli. Zapotrzebowanie na inteligencję jest już niedostateczne, a zapewne jeszcze zmaleje. W tych warunkach liczne potomstwo w rodzinach inteligenckich przedstawia szczególne niebezpieczeństwo socjalne. Celibat, bezdzietność są we wszystkich warstwach pożądane, ale nigdzie bardziej jak wśród inteligencji. Wyjątek stanowią kadry inteligencji technicznej. Natomiast pracowników biurowych, dziennikarzy, prawników, polonistów i tak dalej jest już dzisiaj wszędzie za dużo, a cóż dopiero w ubogiej Polsce. Założenie rodziny jest luksusem dla inteligenta na całym świecie, na który polski inteligent już pod żadnym warunkiem nie może sobie pozwolić. Jeżeli postępuje wbrew tym nakazom zdrowego rozsądku, popełnia grzech ciężki naprzód wobec swej żony, którą skazuje na całe życie nędzy i poniewierki, potem wobec swych dzieci, które skazuje na głód i żebraninę, a wreszcie wobec społeczeństwa, które będzie musiało ponosić koszty jego braku zmysłu socjalnego i sumienia obywatelskiego. Państwo ze swej strony ma obowiązek przeciwdziałania zgubnemu rozradzaniu się inteligencji. W tym celu pozwolenie władz na zawieranie małżeństw powinno być przywrócone dla oficerów i urzędników, dodatki rodzinne powinny być skasowane, i tak dalej.

Nad całą ludzkością zwisa groźba w postaci potwornego grzyba wodorowego, unoszącego się nad dalekimi horyzontami. Ale dla ludzi myślących niemniejszą groźbą jest widok kołysek z trzecim dzieckiem. Jak atom i wodór, zwiastują one nieszczęsnej i lekkomyślnej ludzkości możliwość zagłady, bliskość godziny Wielkiego Sądu.

W. A. ZBYSZEWSKI

U źródeł paktu Skirmunt-Benesz

Umowa polityczna pomiędzy Polską a Czechosłowacją, podpisana dnia 6-go listopada 1921 roku w Pradze przez ministrów spraw zagranicznych obu krajów, Konstantego Skirmunta i Edwarda Benesza, stanowiła jedną z ciekawszych prób zbliżenia pomiędzy Pragą a Warszawą w okresie dwudziestolecia. Będąc jedyną umową o charakterze ściśle politycznym, pakt z 6-go listopada był niewątpliwie poważnym wysiłkiem zmierzającym do przełamania obopólnych niechęci i podejrzeń, nagromadzonych od czasu Konferencji Pokojowej. Ze strony polskiej szczególnie układ praski oznaczał przyjęcie nowej linii politycznej w stosunku do Czechosłowacji, oraz chęć przejścia do porządku dziennego nad konfliktem cieszyńskim. Układ podpisany został zaledwie w półtora roku po decyzji Rady Ambasadorów, dotyczącej Śląska Cieszyńskiego, o której Paderewski wyraził się, że ,,wykopała przepaść pomiędzy obu narodami'', a tylko parę miesięcy po zawarciu pokoju w Rydze, który Czechosłowacja przyjęła ze źle ukrywaną niechęcią i podejrzliwością. Nic więc dziwnego, że układ podpisany przez Benesza i Skirmunta stał się pewnego rodzaju sensacją polityczną w Europie. Francja przyjęła go z entuzjazmem jako oznakę zbliżenia pomiędzy swymi sojusznikami w środkowej Europie; komentarze czechosłowackie podkreślały znaczenie nowego kursu, mającego na celu unormowanie stosunków w regionie środkowo-wschodnim; w Polsce powitano pakt nieufnie, a lewica z P.P.S. na czele zajęła stanowisko wręcz krytyczne.

Układ praski był w lwiej części dziełem dwóch ludzi — Konstantego Skirmunta i Erazma Piltza i szukając początków polityki, której stał się on ukoronowaniem, należy zwrócić główną uwagę na koncepcje polityczne i ocenę sytuacji tych dwóch przed-

---

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

stawicieli polskiej polityki zagranicznej. Objęcie poselstwa polskiego w Pradze przez Piltza, 3 lipca roku 1921, było ewenementem o dużym znaczeniu. Piltz bowiem był nie tylko wytrawnym politykiem dużego kalibru, prawą ręką Dmowskiego na konferencji wersalskiej, ale także najbardziej prononsowanym czechofilem, pozostającym w doskonałych stosunkach z Beneszem jeszcze z okresu wojennej działalności polskiej i czeskiej na terenie Paryża. (Benesz stwierdza to wyraźnie w swych pamiętnikach). Dla Węgrów Piltz był wyrazicielem pro-francuskiej polityki w Europie środkowej i węgierski przedstawiciel w Warszawie Csekonics donosił wielokrotnie do Budapesztu, że Piltz jest ,,stuprocentowo pro-francuski''. Objęcie teki spraw zagranicznych przez Skirmunta, 11-go czerwca 1921 roku oznaczało również pewien zwrot w polskiej polityce zagranicznej, idący po tej samej linii. Chociaż nominacja Skirmunta przyjęta została zimno przez część prasy endeckiej, która stwierdziła z przekąsem, że ,,nie każdy z członków Komitetu Narodowego musi być koniecznie kandydatem na ministra spraw zagranicznych'', to dotychczasowa współpraca Skirmunta i Piltza, w Petersburgu w grupie realistów, a potem podczas wojny w ramach paryskiego Komitetu Narodowego oraz podobne nastawienie do problemu czechosłowackiego przynosiło nadzieję nowej i bardziej pozytywnej akcji politycznej w stosunku do Pragi.

Pierwszym krokiem nowego ministra spraw zagranicznych był telegram wystosowany do Benesza, stwierdzający życzliwy stosunek Warszawy do Pragi. Niemal równocześnie, 16-go czerwca, premier Wincenty Witos w wywiadzie dla *Rzeczpospolitej* podkreślił również konieczność dobrych stosunków z Czechosłowacją. W lipcu czechosłowackie *Pravo Lidu,* organ socjalistów, umieściło artykuł dotyczący możliwości przyszłej unii Czechosłowacji, Jugosławii, Polski i Rumunii, a nawet kramarzowska *Narodni Politika* zdobyła się na wypowiedź w której podkreślała potrzebę współpracy pomiędzy Paryżem, Warszawą i Pragą przeciw niebezpieczeństwu niemieckiemu.

W Pradze tymczasem rozpoczęły się długie i żmudne negocjacje dotyczące podpisania polsko-czechosłowackiego traktatu gospodarczego. Traktat ten uważany był przez Piltza i Skirmunta jedynie jako pierwszy, wstępny krok na drodze do daleko idącej umowy politycznej. Koncesje gospodarcze na korzyść Pragi miały na celu zachęcenie Czechosłowacji do bliższej współpracy i Piltz ze swej strony starał się robić wszystko, aby do niej doprowadzić. Z początkiem lipca Piltz przesłał do Warszawy raport z rozmowy, którą odbył z Beneszem radca poselstwa Karol Bader (1). Benesz stwierdził w niej, że Niemcy nie będą groźne politycznie przez przynajmniej piętnaście lat, ale pozostaną one groźne gospodarczo. Dlatego też widział potrzebę zbliżenia eko-

(1) Raport Piltza z 8-go lipca 1921, kopia do poselstwa R.P. w Waszyngtonie nr. D. IV. 3403/21 Tajne. Teczka ,,Czechosłowacja''. *Depozyt Ciechanowskiego,* Hoover Library, Stanford, California.

nomicznego pomiędzy Polską i Czechosłowacją dla wzmocnienia pozycji obu krajów.

Rosja, zdaniem Benesza, nie odegra również żadnej poważniejszej roli politycznej przez lat dziesięć. W tej sytuacji istnieje możliwość skonsolidowania Europy środkowej a w stosunkach polsko-czeskich należy „znaleźć formy współżycia i współdziałania". Piltz, komentując wywody Benesza, podkreślał ze swej strony ich wagę, gdyż Benesz jest „uczniem, wyrazicielem myśli i wykonawcą Masaryka". Z drugiej jednak strony Piltz przyznawał, że czechosłowacki minister spraw zagranicznych „nie jest bynajmniej zupełnym panem sytuacji" i że wiele czynników zarówno na prawicy jak i na lewicy jest mu przeciwnych. Powściągliwość, jaką okazał Benesz, mówiąc z Baderem o Rosji staje się w pełni zrozumiała wobec obaw, jakie Praga żywiła, aby współpraca z Polską nie naraziła Czechosłowacji na wrogi stosunek Moskwy. Dlatego Benesz wolał operować pewnymi ogólnymi i trudno sprawdzalnymi hipotezami niż angażować się w jakąś wspólną polsko-czeską politykę wobec Rosji. Benesz podkreślił to zresztą wyraźnie parę dni później w rozmowie z amerykańskim chargé d'affaires w Pradze. „*Dr. Benes* — donosił ten ostatni — *emphasized that he would allow nothing in the treaty* (z Polską) *which would in any way involve Czecho-Slovakia by reason of further trouble between Poland and Russia*" (2). Podobnie oceniał też sytuację poseł amerykański Crane po przyjeździe do Pragi. Zwracał on też uwagę swego rządu na presję wywieraną na Polskę i Czechosłowację przez Paryż (3).

Ale, jeżeli koła rządowe czechosłowackie wykazywały pewną ostrożność w stosunku do Polski i obawiały się zbytnio angażować, duża część opinii publicznej w Polsce wyrażała się wręcz krytycznie o próbach zbliżenia z Czechosłowacją. Mowa Skirmunta w sejmie 1-go lipca, w której poruszył sprawę polepszenia stosunków z Pragą, spotkała się z nieżyczliwym przyjęciem. Perl, przedstawiając punkt widzenia P.P.S., zapytywał wręcz dlaczego Skirmunt stara się robić atmosferę sprzyjającą zbliżeniu z Czechosłowacją. Polska nic na tym nie może zyskać, gdyż Czesi nie zmienią swego stanowiska w sprawie Galicji wschodniej, ani też nie zajmą bardziej anty-niemieckiej postawy. Zbliżenie więc może przynieść korzyści jedynie Czechom, przez nowe potwierdzenia gwałtu cieszyńskiego, przez otwarcie rynku polskiego dla czechosłowackiego eksportu, nie mówiąc już o wielkich korzyściach płynących dla Pragi z tranzytu towarowego przez Polskę do Rosji.

Ażeby zrozumieć motywy, które skłoniły Skirmunta i Piltza do dalszej kontynuacji pro-czeskiej polityki, wbrew opinii dużej części sejmu i pomimo trudności napotykanych w Pradze, należy

(2) Chargé d'affaires do Sekretarza Stanu, 23 lipca 1921 *National Archives*, Washington, 760c 60f/101.

(3) Crane do Sekretarza Stanu, 30 lipca 1921, *National Archives*, 860f 00/184.

zwrócić główną uwagę na dwa dokumenty z sierpnia i września 1921 roku. Pierwszym z nich był okólnik Skirmunta z 2-go sierpnia (4), drugim raport sytuacyjny Piltza z 5-go września 1921 roku (5). Okólnik kierowany do wszystkich placówek a podpisany przez Skirmunta, zawierał następującą analizę sytuacji: Istnieje w Europie ogólne naprężenie związane z Polską, która ma reputację kraju zakłócającego spokój i mającego tendencje imperialistyczne. Pierwsze trzy lata po wojnie, stwierdzał Skirmunt, wypełnione były konieczną walką o ustalenie granic, wciąż jeszcze pozostają do załatwienia sprawy Górnego Śląska, Wileńszczyzny i Wschodniej Galicji i dążyć należy do jak najszybszego zrealizowania polskich postulatów odnośnie tych problemów. Ale polityka zagraniczna musi na długą metę być pozytywna. Polska polityka zagraniczna powinna opierać się na dwóch podstawowych założeniach: poszanowaniu traktatów pokojowych, oraz stworzeniu i utrzymaniu systemu aliansów z państwami, z którymi Polska posiada wspólne interesy — w pierwszym rzędzie z Francją. Zasada poszanowania traktatów pociąga za sobą respektowanie nawet takich traktatów jak układ w Trianon — pomimo tego, że przekreśla on możliwość wspólnej granicy z Węgrami — gdyż negowanie go oznaczałoby nie tylko utrudnianie stosunków polsko-czechosłowackich, ale podważałoby cały ład i bezpieczeństwo systemu politycznego w Europie środkowej. Skirmunt podkreślił niezwykłe mocno w swym okólniku potrzebę najbliższego aliansu z Francją, a również sojuszu z Rumunią. Przechodząc do sprawy czechosłowackiej stwierdził, że należałoby uzupełnić ten system sojuszów przez wyeliminowanie istniejących różnic i tarć między Warszawą a Pragą. Porozumienie polsko-czechosłowackie, pisał Skirmunt, da Polsce stałą i nieprzerwaną więź z zachodem, w zamian za co otworzy przemysłowi czeskiemu drogi do rynków wschodnich. Porozumienie to musi pozbawić separatystyczny ruch ukraiński swych baz w Czechosłowacji, a w zamian za to dać gwarancję Czechom, że irredenta słowacka nie znajdzie poparcia w Polsce. Jako dalszy cel, umowa dwóch krajów zachodniosłowiańskich powinna stworzyć zaporę przeciw ewentualnemu zalewowi rosyjskiemu. W zakończeniu Skirmunt stwierdził, że Polska jest w stałym zagrożeniu płynącym z nacjonalistycznej nienawiści ze strony Niemiec a klasowej nienawiści ze strony komunistycznej Rosji. W tych warunkach konieczny jest pokój i utrwalenie istniejącego stanu rzeczy.

Jeżeli okólnik Skirmunta wyznaczał główne linie polskiej polityki zagranicznej, raport Piltza stanowił jego uzupełnienie

(4) Znane mi jest jedynie niemieckie tłumaczenie tego okólnika, które ukazało się pod tytułem ,,Polens Aussenpolitik zwischen Versailles und Locarno. Runderlass des polnischen Aussenministers Skirmunt an alle Missionen'' *Berliner Monatsheft*, XVIII (1940).

(5) Raport Piltza z Marienbadu z 5 września 1921, kopia do poselstwa w Waszyngtonie no. D. IV./2977 Tajne. Teczka ,,Stosunki Polsko-Czechosłowackie'', *Depozyt Ciechanowskiego* Hoover Library.

i rozwinięcie, ze szczególnym uwzględnieniem problematyki polsko-czechosłowackiej. Sądzić należy, że M.S.Z. przywiązywało do niego szczególną wagę skoro kopie raportu zostały przekazane do wszystkich ważniejszych placówek zagranicznych.

Osobowość Piltza zresztą wpływała zapewne na to, aby uznać jego wypowiedź za szczególnie ważną i zasługującą na rozpatrzenie. Raport Piltza rozpoczyna się od ogólnej analizy sytuacji Polski. Za jedyną spokojną polską granicę uważa Piltz granicę z Rumunią. Jakkolwiek pokój ryski ustalił granicę wschodnią, pisał Piltz,

> „nie mogę przecież uważać granicy tej za pewną i bezpieczną i nie dzielić powszechnego dziś w całym świecie przekonania, że nie był to w całym słowa znaczeniu pokój, ale raczej wielki rozejm poza którym kryje się niepokojąca zagadka przyszłego ukształtowania się stosunków na olbrzymich obszarach Rosji".

Problem litewski byłby drugorzędny gdyby nie to, że na odcinku tym krzyżują się intrygi rosyjsko-niemieckie z wpływami angielskimi, które również widoczne są w krajach bałtyckich. Jeżeli chodzi o zagadnienie niemieckie, Piltz stwierdzał, że Berlin nigdy nie zaprzestanie rewindykacji ziem utraconych w Wersalu i, że trudności na tym odcinku będą nadal bardzo poważne. Wreszcie na południowej granicy polskiej nie ma, jak dotąd, stanu odprężenia i granicy tej za spokojną też uznać nie sposób.

W swej ocenie ogólnej sytuacji międzynarodowej Piltz określił Anglię jako kraj zupełnie jednolicie anty-polski, z tym że Japonia i Włochy grawitują też ku Wielkiej Brytanii. „Wroga nam jest dzisiaj zarówno Rada Najwyższa, Konferencja Ambasadorów, jak i Liga Narodów". Przechodząc do wniosków Piltz pisał co następuje?

> „W położeniu tym musimy zdobyć się na decyzję, musimy rozważyć i rozstrzygnąć dylemat przed którym stoimy. Mamy do wyboru, albo utrzymać liczną i silną armię i na jej bagnetach oprzeć pokój i bezpieczeństwo państwa, albo też zerwać z dotychczasowym systemem i szukać zgody i pokoju... Kiedy rozważam wszystkie czynniki naszego położenia wewnętrznego, brak silnego rządu, sprawnej administracji, stan skarbu i katastrofalny spadek waluty, stosunki socjalne i wreszcie wynikającą stąd nieufność zagranicy wobec nas, dochodzę do przekonania, że pewne ustępstwa i pokojowy tok naszej polityki nie mogą być w żadnej proporcji do strat i szkód, które przynieść nam musi trwanie w dotychczasowej postawie i idące za tym koszty wojskowe. Trzeba nam szukać zgody i pokoju. Jedynym dziś sąsiadem, z którym dojść możemy do porozumienia politycznego są Czesi. Czesi zgody z nami pragną i potrzebują, będzie ona zatem oparta nie na sentymentach czy przypadku, ale ufundowana na obopólnym interesie. W tym jej żywotność i zadatek trwałości".

Piltz podkreślił następnie, że Czesi nie potrzebują Polski z obawy przed Niemcami, a także, że uporali się sami z problemem słowackim. Groźba komunizmu w Czechach zmniejsza się

również. Umowa więc z Pragą nie będzie paktem z państwem słabym i zagrożonym. Wprost przeciwnie?

„Siłę międzynarodowego stanowiska Czech znamionuje stanowisko ich w Lidze Narodów i w Konferencji Ambasadorów; niewątpliwy sukces dyplomatyczny — skojarzenie Małej Ententy, zręczne zachowanie równie doskonałych stosunków do obu mocarstw Anglii i Francji. Najlepiej jednak świadczy o powodzeniach polityki czeskiej bijący w oczy fakt, że udało im się osiągnąć maksimum *rewindykacji* politycznych dla państwa czeskosłowackiego".

Piltz przeszedł z kolei do wytłumaczenia dlaczego w tych warunkach Czesi pragną współpracy z Polską. Zdaniem jego tak Masaryk jak i Benesz zdają sobie sprawę z trudności państwa różnonarodościowego „w którym żywioł czeski nie przeważa, a jedna czwarta ludności ciąży i ciążyć będzie do połączenia z Niemcami". Wchodzi tu również w grę dziwaczna struktura geograficzna Czechosłowacji i długie granice, których Mała Ententa nie jest w stanie zabezpieczyć w pełni. Żywioł socjalistyczny w Czechosłowacji jest również pewnym elementem słabości i konieczne jest utrzymanie wysokiego standardu życia, możliwe jedynie przy dużej ekspansji gospodarczej na wschód i Bałkany, gdzie Czesi konkurują z Niemcami.

„Dla tych wszystkich względów zgoda z Polską może stać się cennym i praktycznym wzmocnieniem siły i stanowiska Czech. Współdziałanie z Polską otworzyć może dopiero Czechosłowacji perspektywy eksportu na rynki rosyjskie, gdzie polski kupiec, technik i finansista dzięki tradycyjnym stosunkom i doświadczeniom, staną istotnie potęgę z którą żywioł czeski równać się nie może". W takiej sytuacji „stojąc na pewnym gruncie obopólnego interesu i wzajemnych ustępstw jak i korzyści polsko-czeskiego porozumienia, mamy dziś swobodny wybór pomiędzy dwoma możliwościami ułożenia stosunków i planu działania. Pierwszy szerszy pogląd to stworzenie organizacji Europy Środkowej. Nie mam tu na myśli tzw. Małej Ententy, która siłą przeznaczenia swego i motywów powstania jest raczej sojuszem anty-węgierskim wspartym wyłącznie o traktat w Trianon. Planem naszym winno być raczej ujęcie w wspólny i jednolity system polityczno-gospodarczy 70 milionów ludności Polski, Czech, Rumunii i Jugosławii".

Analizując pewne trudności związane z dodatkowym uczestnictwem Grecji i Bułgarii w tym związku, Piltz pisał dalej:

„Jakiekolwiek byłyby późniejsze losy tego związku Europy Środkowej, widzę w nim dwie walne dla nas korzyści: 1) organizacja ta byłaby jedynym logicznym uzupełnieniem naszego sojuszu z Francją, który jest podwaliną naszych stosunków międzynarodowych a stanowi wyłącznie zabezpieczenie naszej zachodniej granicy z Niemcami. 2) Blok środkowo-europejski zwarty geograficznie i gospodarczo, stanowić może dopiero dostateczną siłę, by unicestwić w Niemczech wszelką ideę odwetu i rzucić mocne podstawy dla pokojowego rozwoju stosunków na całym obszarze dawnych państw centralnych"

Podkreślając, że realizacja planu zorganizowania całego obszaru Europy środkowej jest zagadnieniem na długą metę, Piltz stwierdził, że polsko-czechosłowacka umowa polityczna jest również cenna w chwili bieżącej gdyż:

„Uzyskamy przy minimalnym wysiłku uspokojenie całego frontu polsko-czeskiego i co za tym, możemy uporządkować stosunki pod zaborem czeskim ks. Cieszyńskiego. W ten sposób zniknęłyby z porządku dziennego wszystkie skargi i żale, które płyną z Bogumina, Ostrawy, Karwiny, Frysztatu i Trzyńca, rzucając ciągły cień i niepokój na stosunki między Warszawą i Pragą, a także i Paryżem. W tym układzie wreszcie możemy osiągnąć również cenne oświadczenie *desinteressement* oraz *bon office* Benesza w sprawie Galicji Wschodniej co stanowić będzie w całokształcie akcji naszej o rewindykacje praw naszych do ziem Czerwonej Rusi akt zgoła niepośledniej wartości i rozgłosu".

Piltz nie ukrywał przed Skirmuntem swego przekonania, że opozycja w Polsce ustosunkuje się wrogo do polityki zbliżenia z Czechosłowacją. Szczególne trudności zaistnieją w wypadku przedstawicieli cieszyńskiego „w których najżywiej uchowało się wspomnienie zadanego nam, w najcięższych chwilach Rzeczpospolitej, gwałtu, gorzkie poczucie doznanej krzywdy i klęski". Ale, kontynuował Piltz: „Trzeba raz powiedzieć całą prawdę". W konflikcie cieszyńskim jedna strona — „Polska, broniła energicznie zasady etnograficznej, druga — Czechy, stanęła na stanowisku historycznym". W końcu Polska została pokonana „ale czy zupełnie bez naszej winy:"

„Trzy razy powtarzała się sposobność pomyślniejszego rozstrzygnięcia sprawy cieszyńskiej i trzy razy udaremniliśmy wyrok z zapoznaniem całkowitym rzeczywistości i istniejącego układu interesów na forum międzynarodowym. Raz, kiedy na początku konferencji pokojowej odrzuciliśmy z oburzeniem linię graniczną ustaloną dnia 5 listopada 1918 przez Radę Narodową i czeski Narodni Vibor, domagając się ponadto włączenia kilku gmin i stojąc na gruncie maksymalnych żądań (6). Raz wtóry, kiedy w maju odrzuciliśmy najlepsze podówczas wyjście: zainicjowany (śmiem przypomnieć) przeze mnie i zaproponowany urzędownie przez Francję, a zaakceptowany przez Benesza arbitraż króla belgijskiego (7). Raz trzeci, kiedy odrzuciliśmy definitywnie plebiscyt uzależniając go od spełnienia warunków, które jednomyślnie cała Konferencja Ambasadorów odrzuciła. Trzy razy byłem sam świadkiem naszych błędów, zupełnego niezrozumienia warunków międzynarodowych, w których sprawa cieszyńska się rozgrywała, gdzie mieliśmy przeciw sobie nie tylko licznych wrogów i wszystkich niechętnych, ale i

---

(6) Piltz ma tu zapewne na myśli memorandum złożone na Quai d'Orsay z ramienia Polskiej Rady Narodowej dla Śląska Cieszyńskiego, przez Gustawa Szurę 20. XII. 1919, żądające poza powiatami cieszyńskim, frysztackim i bielskim dwóch gmin w powiecie frydeckim a więc więcej niż przyznawała Polsce prowizoryczna umowa z 5. ⅩI.

(7) Piltz nie dodał, że zgoda Benesza była uzależniona od aprobaty komisji s.z. parlamentu w Pradze, której nie otrzymał.

najbliższego naszego sprzymierzeńca. I kiedy dnia 28 lipca 1920 r. delegat polski I. J. Paderewski podpisywał wyrok składając uroczysty protest, wypróbowany przyjaciel nasz J. Cambon, prezes Konferencji Ambasadorów powiedział mu: „Jeszcze dni kilka zwłoki, a cały bez wyjątku Śląsk Cieszyński byłby Czechom przyznany".

Czy klęska Polski w sprawie cieszyńskiej, zapytywał Piltz:

„może stać się przeszkodą na drodze do tego, czego w obecnej chwili historycznej najwyższe interesy państwowe wymagają? Są u nas ludzie i grupy, które wciąż wracają, niby owe dawne królewięta Rzeczpospolitej, do swojego zdania, że naprzód idą lokalne i terytorialne interesy, a potem sprawa polska... Polityka polska nie może, w przekonaniu moim, polegać dalej na *sumowaniu* interesów lokalnych, znaleźć musi ona wreszcie swoją syntezę. Chcemy i musimy wyjść z inflacji. Domagają się tego ogólne interesy, położenie zewnętrzne i wewnętrzne państwa. Groźny zwrot w sprawie Górnego Śląska i powaga kwestii Galicji Wschodniej nie pozwalają nam na wątpliwości i wahania. Jedynym punktem wyjścia z zaklętego koła odosobnienia i ciągłej walki, który się w obecnej chwili nadarza jest porozumienie z Czechosłowacją".

Sądzić należy, że raport Piltza, w którym użył on całego swego prestiżu i doświadczenia politycznego przeważył szalę i doprowadził do podpisania umowy polsko-czechosłowackiej. Dnia 20 października odbyło się w Warszawie parafowanie traktatu gospodarczego, na którym złożyli swe podpisy Henryk Strasburger ze strony polskiej a poseł Prokop Baxa i Jan Dvoracek ze strony czeskiej. Dwa tygodnie później Skirmunt podpisał w Pradze układ polityczny pomiędzy obu krajami. Analiza tego układu przekracza ramy tego artykułu. Warto jedynie przypomnieć, że nadzieje z nim związane okazały się płonne. Specjalny protokół mający rozstrzygnąć sprawę Jaworzyny i przygotować grunt dla ratyfikacji układu nie wszedł nigdy w życie. Obopólne rekryminacje polsko-czechosłowackie nie pozwoliły z kolei na przedłożenie układu z 6-go listopada do ratyfikacji sejmowi. Skirmunt ustąpił ze stanowiska ministra spraw zagranicznych w 1922 roku. Piltz odwołany z Pragi na znak protestu przeciw czechosłowackiej polityce w sprawie Jaworzyny odbył swą ostatnią, już na wpół nieoficjalną misję, wysłany do Sinai w lecie 1923 roku celem ratowania stosunków polsko-czechosłowackich. Misja ta była niewdzięczna i Piltz powrócił z niczym rozgoryczony i zawiedziony.

Nieratyfikowany układ praski pozostał symbolem próby unormowania stosunków polsko-czechosłowackich, jak również symbolem tego, że Praga i Warszawa nie mówiły na długą metę tym samym językiem. Różnice temperamentu, zmienność sytuacji, narastające uczucie niechęci zajęły pierwsze miejsce, eliminując na plan dalszy podstawową prawdę o konieczności sąsiedzkiego współżycia i zbieżności zasadniczych interesów.

Piotr WANDYCZ

Kronika kulturalna

"Twórczość" o Eliocie

W czerwcowej „Twórczości" ukazał się artykuł, który biorąc za odskocznię niedawno wydany zbiór esejów pt. „On Poetry and Poets", analizuje całokształt pracy pisarskiej Eliota. Autor artykułu, Bronisław Wiśniowski, stawia tezę, że Eliot zaleca konserwatyzm formalny w poezji, że ogranicza się do formalnej strony literatury i nie docenia roli treści i intelektu, oraz że jest jednostronny i tendencyjny a nawet złośliwy i niesprawiedliwy w ocenach np. Miltona i Byrona.

Sam Wiśniowski słusznie zauważa, że Eliot najwięcej miejsca poświęca poetom i problemom poetyckim, które są mu bliskie jako poecie. Nie powinien więc dziwić się, że w esejach z tej dziedziny Eliot zasadniczo porusza kwestie języka i formy: jak każdy rasowy poeta miał on tematów pod dostatkiem, trudność polegała na wyszukaniu odpowiedniej formy wyrazu. Stąd jego analizy bliskich mu poetów od strony formalnej. Od Dantego, Szekspira i Donne'a uczył się techniki operowania słowem, ale nie szukał stosownych tematów do „wierszowania".

Eliot i Ezra Pound, twierdzi Wiśniowski, są przeciwni „wszelkim radykalnym zmianom form poetyckich". Równie dobrze można twierdzić, że obrazy Picassa z okresu kubizmu są żenująco naturalistyczne. Wiele bowiem można obu poetom zarzucić, ale w żadnym razie nie można ich posądzić o kurczowe trzymanie się tradycyjnych form ekspresji. Jeżeli można komuś przypisać odświeżenie i zrewolucjonizowanie poezji angielskiej XX w. pod względem i formy i *treści*, to właśnie Eliotowi do spółki z Poundem i Yeats'em, tak jak na początku XIX w. odświeżyli ją romantycy z Wordsworthem i Coleridge'm na czele. Pozycję swoją w literaturze angielskiej poezja Eliota zawdzięcza innowacjom i w formie i w treści, które są bezpośrednim wyrazem naszej współczesnej *condition humaine*. Dla pełności obrazu należy dodać, że Eliot nigdy nie ulegał modnym hasłom modernizmu: w przedmowie z r. 1928 do wierszy wybranych Pounda stwierdza, że „The poem which is absolutely original is absolutely bad". Jest gorącym wyznawcą tradycji i ciągłości w literaturze, o czym dostatecznie świadczy esej pt. „Tradition and the Individual Talent", nie koliduje to jednak z twierdzeniem, że jest poetą na wskroś współczesnym.

Jeżeli zgodzimy się, że Eliot nadał nowy kierunek poezji angielskiej, trudno będzie poprzeć opinię jakoby miał on przypisywać ,,zbyt małe znaczenie intelektualnej i poznawczej treści dzieła poetyckiego". Jest to trochę dziwna ocena krytyka, który zdaniem Wiśniowskiego, przyczynił się do powstania szkoły krytyki literackiej o ,,rygorystycznych założeniach artystycznych". W przytoczonym powyżej kluczowym eseju ,,Tradition and the Individual Talent" Eliot pisze ,,Poetry is not a turning loose of emotion, but an escape from emotion, it is not an expression of personality, but an escape from personality". Jak zresztą w całej twórczości Eliota, widać tu nieufność do romantycznych wywnętrzeń i pochwałę klasycznego i *ipso facto* intelektualnego stosunku do sztuki. O ,,świadomie nieuporządkowanym ładunku myślowym" w jego wierszach może mówić tylko ktoś kto je nie bardzo zrozumiał. Czy zresztą w słowie ,,świadomie" nie kryje się wyznanie, że mamy do czynienia z poetą o upodobaniach intelektualnych?

W artykule swoim Wiśniowski kilkakrotnie posługuje się słowem ,,faszyzm". Wiadomo, że Eliot nie jest zapalonym entuzjastą demokracji, ale trudno posądzać go o poglądy zbliżone do faszyzmu. Co najwyżej można zauważyć, że darzy on szczególną sympatią średniowieczny chrześcijański system hierarchiczny i poglądy te nie wywodzą się, jak chce Wiśniowski, z rzekomego umiłowania tradycjonalizmu poetyckiego, lecz z samej wiary chrześcijańskiej, która, co ważniejsza, nie miała decydującego wpływu na formę jego wierszy ani na jego sądy literackie. Warto tu wspomnieć, że Eliot jest autorem wiersza ,,Marsz triumfalny", którego na pewno żaden *Uebermensch* nie chciałby wpisać do swego sztambucha. Warto też nadmienić, że Eliot przypisuje wielką wagę swym dramatom właśnie dlatego, że są one, jego zdaniem, najefektowniejszym sposobem przemawiania do szerokich mas publiczności. Nie oznacza to, że Eliot zajmuje się popularyzowaniem dla ,,ciemnych mas", jak to nieraz czynią pisarze o bardziej ,,liberalnych" lub też bardziej elitarnych i ,,faszystowskich" poglądach. Pisze je m.in. i dlatego, że jest głęboko wrażliwy na *społeczne* zadanie sztuki.

Jeszcze bardziej niepokojące jest twierdzenie Wiśniowskiego, że ,,Murder in the Cathedral" jest ,,obroną faszyzmu". Wydaje mi się, że autor artykułu po prostu nie zrozumiał treści tej sztuki, biorąc morderców Becketa za jej bohaterów. Jeden z nich bowiem tak usprawiedliwia mord: ,,...Są czasy, kiedy przemoc jest jedynym sposobem uzyskania sprawiedliwości społecznej", a drugi dowodzi z wyrafinowanym cynizmem, że był to wypadek samobójstwa w następstwie pomieszania zmysłów. Jeżeli zaś sam Becket ma być wcieleniem faszyzmu, określenie to traci wszelkie znaczenie, chyba, że faszystą jest każdy kto cierpi i ginie od zbrojnej ręki za swe przekonania.

Wiśniowski kilkakrotnie daje do zrozumienia, że krytyki Eliota są pełne uprzedzeń i że w stosunku do Miltona i Byrona stają się otwarcie złośliwe i krzywdzące. Zważywszy, że Eliot, jak zresztą każdy odkrywczy poeta, był zaangażowany w różne spory literackie, można jedynie podziwiać rozpiętość jego zainteresowań oraz umiar, trafność i sprawiedliwość jego literackich sądów. Nie ma wielkiego poety angielskiego, o którym Eliot nie ma czegoś ciekawego i konstruktywnego do powiedzenia. Pomijam tu poetów obcych, poetów średniej miary i poetów, których właśnie jego krytyka wskrzesiła z zapomnienia; pomijam też eseje poruszające ogólne zagadnienia literackie zahaczając o filozofię, religię itp. Wszystkie te tematy Wiś-

niowski znajdzie w zbiorze pt. „Selected Essays" z r. 1932, który zdaje się uszedł jego uwadze.

Przechodząc do krytyki Miltona i Byrona należy stwierdzić, że są to dwa zupełnie różne zagadnienia. Przede wszystkim w „On Poetry and Poets" znajdują się *dwa* eseje o Miltonie. W pierwszym z r. 1936 młody stosunkowo Eliot tworzący własną poetykę, burzy ustalone hierarchie, tak, jak je np. burzył swego czasu Mickiewicz, jak je burzyli skamandryci i awangardyści. Przeciw Miltonowi walczy jak równy z równym; uszczypliwych uwag osobistych w tym eseju trochę jest, ale nie one, jak myśli Wiśniowski, stanowią centrum ataku. W drugim eseju napisanym *jedenaście* lat później Eliota, mającego swój dorobek poetycki za sobą stać na mniej cierpki, a nawet i ciepły ton: wyraża uznanie dla talentu Miltona, ale robi to jakby pod przymusem.

Natomiast esej o Byronie, który tak zgorszył Wiśniowskiego, napisany był na zamówienie jako kawałek rutynowej pracy krytycznej w której, wydaje mi się, Eliot jako poeta nie był bezpośrednio zaangażowany. W przeciwieństwie bowiem do Wiśniowskiego Eliot nie uważa Byrona za równego Miltonowi, za twórcę o ustalonym autorytecie, z którego wpływem poetyckim on jako poeta torujący sobie własną drogę musiałby walczyć. Warto zaznaczyć, że w tym eseju (który ukazał się w okresie najbardziej wrogiego stosunku Eliota do Miltona) Eliot pisze „Their (tzn. Miltona i Drydena) failures... are of a higher kind than Byron's successes..." Co więcej, Eliot jest o wiele bardziej przychylny Byronowi niżby wynikało z artykułu Wiśniowskiego. Przypisuje mu zdolność narracyjną (którą w jednym miejscu porównuje z takim mistrzem w tej dziedzinie jak Chaucer) i dar satyryczny — więcej trudno od rzetelnego krytyka żądać. Argument ten chyba jednak nie zadowolni Wiśniowskiego, w którego mniemaniu Byron jest niedoceniany przez swych ziemków. Tu naturalnie jest sedno problemu, któremu należałoby kiedyś poświęcić trochę czasu: dlaczego wciąż trwa w Polsce przekonanie, że Byron jest jednym z największych poetów angielskich? Można zrozumieć dlaczego ta barwna postać wywarła duże wrażenie na Słowackim, Mickiewiczu i Norwidzie, ale czemu przypisać trwanie tego kultu? Wydaje mi się, że dla każdego, kto jest dobrze obeznany z literaturą angielską w oryginale jest to stosunek niczym nie usprawiedliwiony. Podobnie niezrozumiały jest dla Amerykanina kult Poe'go we Francji.

Adam CZERNIAWSKI

Skarby Wawelskie

UCHWAŁA POLONII ARGENTYŃSKIEJ

Sejmik Polonii Argentyńskiej w dniu 28 września 1958 powziął następującą uchwałę:

„Nadzwyczajny Zjazd Delegatów Stowarzyszeń Polskich w Argentynie, Sejmik Polonii Argentyńskiej, zwołany na dzień 28 września 1958 roku stwierdza:

Wywiezione w roku 1939 przed nawałą hitlerowską do Kanady Skarby Wawelskie są niezaprzeczalną własnością Narodu Polskiego.

Skarby te zamknięte od roku 1945, to znaczy w ciągu ostatnich 13-tu lat, w piwnicach muzeum prowincji Quebec — niszczeją w sposób katastrofalny. Grozi to niepowetowaną stratą najdroższych nam wszystkim pamiątek historycznych i dowodów kultury polskiej.

Skarby Wawelskie muszą jak najszybciej wrócić z wilgotnych piwnic kanadyjskiego muzeum tam — gdzie żyje i walczy o lepsze jutro Naród Polski. Ich miejsce jest w salach królewskich Wawelu!

W roku 1963 Naród Polski obchodzi wielką rocznicę: Tysiąclecie Państwa Polskiego! Nie do pomyślenia jest by w tym czasie te najstarsze dowody kultury polskiej, wśród których znajduje się również koronacyjny miecz — Szczerbiec Bolesława Chrobrego, były w obcych rękach i na obcej ziemi.

W największej trosce uchwalając powyższe, reprezentacja Polonii Argentyńskiej — jej Sejmik — zwraca się z apelem do wszystkich Polonii, na wszystkich terenach, o podjęcie podobnych uchwał i zorganizowanie wspólnej akcji zmierzającej do zwrotu Narodowi Polskiemu jego historycznych skarbów. Taka akcja będzie widomym znakiem naszej duchowej jedności z Macierzą".

UCHWAŁA POLONII AUSTRALIJSKIEJ

VIII Zjazd Delegatów Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii, najwyższej władzy organizacyjnej polskiej w Australii, obradujący w Sydney w dniach 4-6 października 1958, powziął następującą uchwałę:

„Zjazd, wyrażając głęboką troskę o losy zabytków kultury i historii Narodu Polskiego, mając szczególnie na uwadze ich wpływ wychowawczy na młodzież w Kraju, zaniepokojony losem skarbów wawelskich zagrożonych zniszczeniem, apeluje do właściwych czynników polskich na emigracji o wydanie niezbędnych zarządzeń umożliwiających powrót skarbów na Wawel".

Konkurs

W roku 75-lecia śmierci wielkiego artysty-emigranta CYPRIANA KAMILA NORWIDA Koło Artystów Plastyków Polskich w Argentynie ogłasza Konkurs na prace z zakresu rzeźby i malarstwa.

Udział w Konkursie brać mogą zrzeszeni i niezrzeszeni artyści polscy zamieszkali na terenie całej Ameryki Łacińskiej.

Biorący udział w Konkursie nie są ograniczeni w doborze tematu, lecz byłoby pożądane by nadsyłane prace związane były z życiem lub twórczością Norwida.

Prace winny być podpisane godłem artysty, a w osobnej zalakowanej kopercie opatrzonej tym samym godłem należy podać imię, nazwisko, oraz dokładny adres autora nadesłanej pracy.

Przewidziano trzy nagrody: I-sza w wysokości 10.000 pesos, II-ga — 5.000 pesos, III-cia — 3000 pesos (arg.) oraz szereg nagród niższych i wyróżnień. W skład sądu konkursowego wejdą wybitni artyści plastycy z Buenos-Aires, oraz przedstawiciel Koła Artystów Plastyków Polskich w Argentynie.

Organizatorzy Konkursu zastrzegają sobie prawo wystawienia i opublikowania nadesłanych prac. Koszty przesłania eksponatów ponoszą biorący udział w Konkursie.

Termin składania prac upływa dn. 29 grudnia 1958, dla prac nadsyłanych obowiązuje data stempla pocztowego. Rozstrzygnięcie Konkursu nastąpi w marcu 1959 roku.

Prace winny być nadesłane na adres:

CONCURSO y EXPOSICION

Circulo de los Artistas Plasticos Polacos en la Republica Argentyna, Casa Polaca, c. Serrano 2076, Buenos-Aires.

Książki

Kompleks nienawiści

I

Na temat stosunków polsko-ukraińskich w kraju pisze się bardzo niewiele. Oficjalna teza głosi, że stare rachunki wzajemnych walk, krzywd i win zostały przekreślone raz na zawsze, a obydwa narody, znalazłszy się na łonie tegoż samego błogosławionego socjalizmu, żyć będą w sąsiedzkiej przyjaźni i harmonii. Na tym sielankowym malowidle występują od czasu do czasu ciemne plamy, ale mówi się o tym półgębkiem. W literaturze krajowej problem polsko-ukraiński świeci nieobecnością.

Z tym większym zainteresowaniem wziąłem do ręki niewielki tomik Andrzeja Kuśniewicza, ,,Słowa o nienawiści''. Autor — stary zresztą znajomy niżej podpisanego, o czym będzie jeszcze mowa — liczy sobie bodaj dobrze po pięćdziesiątce. Debiut poetycki w tym wieku? I to na temat tak bardzo specjalny?

Słaba poetycko, książeczka sprawia przygnębiające wrażenie swoją treścią. To raczej słowa nienawistne, niż ,,o nienawiści''. ,,Rękawem ocieram z bratniej krwi pieśni tej gorzki owoc...'' — mówi Kuśniewicz w przedśpiewie. A w epilogu dodaje takie usprawiedliwienie:

Mówili: ,,Tego nie ruszaj'' —
ale widzisz, zbrzydło do tej pory
wyrywanie kart z kwitariusza
zapleśniałej narodowej historii.

Niejednemu nie w smak te wiersze,
co nie uszanowały
ni narodowej dumy,
ni narodowych nieszczęść.

Istotnie, kulawe wiersze zacytowanych zwrotek ,,niejednemu nie w smak''. Kuśniewicz ma, oczywista, na myśli swoją

postawę. Ta postawa również mi nie w smak. Narodowych nieszczęść można nie szanować w imię ich przezwyciężenia i walki o inną przyszłość. Tak właśnie czynił Żeromski, który nie chciał by świeże rany ,,zarastały blizną podłości''. Kuśniewicz na polskie i ukraińskie cmentarze wylał kubeł pomyj, czyniąc taką minę, jakby obmywał niedawne groby hyzopem przebaczenia i pojednania. Więc przy największej nawet wyrozumiałości trudno tej książeczki nie określić mianem nikczemnej.

To dlatego dopiero teraz zdobyłem się na napisanie recenzji, choć redaktor ,,Kultury'' przysłał mi ,,Słowa o nienawiści'' przed prawie dwoma laty. Trudno mi było zdobyć się na spokój, niezbędny przy bezstronnej ocenie literackiej i ideowej. Tym bardziej trudno, że od blisko trzydziestu lat kręcę się w zaczarowanym kole stosunków polsko-ukraińskich, kamieniem leżących mi na sercu.

Gdy chodzi o wydawnictwa krajowe, zawsze ważna jest chronologia. Jak podaje notatka redakcyjna, książeczka wyszła w lipcu 1956 roku, ale do składania, oddana została w marcu tegoż roku. Kiedy Kuśniewicz ją napisał — nie wiadomo. W każdym razie przed ,,październikiem'' i przed wypadkami w Poznaniu. Toteż jej prawowierność ideowa jest bez zarzutu.

II

W czasopismach krajowych spotkałem tylko jedną ocenę ,,Słów i nienawiści'', w krakowskim ,,Życiu Literackiem''. Może było więcej, a ja przeoczyłem. Była to ocena dość pozytywna, pióra Kazimierza Wyki, albo Wacława Kubackiego; zapomniałem i w tej chwili nie jestem w stanie sprawdzić. Mniejsza o to. Wspomniana recenzja koncentruje się głównie na stronie literackiej, a o samym zagadnieniu wspomina jedynie półgębkiem. Ja zastosuję metodę odwrotną, tym bardziej że wartości poetyckie utworu są dostatecznie nikłe, aby trzeba było rozwodzić się nad nimi szerzej.

Już wstępne zwrotki Kuśniewicz śpiewa nie swoim głosem. ,,Na księżycu siadł okrakiem czart i wył w nocy jak pies na uwięzi...'', ,,gdy buntownik, nadziany na pal, w noc i pustkę krakał jak gawron...''. Nieboszczyk Bruno Jasieński kłania się w tym miejscu obywatelowi Kuśniewiczowi czerwoną baranicą Jakuba Szeli. Kiedy indziej tenże kiwa ,,butem w butonierce''. Majakowskij i Tuwim również mogliby się upomnieć o swoje.

Metaforyka Kuśniewicza jest przeważnie wysilona, choć zdarzają się obrazy świeże i oryginalne. Rytm zbyt często rozlewa się w kałużę prozy, przetykanej niedbałymi rymami i asonansami. Oto jeden z typowych przykładów:

Zmora na piersi siadła,
gniecie.

Odetchnąć dajcie,
czekajcie, chwileczkę.
Wczoraj — wiecie —
marszałek Piłsudski,
senator Mudry,
ksiądz Ilkow...
Duszę się.

Zdarza się Kuśniewiczowi mimowolna parodia własnego i obcych stylów. Tym gorsza, że śmiertelnie poważna.

Zwiedziały się chłopy z bliska,
pokłoniły panu nisko.

Dmytro w rękaw nosa utarł
i wyciągnął forsę z buta.

— — — — — — — — — — — — —

Utworzymy kadrę karną,
pęknie chłopska solidarność.

I dalej w tym samym sensie przez trzy, pięć, sześć stron, zanim trafi się szczęśliwy obraz, udana metafora, zanim zadrży liryczne wzruszenie. Kuśniewicz nie czuje wagi i barwy słów i prawie zawsze psuje nawet najlepsze momenty. Mówiąc o katastrofie wrześniowej, rzuca na papier dobre dwa wiersze : ,,Z trzaskiem od polskiego kontusza odpruł się ukraiński rękaw...'' — aby natychmiast dodać ,,A piszcie do nas na Berdyczów'' i popsuć całkowicie strofę. W sumie — zły, nieudany poemat, pisany na kolanie, puszczony, choć niektóre fragmenty wskazują, że przy większej kontroli i krytycyzmie autor mógłby się wybić ponad przeciętny poziom wierszowanej produkcji krajowej. Ale czy nie za późno, Andrzejku ?

Czytelnicy zechcą mi wybaczyć tę familiarność. Jak się powiedziało, znaliśmy się kiedyś dość dobrze, a ślady tej niegdysiejszej znajomości znalazłem w ,,Słowach o nienawiści''. Recenzent ,,Życia Literackiego'' spostrzegł, że cytat ze Słowackiego we wstępie do poematu jest podany w mylnej formie : ,,Oj, powiedział ja tobie, panie regimentarz...'', zamiast ,,Oj, powiedział ja tobie, mości panie Gruszczyński...''. Otóż muszę wziąć na siebie tę winę. W ,,Krypcie na Wawelu'' celowo zmieniłem cytat, stosując go do Piłsudskiego, a obywatel Kuśniewicz nie raczył sprawdzić u źródła i powtórzył, jak za panem Łobodowskim pacierz. To bardzo niełradnie, Andrzejku, ulegać wpływom emigracyjnych reakcjonistów. Parodiowanie mojej ,,Złotej Hramoty'' też mi do gustu nie przypadło. Żeby chociaż była to parodia świadoma !

III

Całość podzielona jest na pięć części, poprzedzonych prologiem i zakończonych epilogiem. ,,Semper fidelis'' to paszkwilancki opis walk o Lwów; ,,Noc'' daje karykaturę życia we Lwowie międzywojnia, ze sceną tortur w więzieniu jako głównym motywew; ,,Dniestr'' to dwie miłosne historie, bardzo luźnie wkomponowane w poemat i najsilniej podległe wpływowi Jasieńskiego; ,,Polska ziemia'' — to konflikt agrarny i słynna pacyfikacja, — i wreszcie ,,Ukraiński rękaw'', opiewający wrzesień 1939-go roku, który przyniósł ,,młode wino ukraińskiej swobody''.

Tak więc książka Kuśniewicza stanowi swoisty przegląd szeregu wydarzeń w stosunkach polsko-ukraińskich na przestrzeni dwudziestu lat. Ewokacje, liryczne wstawki, patetyczne filipiki łączą poszczególne człony całości. A wszystko pomyślane jako rachunek sumienia.

Całe zagadnienie sprowadza się dla Kuśniewicza do konfliktu społecznego. Z jednej strony polski pan, wyzyskiwacz, mający do swej dyspozycji policję i wojsko; z drugiej — ciemny chłop ukraiński, opanowany przez słuszną nienawiść i żądzę zemsty, a jednocześnie oszukiwany przez nacjonalistycznych przywódców, reprezentowanych głównie przez kler, z metropolitą Szeptyckim na czele. To wszystko. Słuszne racje chłopskie osiągną zwycięstwo, gdy ,,panowie'' uciekną przez zaleszczycki most. Wkroczenie ,,wyzwolicielskiej'' armii sowieckiej Kuśniewicz dyskretnie pomija. Tyle tylko, że ,,kwiaty na bramach powitalnych'' i ,,młode wino ukraińskiej swobody''... I jeszcze: ,,Bandera zaciąga warty w zbójecki wilczy trop''. A na samo zakończenie optymistyczny, radosny wydźwięk: ,,Patrz, siostro-Ukraino, czas nienawiści minął, ziemia porasta szczęściem, jak młodą oziminą...''

W zamierzeniu utwór jest historiozoficzny. Zaczyna się od roku niepodległości. Wygląda to w kuśniewiczowskiej interpretacji następująco:

Ponieważ ,,diabli wzięli Petersburg i Wiedeń'', trzeba włożyć ,,polskie rabaty''. ,,Odłożyć na bok frencz junkiersko-carskosielski i cesarsko-królewski waffenrok''... i ,,zapiąć amaranty pod szyję...'' Walka o Lwów okraszona pogromami Żydów, przeprowadzona została w imię klasowych interesów obszarników i burżujów. Pierwszy rozdział, zatytułowany ,,Semper fidelis'', kończy się zgodnie z takim założeniem typowym chwytem z bolszewickiej ulotki:

Przesiedział w piwnicy, jak mysz,
teraz wylazł: kamienica stoi.
,,Będzie posag dla córeczki,
będzie czynsz''.
— Cześć orlętom w ich wieczystym spokoju!

Teraz następuje pakt między burżuazją polską i ukraińską, zwrócony przeciw chłopom. Metropolita Szeptycki, którego autor z nieukrywaną nienawiścią nazywa Szepietuchem, idzie na pasku trzech sprzymierzeńców : Berlina, Watykanu i polskiej dwójki, opłacanych — jakżeby inaczej ? — w dolarach. Na wszystko pada złowrogi cień Piłsudskiego. Dokładnie jak w propagandowych sowieckich broszurkach. Widocznie, Kuśniewicz ma jakieś zastarzałe urazy z czasów swego urzędowania w polskim konsulacie w Huszcie, a później w Użhorodzie, bo ni stąd ni zowąd wplątuje w tym miejscu kapitana Niezbrzyckiego, który nie miał wówczas nawet dwudziestu lat i, rzecz prosta, żadnej politycznej roli nie odgrywał. Czy to nie odezwał się w Kuśniewiczu właśnie jakiś uraz, związany z późniejszą karierą urzędniczą? Bo przecież pracował w Huszcie i Użhorodzie, a wiadomo z kim utrzymywały kontakt placówki konsularne na Ukrainie Zakarpackiej...

Autor brnie w fałszerstwa coraz głębiej. Wymownie opisuje wyrzuty sumienia u metropolity Szeptyckiego.

— A mówiłem, przestrzegałem, marszałku,
polski marszałku, kto skorzysta?
Komuśmy młodzież wydali?
Naszą młodzież? — Na łup komunistów!
Czy nie słyszysz idącej burzy?

Ergo, Szeptycki bał się rewolucji komunistycznej, zorganizowanej przez młodzież ukraińską. Proszę, co za rewelacja! Danyłyszyn i Biłas byli zapewne agentami Kompartii... Gdy więc zaraz potem przychodzi sadystyczny opis tortur, zadawanych we lwowskich Brygidkach Oldze Basarabowej, niezorientowany w tych sprawach czytelnik jest przekonany, że chodzi o działaczkę komunistyczną. Podobnie w dalszych rozdziałach. Pacyfikacja przedstawiona jest jako represja przeciw chłopom, domagającym się ziemi. O podziemiu nacjonalistycznym ani słowa. Hucuł Seńko wybiera się do Hiszpanii, aby tam zaciągnąć się do brygady Listera, i spotyka się z podhalańskim góralem, Mocarnym z Murzasichla. W walce o wspólną sprawę następuje polsko-ukraińskie pojednanie.

Jak zajrzeli sobie w ślepia —
z nagła zatańczyli
krzesanego z kołomyjką
w gwiaździstej Kastylii.

I tu dopiero zaczyna się polityczny surrealizm. Dziewczęta ukraińskie noszą chusty ,,w kwiaty jak motyle'', tkane przez czarną Inez z Aragonu. Że niby parobcy, bijący się nad Ebro za wolność (czyją? Ukrainy?), przysyłają im te chusty w podarku. Bo — uważajcie, uważajcie — młodzież naddniestrzańska hurmem wali ,,przez pantyrską przełęcz'' do... Hiszpanii. Były urzędnik polskiego konsulatu w Huszcie istotnie widział tę mło-

dzież, uciekającą przez Czarnohorę, ale do szeregów Siczy Zakarpackiej. Obecny urzędnik rozgłośni radiowej ,,Kraj'' kazał tej samej młodzieży iść nieco dalej, bo aż do Brygad międzynarodowych w Hiszpanii. Takie oto propagandowe fantazjotwórstwo nazywa się realizmem socjalistycznym.

Po takim popisie już nas nie dziwią inne bzdury. Czegóż w tej baśni z ponurych nocy marksistowskich nie znajdziemy! Brodaci kupcy wiozą Wisłą zboże, ,,odziani w lśniące brokaty ze złota''. Tatar ,,czerpie dniestrową wodę kolczastym hełmem Waregów...'', a ,,czarnomorski wiatr leci'' nie tylko ,,od fontan Bachczyseraju i chmurnego (sic!) Pontu Euksynu'', ale i od... Acherontu. Jeśli już komuś Huszt i Sewliusz pomyliły się z Saragossą i Teruelem, a Sicz Zakarpacka z brygadą Listera, nic dziwnego, że Hellespont zamienił się w Acheront.

Zresztą Kuśniewicz dba o stworzenie pozorów autentyczności przedstawianego środowiska. Stara się to osiągnąć przez ciągłe wplatanie w tekst słów, a nawet całych zwrotów ukraińskich. Nawet gdy na czele jednego z fragmentów kładzie motto z Gogola, daje tekst rosyjski w ukraińskiej transkrypcji. Dlaczego w takim razie Gogol, zamiast Hohol, pozostaje tajemnicą dziwacznej niekonsekwencji autora. W cytatach, jak przystało na socrealistę, polski groch z ukraińską kapustą: popadia przemawia do kochanka językiem, stylizowanym na ukraińszczyznę, aby nagle westchnąć z mazurska: ,,Co se mam żałować!'' Taki z Kuśniewicza filolog, jak socjolog i historiozof. Co se ma żałować!

IV

Jak już wynika z przedstawionego materiału, konflikt narodowy jest w ujęciu autora wyłącznie funkcją walki społecznej. Straszne opowiadanie dla komunistycznej dziatwy pod tytułem ,,Jak mały marksistowski Moryc wyobraża sobie spór polsko-ukraiński...'' A wyobraża sobie bardzo prosto.

Przede wszystkim trzeba wszystko sprowadzić do wspólnego mianownika. Skoro wiadomo, że na Polesiu i Podkarpaciu była bieda, to dlaczego nie miało jej być na żyznym Podolu? Więc podolskie dzieci ,,płaczą w chatach zmarznięte'', a chłop ,,zapałkę na czworo dzieli''. Skoro była religijna ,,rewindykacja'' na Wołyniu i Chełmszczyźnie, dlaczego jej nie rozszerzyć na Lwów i Tarnopol? Więc ,,pan wojewoda zbliża chłopów do papieskiego nieba''. Unickich chłopów?

Sytuacja społeczna? Posłuchajmy małego Moryca. Polski dziedzic ,,zdyskontował ukraiński czek'' w sojuszu z metropolitą Szeptyckim. Kler, oczywista, po stronie dziedzica. Spokoju pilnują ,,poznańscy ułani'', a na co dzień rządzi apokaliptyczna trójka: ,,pan uczytel, pan żandar i pan financ''. Dziedzic szczuje dziewczęta psami i bije szpicrutą, księża grecko-katoliccy mają brzuchy ,,zwisające na kolana'', a za pogrzeb każą sobie płacić

miarą pszenicy". Nauczyciel jest tańszy, zgadza się, żeby dzieci nie przychodziły do szkoły za osełkę masła i tuzin jaj. ,,Pan financ" odkłada termin podatku, jeśli chłopska ,,dońka pójdzie z nim na siano". Policjant ,,pod brodą rzemień ma... szczęka mu drga...".

Więc gdy czytelnik dowiaduje się, że już wzbiera ludowy bunt, że ,,po chatach łażą wygadane studenty z miasta", znowu gotów uwierzyć w przygotowującą się czerwoną rewolucję. Te ,,wygadane studenty" to zapewne koledzy Seńka, co uciekł bić się za ludową Hiszpanię... Tym bardziej, że ,,tryzub mocno w garści trzyma polityk i pop", a obydwaj są w zmowie w polskimi dziedzicami. Z jednej strony chłopska nędza, z drugiej — ,,czterdzieści folwarków grafa Baworowskiego". Linia konfliktu wyraźnie zaznaczona. Proste, jasne, nieskomplikowane. Cała zawiła problematyka narodowa w ogóle nie istnieje. Ukraiński chłop ma za mało ziemi, polski dziedzic jej nie daje. Kropka!

A jednak bardziej wymagający krytyk marksistowski musiałby dać Kuśniewiczowi po łapach i postawić go do kąta. Pierwszy zarzut: skrajna wulgaryzacja. Marksizm z prawdziwego zdarzenia interpretuje zjawisko nacjonalizmu po swojemu, ale zauważa jego istnienie i stara się je jakoś ustawić. Gdy Julian Bronowicz pisał o Żeromskim, w swej analizie wziął pod uwagę to wszystko, co w żargonie komunistycznym określa się, jako ,,obciążenia narodowe", a nie tylko klasowe. Ujmowanie konfliktu polsko-ukraińskiego w przekroju wyłącznie społecznym stanowi przykład najbardziej prymitywnej wulgaryzacji, nawet ze stanowiska konsekwentnego marksisty.

Drugi zasadniczy zarzut: nietypowość. Taki Igor Newerly również posyła bohatera swojej ,,Pamiątki z Celulozy" do Hiszpanii, ale przedtem każe mu przejść przez odpowiednie przeszkolenie komunistyczne. W chwili powzięcia decyzji Szczęsny ma już za sobą poważny staż partyjny. To, co u polskiego robotnika byłoby nieprawdopodobne w innym wypadku, w tym układzie staje się najzupełniej logiczne. Natomiast tatrzański góral i Hucuł, spotykający się w ,,gwiaździstej Kastylii" — to zwykła bzdura. Dialektyka materialistyczna nie znosi wyjątkowości, bo ta jest nieprawidłowa. Tym bardziej wyjątkowości antyrealistycznej, papierowej.

Dorzućmy schematyzm, a na konto Kuśniewicza spośród marksistowskich grzechów głównych zapiszemy co najmniej t r z y . Bardzo się wam, towarzyszu, ta książeczka nie udała. Trzeba by przejść przedtem przez solidniejsze przeszkolenie ideowe. Interpretować historię dialektycznie — to nie takie proste.

V

Od razu przy lekturze pierwszych kartek zastanowiło mnie, że ,,Słowa o nienawiści" napisane są z niewątpliwą pasją. Myślę, że trzeba nad Kuśniewiczem pochylić się na chwilę. Moż

jednak znajdziemy jakieś wspólne cechy, jakiś wspólny mianownik dla wielu innych, takichże nieszczęsnych inteligentów, w których jeszcze przed kilkunastu laty nikt nie wykryłby najmniejszych skłonności do komunizmu. Może właśnie w tym wypadku znajdziemy jakąś prawidłowość w rozwoju, czy nawet typowość... Jakaż jest prawdziwa twarz inteligenckiego Doriana Gray'a?

Poznałem Kuśniewicza przy końcu roku 1940-go. Był wtedy urzędnikiem konsulatu polskiego w Tuluzie, zwanego po klęsce Francji ,,office'm''. Wraz z nim była jego żona, Maria Ukniewska, autorka znanej powieści ,,Strachy''. Nasz bohater interesował się literaturą i sztuką, a wobec spraw politycznych i społecznych zachowywał spory dystans. Małego wzrostu, szczupły, zawsze nienagannie ubrany, z kapelusikiem przekrzywionym filuternie na bakier i czarną parasolką, zawieszoną na ramieniu, dyskretny, dobrze wychowany, o wzorowych manierach towarzyskich... Nazywaliśmy go w gronie znajomych ,,Wróbelkiem'', co dziwnie pasowało i do całej postaci i do długiego nosa, sterczącego spod sztywnego ronda kapelusza. Znał się na kuchni, a jeszcze bardziej na piwniczce i kobietach. Co reprezentował politycznie? Kulturalny polski liberał, w miarę sceptyk (w miarę, żeby nie urażać entuzjastów), z przyzwyczajenia równie umiarkowany zwolennik Piłsudskiego.

Swoje obowiązki urzędnicze traktował z łagodnym cynizmem. Tuluzański ,,office'' nie miał nawału pracy, ale stale natrafiał na skomplikowane sprawy i zagadnienia. Wielu obywateli polskich znajdowało się w więzieniach, znacznie więcej w obozach. Komplikował się problem obozów żołnierskich. Rodziny zaginionych zasypywały urząd listami.

Rutyna konsularnych urzędników okazywała się w tej sytuacji bezradna. Nie umiano dostosować się do wyjątkowości wydarzeń. Byli przecież ludzie dobrej woli, którzy wyłazili ze skóry, by jakoś temu sprostać. ,,Wróbelek'' reagował na wszystko z pobłażliwym uśmiechem sceptyka.

Kwestię ukraińską naturalnie znał już choćby z racji poprzednich obowiązków służbowych. Jak powiedziałem, ostatni okres przed wojną spędził na Zakarpaciu. Opowiadał mi o oporze, stawianym przez Siczowców oddziałom węgierskim, gdy w silnej zawiei śnieżnej stacja kolejowa w Huszcie kilkakrotnie przechodziła z rąk do rąk. Pokazywał zdjęcia. Niektóre z nich, niezwykle patetyczne, na zawsze utkwiły mi w pamięci. Ale sprawy polsko-ukraińskie zajmowały go niewiele. Ot, kawałek biurowy, jaki trzeba było w swoim czasie odrobić. Ten sam zimny dystans, co w stosunku do innych zagadnień, ten sam łagodny sceptycyzm. Możliwość powstania niepodległej Ukrainy kategorycznie odrzucał, ale znowu nie było w tym ani niechęci, ani gwałtowności. Raczej niewiara i pobłażliwa wyrozumiałość.

Jak widzimy, wizerunek, niezmiernie daleko odbiegający od zawziętej, gniewnej twarzy, która prześwieca przez kartki omawianej książeczki. Dystans czasu niewiele tu wyjaśnia. Przyczyny tej gwałtownej przemiany znajdują się gdzie indziej.

W roku 1943 Kuśniewicz wraz z innymi urzędnikami office'u został aresztowany przez Gestapo. Przeszedł śledztwo, więzienie i normalnym trybem zawędrował do obozu koncentracyjnego. Uratował się dzięki temu, że go zgodnym wysiłkiem towarzyszy niedoli ulokowano w biurze obozowem jako „szrajbera''. I tu się zaczęło.

Spotkałem się z nim po raz ostatni w Tuluzie, w czerwcu 1945 roku. Wynędzniały, zgaszony, skarżący się na bóle w krzyżu — pamiątka po kolbie SS-mana — zaskoczył mnie swoim zdecydowanie wrogim stosunkiem do Polski przedwojennej. Bredził coś o burżuazji i piłsudczykowskim imperializmie, wyraźnie dając do zrozumienia, że jego osobiste krzywdy, wyrządzone przez Niemców, to prosta konsekwencja systemu przedwrześniowego. Gubiłem się w mętliku jego argumentów, aż wszystko nagle wyjaśniło się.

„Wróbelek'' opowiedział mi przy winie, że w obozie zetknął się z licznymi sowieckimi Rosjanami. Niektórym z nich oddał poważne usługi. Gdy po ogarnięciu kolumny więźniów maszerujących po szosach Austrii, przez czołgi amerykańskie kilku Polaków przypomniało sobie, że Kuśniewicz był szrajberem, i chciało go pobić, owi Rosjanie wystąpili w obronie „wróbelka''.

— To wspaniali ludzie — mówił matowym, monotonnym głosem. — Jeden z nich, inżynier, zapraszał mnie do siebie, w Nadamurski Kraj. Oni tam nadzwyczajne rzeczy budują.

Żadne racje nie pomagały. Złość do Polski przedwojennej, której klęska wepchnęła go w obozowy pasiak, bóle spowodowane ciosem essmańskiej kolby, wdzięczność do Rosjan, że go wybronili w krytycznej chwili, opowiadanie sowieckiego inżyniera o cudach budownictwa nad dalekim Amurem — wszystko to pomieszało się w biednej główinie sponiewieranego inteligenta w dziwny cocktail, na którego powierzchnię ciągle wypływała gorzka oliwa osobistych pretensyj.

Gdy w kilka tygodni później nastąpiło uznanie „rządu ludowego'', Kuśniewicz był jednym z pierwszych, którzy zgłosili się do współpracy. W obozie niepodległościowym zaklasyfikowano go bez trudu : — Karierowicz ! Okoliczność, że szybko posuwał się po szczeblach tej kariery i wkrótce został konsulem we Francji, zdawała się potwierdzać tę lakoniczną opinię. I przy tym na nowym stanowisku odznaczał się wyjątkową gorliwością.

Myślę jednak, że to potępiające wyjaśnienie niczego nie załatwia. Zapewne, po ciężkich przejściach obozowych „Wróbelek'' dążył do trwałego urządzenia własnej egzystencji, ale w jego świadomości chyba nie to było najważniejsze. Obywateli konsul otrzymał satysfakcję za lata poniewierki, a przede wszystkim za zawalenie się tego liberalnego świata, do którego się przyzwyczaił, w który wierzył, w którym było mu dobrze. Groźne burze hartują jednych, drugich — rozbijają na miałki piach. Gdy łagodnie sceptycznego pana wyłuskano z zaprasowanego ubranka

okazało się, że w środku siedział mięczak, bez żadnej światopoglądowej skorupki. Przyssał się więc jak najmocniej do burty potężnego okrętu ,,zwycięskiej rewolucji''.

Stąd ten gwałtowny i bardzo ,,inteligencki'' kompleks nienawiści do wszystkiego, co było dawnym życiem, dawnym środowiskiem społecznym, dawnym naskórkowym światopoczuciem. Kompleks ten właśnie dlatego wyładował się z największą siłą na styku spraw polskich i ukraińskich, że to na nim pracował przedwojenny urzędnik Rzeczpospolitej, pan Andrzej Kuśniewicz. Dialektyka osobistych losów autora ,,Słów o nienawiści'' nie pozostawia najmniejszych wątpliwości.

VI

Cóż pozostaje do powiedzenia? Chyba tylko pokwitować końcowe strofy tej książki, która w zamierzeniu autora miała stać się zamknięciem polsko-ukraińskiego konfliktu, a w równej mierze znieważa i Polskę i Ukrainę.

...wciąż rośnie w górę
ciasta przyszłości zaczyn,
czas, kiedy powiemy: ,,Człowiek'',
a pomyślimy: ,,Bracie''.

Czas, kiedy słowo Bereza
już tylko brzozę znaczy...

Ot, sielanka! Nie ma obozów, nie ma więzień. Ale czymże była Bereza Kartuska, której zresztą nikt nie zamierza bronić, w zestawieniu z sowieckimi katowniami, miejscami śmierci zarówno Polaków jak Ukraińców? Kuśniewicz wie o tym bardzo dobrze, jak wiedzą inni, wystraszeni, byli inteligenci tegoż pokroju. A jednak rzuca humorystyczną, ni to groźbę, ni to zapowiedź:

Gdyby jeszcze do gardła świat
wilkiem skoczył, to ramię w ramię
z tobą, siostro, twój polski brat
w dłoń pochwyci mocno karabin.

Wymowa tej strofy jest jasna. Że niby w obronie ,,socjalizmu'' Polska i Ukraina spotkają się w tym samym szeregu. Nie wiemy, jak potoczą się losy skłóconych od wieków narodów. To pewne przecież, że jeśli spotkają się, jak mówi Kuśniewicz, ,,ramię w ramię'', lufy ich karabinów wymierzone będą przeciw nieludzkiej tyranii morderców ludzi i ludów, śmiertelnych wrogów i Ukrainy i Polski.

Józef ŁOBODOWSKI

Wspomnienia Jana Skotnickiego

Na czym polega popularność i poczytność wspomnień i pamiętników? Chyba na ich sprawdzalnej autentyczności. Wiemy, jak łatwo i chętnie mitologizuje się naszą historię, jak się ją *ad usu delphini* przeinacza, przerabia, fałszuje. W tych warunkach owe wspominki, pamiętniki, autobiografie grają rolę lakmusowego papierka, pod którego wpływem rozróżniamy kwasy, zasady i pospolite łgarstwa.

Ostatnio, chwała Bogu, na kopy liczyć możemy tego rodzaju publikacje. Albowiem zamykają one bilans jednej epoki przy wkraczaniu w następną, obecną.

Mamy więc przed sobą pamiętniki mężów stanu (Beck, Szembek), polityków (Jan Bobrzyński), aktorów (Modrzejewska, Solski, Krzesiński), literatów (Słonimski, Wroczyński), ba: nawet lekarzy Pogotowia (Dr Fedorowski) — gawędy miłe, ale z piekielnymi błędami.

Tym razem zatrzymamy uwagę na wspomnieniach długoletniego szefa naszej kultury i sztuki, dyrektora departamentu tego resortu, Jana Skotnickiego (*).

Obchodziliśmy niedawno w Warszawie pięćdziesięciolecie jego twórczości artystycznej, połączonej z wystawą zbiorową dzieł malarskich Skotnickiego.

W ciągu dziesięciu lat kierował on resortem kultury i sztuki, poniósł w tej dziedzinie ogromne zasługi, winniśmy mu uznanie i wdzięczność.

Autor liczy sobie dziś jak obszył lat 82. Piękny wiek, a biorąc pod uwagę te burze i gradobicia, jakieśmy w tym czasie przeszli, był Jan Skotnicki świadkiem zdarzeń niezwykłych i pasjonujących.

Skotnicki dużo widział i dużo nam może opowiedzieć.

Może nam opowiedzieć o owym ministrze-idiocie, który wizytując parafię, wyrwał z rąk biskupa kropidło i święconą wodą oblewał biskupów, prałatów i wiernych.

Może nam opisać artystę-chłopka, który własnoręcznie budował pomnik „Ducha polskiego", aż mu izby zabrakło, dach rozbierał, aby móc budować pomnik wzwyż. Był to majster spod Kozienic nazwiskiem Flak.

Kiedy się pomyśli, że Skotnicki brał udział w organizowaniu „Zielonego Balonika", że osobiście znał Wyspiańskiego, Mehoffera, Malczewskiego, Wyczółkowskiego, Przybyszewskiego, Stanisławskiego — wtedy dopiero widzi się ten szmat drogi, jaką przebył w swoim życiu artysta.

Wyspiańskiego uwielbia. Za to suchej nitki nie zostawia na jego żonie, stale ją nazywając „straszna baba". Ta straszna baba, która wkrótce po śmierci pierwszego wielkiego męża wyszła za mąż za jakiegoś zdrowe[go] i młodego parobka, ośmieliła się wystąpić z prośbą o państwową emeryturę. Spotkała się ze zdecydowanym sprzeciwem ówczesnego dyrektora Departamentu Sztuki, Jana Skotnickiego.

(*) Jan Skotnicki: *Przy sztalugach i przy biurku* (Wspomnienia). Państwowy Instytut Wydawniczy 1957.

Obala Skotnicki mit i legendę świetnego pejzażysty, Jana Stanisław-kiego, którego w tak pięknym świetle przedstawił nam w swoim *Znasz-li en kraj* Boy-Żeleński. Wedle Skotnickiego Stanisławski to był demagog, przed którym trząsł się cały Kraków w obawie przed jego pięścią, kijem, krzykiem, przewagą fizyczną.

Wszyscy go się bali jak ognia. Skotnicki nazywa Stanisławskiego „roz-dętą krakowską wielkością". Zarzuca mu kiepską znajomość rzemiosła ma-larskiego, lenistwo, ociężałość.

Sprawcą śmierci Dagny Przybyszewskiej nie był żaden Eryk, ale Eme-yk (str. 71). Wśród samobójców zapomniał Skotnicki wymienić brata Boya.

Charakterystyka księdza Pawlickiego, snoba, smakosza, sybaryty — doskonała. Szczególniej ten szczegół, kiedy to ksiądz prałat zastanawiał się, czy nad łożem zakonnym w celi zmartwychwstańców zawiesić reprodukcję Wenus Milońskiej, czy Madonny Drezdeńskiej. I kiedy mówiąc o Leonar-dzie da Vinci pomylił się a wymieniając jego Wieczerzę Pańską miał się wyrazić „Kolacja Pańska". Na temat *Wesela* Wyspiańskiego cała fura wiadomości autentycznych, ile że Skotnicki brał udział w słynnym weselisku bronowickim. Ostatnio rozpaczliwe listy córki Lucjana Rydla dają powód do polemiki: czy rzeczywiście był Rydel tylko snobującym się na chłopa in-teligentem krakowskim czy też chłopem całą gębą. Skotnicki wielbi Włodzi-mierza Tetmajera, a ośmiesza Rydla. Czas pokaże, kto ma słuszność, a kto się w tej mierze myli.

Na temat Paderewskiego, biorąc pod uwagę nowsze czasy, znajdujemy u Skotnickiego, moc materiału anegdotycznego. Więc przeed wszystkim laska mistrza, bez której Padewski na krok się nie ruszył, w niej upatrując źródło i sedno wspaniałego swojego talentu.

Pełne szczerego zachwytu uwielbienia kreśli Skotnicki charakteryzu-jąc postać znakomitetu artysty-malarza i jeszcze znakomitszego działacza społecznego Alberta Chmielowskiego. Znał wszystkich, Prusa, Żeromskiego, Kasprowicza, Karłowicza, Chełmońskiego.

Są tam zabawne szczegóły. Na przykład taki, jak to zrozpaczony puł-kownik Minkiewicz, w czasie oblężenia Warszawy w roku 1920, wpadł na pomysł zwerbowania do pomocy wojsku pospolitych rzezimieszków, odsia-dujących kary w więzieniu na Dzielnej. Przemówił do ich uczuć patrioty-cznych, rozdał im broń. Złodziejaszki, kajdaniarze pilnowali w mieście ładu i porządku. Po spełnieniu swoich funkcji broń zwrócili i spokojnie udali się do kryminału na dalszą odsiadkę.

Tak to o mały włos nie stali się rzezimieszki warszawskie bohaterami na-rodowymi.

Skotnicki pisze swoje wspomnienia szczerze. Charakteryzuje ludzi nie-raz bardzo jadowicie. Ma on swoje sympatie i swoje antypatie. Przepada za Tetmajerem, a niecierpi Rydla. W ciepłych barwach maluje nam syl-wetkę Jacka Malczewskiego. Ośmiesza z kretesem słynnego Miriama (Zenona Przesmyckiego) i przypomina jego dekret z czasów, kiedy Miriam był ministrem od Sztuki. Otóż w dekrecie tym mowa była o zakazie obsadzenia dróg polnych w Sieradzkiem drzewami owocowymi z tej racji, że nie odpowiadają one charakterowi polskiego krajobrazu. Za dopuszczalne uznano tylko rosochate wierzby.

Fałat jako dyrektor Departamentu Sztuki to figura z nieprawdziwego zdarzenia.

Bardzo szczegółowo omawia Skotnicki zabójstwo prezydenta Naruto-wicza, gdyż w dramatycznej tej scenie stał tuż obok prezydenta. Heca z ka-retką pogotowia jest wprost rozbrajająca. Nieco inaczej sprawę karetki oma-wia Dr Fedorowski w książce swej *Dziadek z placu Napoleona*. Nie ma chy-ba racji pisząc o telefonie prezesa Rady Ministrów, bo premier Nowak dzwiał pierwszy z Zachęty, jak wynika z relacji Skotnickiego. Notuje za to

inny szczegół kiedy na natarczywe pytanie przez telefon o nazwisko, dyżurny lekarz Pogotowia odparł: „Niewiadomski". A więc dziwnym zbiegiem okoliczności i zabójca prezydenta i lekarz Pogotowia to samo nosili nazwisko.

Sylwetki Piłsudskiego, Dmowskiego, Wojciechowskiego, Bartla ze świata politycznego, spotkania i rozmowy z Paderewskim i z innymi znakomitościami ówczesnymi, zabiegi o wystawienie pomnika Mickiewicza dłuta Bourdelle'a na placu d'Alma w Paryżu, sprowadzenie muzeum Rapperswilskiego do Warszawy — trudno wymienić wszystkie ciekawsze partie wspomnień Skotnickiego.

Autor dyskretnie przemilcza swoje sprawy osobiste, nie narzuca się nam z nimi. Skromnie także wspomina o całej swojej twórczości malarskiej, raz czy dwa razy tylko cytując głosy krytyki artystycznej. Ilustracje własne autora, wyobrażające postaci o których mowa, stanowią przyjemną ozdobę książki.

Eugeniusz SZERMENTOWSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

MOSTWIN (Danuta). *Dom starej lady.* Powieść. Str. 235. Tom XXXIX Serii Czerwonej „Biblioteki Polskiej". (Nakł. Katolickiego Ośr. Wyd. „Veritas", Londyn, 1958, cena 15 sh.).

CEGIEŁKA (Francis A., S.A.C., S.T.D. *Life on Rocks.* Among the Natives of the Union of South Africa. Str. 188. (Wyd. Pallotinum, North Tonawanda, N.Y., USA, Cena dol. 3,—).

Zatrudnienie i rozwój gospodarczy. Wybór rozpraw. Opracował Adam RUDZKI. Str. 321. (Wyd. Fundacja Kościuszkowska, Nowy Jork, 1958.

LERSKI (Jerzy Jan). *A Polish Chapter in Jacksonian America.* The United States and the Polish Exiles of 1831. Str. 242. Z serii Fundacji Kościuszkowskiej „Tysiąclecie Polski". (Wyd. The University of Wisconsin Press, Madison, USA, 1958, cena dol. 5, —).

ŁOBODOWSKI (Józef). *W stanicy.* Powieść. Str. 379. (Wyd. Gryf Publications, Ltd., Londyn, 1958).

LIS-KOZŁOWSKI (Stanisław). *Skarby Wawelskie.* Czy społeczność emigracyjna ma możność przyczynić się do ich uratowania. Str. 24. Odbitka z Nr 55, 6, 7, 8 w r. 1958 Tygodnika „Kurier Polski". (Buenos Aires, 1958).

PANKOWSKI (M.). *Dix ans de poèsie polonaise* (1945-1955). Une tentative de littérature dirigée. Str. 357-390. Odbitka z „L'Annuaire de l'Institut de Philologie et d'Histoire Orientales et Slaves. Tome XIV (1954-57). Volume commémoratif du XXV-e anniversaire de l'Institut. Bruxelles, 1957).

WĘGRZYŃSKA - KOŚCIAŁKOWSKA (Janina). *Kapliczka przydrożna.* Zapiski wrześniowe. Str. 25. (Nakł. Koła Księży Kapelanów w USA. Tłoczono w Oficynie Poetów i Malarzy, Londyn, 1958).

GĄSIOROWSKI (Zygmunt J.). *A note on Louis L. Gerson's „Woodrow Wilson and the Rebirth of Poland,* 1914-1920". Str. 89-94. Odbitka z „The Polish Review".

Listy do Redakcji

Paryż, w październiku 1958.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pisząc (w związku z książką F. Friedmana) o Polakach, którzy nieśli Żydom czynną pomoc w latach hitlerowskiej okupacji, pani Maria Czapska przypomina (,Kultura", nr. 6/128) wypowiedź prof. Stefanii Skwarczyńskiej sprzed lat dwunastu : ,,*Słowo o prawdzie staje się obowiązkiem. Ale czyim? Myślę, że nie tych, którzy wtedy, w każdej chwili dawali życie za brata swego* (tj. Polaków, pomagających Żydom), *ale że jest to obowiązkiem tego brata*" (tj. Żydów). Oraz swój własny głos, dołączony wtedy do owego wezwania : ,,*Jeśli milczą ci, którzy powinni mówić* (tj. Żydzi), *niech mówią ci, którzy powinni milczeć*".

Postawa i chlubna działalność pani Marii Czapskiej stawiają ją wśród osób, posiadających najutentyczniejsze prawo moralne do zabierania głosu w tej sprawie. Lękam się jednak, że obecne przypomnienie tych właśnie cytatów sprzed lat dwunastu czytelnik, (i to może wbrew najlepszym intencjom sz. Autorki), bardzo łatwo może wziąć za twierdzenie, jakoby Żydzi nie bardzo się kwapili do świadczenia o owym fragmencie okupacyjnej prawdy, albo nawet jakoby świadomie go przemilczali. I, że (dopiero po latach dwunastu czy trzynastu !) wreszcie się jakieś jedno żydowskie sumienie poruszyło i odezwało, mianowicie w osobie autora świeżo wydanej książki. U czytelnika wrażenie to będzie tym silniejsze, że (w artykule na ten sam temat, zamieszczonym w tym samym numerze ,,Kultury") również p. J. Lichten (i również w najlepszym niechybnie zamiarze) posłużył się przesłankami bardzo podobnymi : — Skarżyli się, mówi on, polscy publicyści, że Żydzi itd., ale oto ta świeżo wydana książka naprawia krzywdę. Innymi słowy: drogi prawdy są powolne, lecz koniec końcem jakiś jeden sprawiedliwy się przecież znajdzie.

Podobne zarzuty zdarzało mi się zresztą w istocie słyszeć (i czytać !) od dawna. Gdy zadawałem w takich razach pytanie, na czym rozmówca opiera swoje twierdzenie, zaczynały się jednak ogólniki i sakramentalne ,,przecież to wiadomo", lub nawet ,,to przecież notoryczne".

Będąc w ciągu całych ubiegłych lat czternastu (a w gruncie — dużo dłużej, bo może wolno mi tutaj liczyć również lata samej okupacji) dosyć blisko związany ze sprawą świadczenia o prawdzie tamtej epoki, sądzę, że chodzi o grubą pomyłkę lub co najmniej — o niedowidzenie. Czy jednak ze strony Żydów ?

Od chwili załamania się hitlerowskiej okupacji w Polsce, do chwili mego wyjazdu za granicę (w r. 1947), byłem dyrektorem Wojewódzkiej

Żyd. Komisji Historycznej w Krakowie i wicedyrektorem Centralnej Żyd. Komisji Hist. w Polsce. W ciągu tych niespełna trzech lat, rzeczona instytucja zarejestrowała tysiące zeznań oraz wydała kilka dziesiątków książkowych publikacyj. Od pierwszej chwili byłem też przekonany, iż należy pisać *pełną* prawdę, niczego nie omijać i nie pomijać, oraz niczego *nie pseudonimować*. Program ten przeprowadzałem z zawziętym uporem, świadomie ignorując pewne sugestie i instrukcje. Dotyczyło to zresztą nietylko chlubnych szczegółów, stanowiących przedmiot artykułu pani Marii Czapskiej, ale również zjawisk im przeciwstawnych. O ile jednak te ostatnie rejestrowano (i publikowano) w zwykłym toku, każdy wypadek pomocy był obszernie podkreślany i to — w miarę możności — z licznymi szczegółami.

Podobne stanowisko zachowywała w tej sprawie większość moich kolegów z Ż.K.H. zarówno w Krakowie, jak tych którzy prowadzili pracę w Łodzi. Co więcej: jeśli bywały między nami tarcia na ten temat, dotyczyły one wyłącznie kwestii ogłaszania ustępów o zjawiskach negatywnych. Zważywszy rzeczywistość i nastrój krwawych pogromów (Kielce, Rzeszów itd.), zważywszy półoficjalno-urzędowe instrukcje (z którymi ja osobiście nigdy się, do końca, nie liczyłem), niektórzy pośród moich współpracowników nalegali mianowicie, by właśnie „te rzeczy" złagodzić, względnie by je „odłożyć na później". Podczas gdy ja (co szczerze i chętnie wyznaję), wychodziłem (i ciągle wychodzą) z założenia, że należy pisać po prostu całą *prawdę*. Dotyczyło to zresztą także i *przede wszystkim* samych Żydów. Każdy lojalny czytelnik naszych ówczesnych książek przyzna, że były one na prawdę bardzo dalekie od wszelkiego „bronzownictwa". Pisać w ten sposób, bezpośrednio po największej w dziejach rzezi, nie przyszło chyba bez twardego przełamania i zdecydowanej woli zachowania pełnej wierności w utrwalaniu faktów. Nie widziałem więc w istocie (i dalej nie widzę) żadnej przyczyny dlaczego nie przemilczając ani nie łagodząc *niczego* ze zjawisk, które były godne potępienia w zachowaniu się pewnej liczby mordowanych Żydów, należałoby zachowywać wybujałą delikatność i dyskrecję w odniesieniu do dobrowolnych donosicieli i szantażystów, lub nawet bezpośrednich morderców, dlatego tylko że Żydami nie byli.

Już osobiście i całkowicie na mnie spadała (zwłaszcza odnośnie publikacyj wydawanych w Krakowie) odpowiedzialność oraz wykłócanie się z tzw. miarodajnymi „czynnikami". Tym więcej że, odnośnie tych chlubnych szczegółów, nazwy organizacyj i nazwiska osób znajdujących się na pół-oficjalnym indeksie, pojawiały się w naszych publikacjach bez żadnych niedomówień. Nieraz wzmianki o nich wykorzystywałem zresztą, by — tytułem komentarza — dodawać bliższe szczegóły, niezwiązane ze „sprawą żydowską". Stąd poszła nawet popularna w Krakowie tego pierwszego czasu butada, że niesfałszowane szczegóły o byłych polskich organizacjach podziemnych można znaleźć właśnie w książkach Żydowskiej Komisji Historycznej.

Faktem jest w każdym razie, że w wydawnictwach Ż.K.H., wszędzie gdzie się to łączyło z poruszanym tematem, relacje dotyczące udzielanej Żydom pomocy publikowane były *od pierwszej chwili*. Na podsumowanie było za wcześnie. Ilekroć wszakże wypadło to czynić choćby częściowo, nie omieszkaliśmy traktować tego tematu ze szczególnym pietyzmem. Dla przykładu biorę do ręki pierwszą lepszą z tych książek, mianowicie zbiór p.n. „W 3-cią rocznicę zagłady Żydów Krakowa": praca o łajd-

kach jest ogólnikowa i liczy 4 strony; praca o udzielonej pomocy usiana jest gęsto nazwiskami i liczy stron 11. A *bardzo* liczne ustępy w całym szeregu innych książek?

Wspominam Ż.K.H., ponieważ centralizowała ona w tamtych latach wysiłki w tej dziedzinie. Jednak w tym samym czasie wychodziła jeszcze w Polsce pewna ilość żydowskich periodyków (zarówno w języku polskim jak w języku żydowskim). *Niemal* każde z tych pism (przy czym słowo ,,niemal'' dodaję tu jedynie dla ostrożności) zamieszczało szerokie wspomnienia dotyczące omawianej pomocy. Jeśli to wszystko znaczy, że ,,brat milczał'', był to chyba rodzaj milczenia dosyć wyjątkowy.

Ale (i to może dla czytelników ,,Kultury'' będzie szczegółem zupełnie nieznacznym!) ustępy o których mowa nie obyły się bez wywołania ilość... niespodziewanych reakcyj i następstw. Zaraz po ogłoszeniu pierwszego z tych tomów (,,Dokumenty zbrodni i męczeństwa'') zaczęły się wizyty paradoksalne. Ludzie cytowani po nazwisku, (i to właśnie jako dobroczyńcy !) przychodzili przygnębieni, z wyrzutami: że publikując ich ,,zbrodnię'', która wyraziła się w udzielonej z narażeniem życia pomocy, wydajemy ich na pastwę zemsty sąsiadów. Z kolei, z podobnymi pretensjami, zaczęli się zjawiać niektórzy uratowani Żydzi, wysłani do nas przez swoich dobroczyńców. Inni jeszcze (autorzy zeznań już spisanych lecz na razie jeszcze nieopublikowanych) przychodzili ,,prewencyjnie'', by zabronić ich ogłaszania w przyszłości. Były wypadki, że — na żądanie swoich dobroczyńców — niektórzy w ogóle odmawiali zgody na publikowanie ich zeznań, nawet bez cytowania odnośnych nazwisk, ponieważ ,,z innych szczegółów (nazwy miejscowości itd.) sąsiedzi mogą się domyślić o kogo idzie''. Stanęliśmy, ja i moi współpracownicy, przed kwadraturą koła. Na upór można bowiem wykłócać się nawet z ,,czynnikami'' ignorować ich sugestie i instrukcje; *wyświadczać jednak niedźwiedzią przysługę akurat dobroczyńcom?*

Sprawa była szczególnie bolesna w związku z przygotowaniem dużego tomu zeznań uratowanych dzieci (,,Dzieci oskarżają''). Toteż we wstępie Marii Hochberg - Mariańskiej do tego tomu znajdzie czytelnik następujący m. in. ustęp:,,*Teraz chodzi o co innego, o różnicę między zasługą i hańbą, o świadomość i dumę ze spełnionego obowiązku człowieka i obywatela. W tej książce, w wielu zeznaniach wymieniane są nazwiska ludzi, którzy dzieci żydowskie ratowali, w innych użyto tylko inicjałów. Dlaczego — jeśli nazwiska są znane? — Nie wiem czy jakiś człowiek poza granicami Polski pojmie i zrozumie fakt, że uratowanie życia ściganemu przez zbrodniarza, bezbronnemu dziecku, może okryć kogoś wstydem i hańbą, lub narazić na przykrość''.* (*Id* str. XXXII). Jasne?

Może to jednak tylko ,,zamierzchła'' przeszłość ? Jakiś rok temu, jeden z moich b. żołnierzy (który po odsiedzeniu za ,,niebłagonadiożność'', wyszedł z więzienia dopiero po ,,Październiku'' !) pisał mi w liście o kłopotach, doznawanych tym razem od sąsiadów: jako dowód jego ,,zbrodni'', pokazywali oni sobie, jeden drugiemu, naszą publikację, książkę, w której mowa o pomocy, udzielonej przez rzeczonego człowieka kilku Żydom. Jedynie w tym celu jego miejscowy wróg zachował zresztą tę ,,żydowską'' publikację. Pomyśleć tylko: przechowywał ją tyle lat, rozkoszując się tajemną nadzieją, że kiedyś godzina wykorzystania jej dla jego zemsty wybije!

Krótko przed wyjazdem z Polski, podjąłem pracę nad rozległą książką o Żydach, którzy — w czasie okupacji — żyli w ukryciu lub na tzw. ,,aryj-

skich papierach". Jest to właśnie dziedzina, gdzie zarówno te złe jak te chlubne szczegóły najbardziej dochodziły do głosu. Nie zadawalając się setkami już zebranych i posiadanych relacji, ogłosiłem wtedy — w imieniu Ż.K.H. — komunikaty w całej prasie, zwracając się z prośbą o zeznania, szczególnie do tych wszystkich, którzy pomagali Żydom lub byli świadkami udzielanej pomocy. Prośba moja nie pozostała bez oddźwięku. Otrzymałem w istocie dodatkową liczbę cennych relacyj.

W czasie okolicznościowej podróży za granicę, dosięgła mnie (w r. 1947) wiadomość, że jestem „spalony" (zresztą w związku z innymi sprawami; był to okres procesów przeciw b. WRN). Do Polski wrócić nie mogłem, lecz mając na szczęście, z sobą kopie wszystkich zebranych materiałów, kontynuowałem za granicą pracę nad wymienioną książką. Napisana po polsku, ta ostatnia nie mogła ukazać się w tym języku. Wyszła dopiero dużo lat później, w roku 1955, w Argentynie, w tłumaczeniu na język żydowski (i miała później uzyskać nagrodę Żyd. Kongresu Kultury). Są tego *trzy duże tomy*, w których staram się oświetlić i udokumentować wszystkie dostępne aspekty tematu. Niezależnie od omówienia *setek* wypadków indywidualnych, specjalna część poświęcona jest stosunkowi podziemia do tych spraw. Szeroko potraktowana jest m. in. działalność konspiracyjnej Rady Pomocy Żydom. Nie dosyć na tym: W trzecim tomie, w części p.n. „Świadectwa nie-Żydów" id. (t. III str. 165 - 202) publikuję *in extenso* zeznania uzyskane w ramach wspomnianej wyżej ankiety dodatkowej. Nie moja w tym wina, że książka nie mogła się ukazać w języku polskim. Cieszyłbym się jednak, gdyby, za pośrednictwem „Kultury", słowa te doszły do osób, które były wówczas łaskawe odpowiedzieć szczegółowo na moją prośbą (m. in. pp. dr. Władysław Jan Grabski, Irena Stanikowa, ks. Stanisław Cichocki, ks. Jan Rembisz, dr Franciszek Kowalski, Adam Miksz, Zdzisław Buchholc, Kazimiera Królikowska); że nie darmo odwoływałem się do ich pomocy. Zeznania ich nie utonęły w czeluściach archiwów. Są ogłoszone.

Po moim wyjeździe z Polski, Żyd. Komisja Historyczna zawiesiła wydawnictwo książek. Niedługo po mnie wyjechali zresztą również pozostali członkowie kierownictwa. Instytucja, przemianowana na Żyd. Instytut Historyczny, dostała się w ręce p. Bernarda Marka. Ten ostatni co prawda ani okupacji hitlerowskiej nie widział na własne oczy, ani (wróciwszy do Polski, po wojnie) nie uczestniczył w pracach Ż.K.H. Miał w zamian płomienną wolę wykonania, i to z grubą nadwyżką, wszystkich dezyderatów „historiografii"... zamawianej przez instancje komunistyczne. Instytucję objął on w chwili gdy niezadowolenie „miarodajnych czynników" w stosunku do „niepoprawnego" kierownictwa miało za sobą dość długą historię i od dawna było już bliskie tłumionego i tylko odraczanego wybuchu. Z wigorem prawdziwie stachanowskim, zabrał się p. Mark natychmiast do odrabiania karygodnych „odchyleń" i „zaniedbań". Jego kolejne publikacje (dotyczące głównie powstania w ghetcie warszawskim i żydowskiego podziemia w ogóle) wywoływały w całej prasie żydowskiej za granicą najwyższe zdumienie i protesty. Na te ostatnie, w Warszawie, ze strony „Instytutu", odpowiadano metodą uświęconą przez system. Przemilczając przed własnym czytelnikiem zarzuty dyskutanta (a z reguły — nawet cały przedmiot jego wystąpienia) obrzucano go stekiem oszczerstw. Tę także metodę stosowano do mnie, potęgując za każdym razem ilość i „jakość", wylewanych pomyj. B

moim cyklu artykułów, gdzie omówiłem źródłowo i zsumowałem preparowane przez p. Marka fałszerstwa, doczekałem się nawet rozprawy ,,totalnej'' Nieznany mi bliżej pracownik Instytutu przedstawiał mnie swoim czytelnikom jako herszta A.K.-owskich bandytów. Z osobliwie zestawionych aluzyj, czytelnik winien był przy tym zrozumieć, że — jako komendant polskich oddziałów partyzanckich — brałem niemal udział... w mordowaniu Żydów. Z warszawskiego dziennika, przedrukowała ten elaborat ,,w odcinkach'', komunistyczna gazeta wydawana w języku żydowskim w Paryżu.

Tym niemniej... W imię prostej prawdy trzeba stwierdzić, że odnośnie omawianych tutaj wypadków pomocy, p. Mark nie tylko ich nie przemilczał, lecz przeciwnie: uwziął się, by udowodnić, że bez mała — tj. z wyjątkiem garstki reakcjonistów — cała Polska była w czasie okupacji zajęta... ratowaniem Żydów. Niezależnie od wszystkich inkrustacyj na ten temat w jego (wciąż ,,ulepszanym'') ,,dziele'' o powstaniu w ghetcie warszawskim, wydał on nawet (w języku żydowskim) książkę o ,,Tragedii żydowskiej w polskiej literaturze'', poświęconej już wyłącznie tej właśnie tezie. Jego partyjny kolega, p. Mirski, proklamował nawet tę książczynę, jako ,,policzek'' wymierzony żyd. reakcji, która żyje za granicami Polski i śmie mówić o polskim antysemityzmie. W udawadnianiu swojej rewelacji, każdy wiersz napisany w tej sprawie podczas, czy po wojnie ,,streszcza'' p. Mark na szeregu stronic. Tam gdzie wydźwięk streszczanego utworu nie odpowiada jego tezie, domyśla on już od siebie to czego autor nie powiedział lub to co... powiedział inaczej. W swoim zapale doszedł on nawet do przypisania ,,demokratycznym kołom polskiego podziemia'' publikacyj wydanych pod okupacją przez konspiracyjny ,,Żydowski Komitet Narodowy'' (szczególnie antologii wierszy z ,,Otchłani'', w której zresztą również dwóch poetów nieżydowskiego pochodzenia, Miłosz i Sarnecki, ogłosiło swoje utwory). Inaczej mówiąc: Także i ten ,,brat'' nie milczał. Przeciwnie często od rzeczy, to prawda, ale nawet krzyczał.

Od szeregu lat czytuję, niemal ,,zawodowo'', wszystkie dostępne mi książki, dotyczące przeżyć w Polsce pod okupacją, a wydawane przez Żydów w różnych językach i w różnych krajach na kilku kontynentach. To prawda, że piętrzy się w nich od goryczy. Czyżby była to jednak wina tylko pamiętnikarzy? Ale oto i tutaj (przy czym, pod tym względem do prawdy nie spotkałem *żadnego* wyjątku): ilekroć odnośny autor może wspomnieć tych, którzy pomocy udzielali, ton jego raptownie się zmienia; następują hymny.

Zdarzało mi się często, że autorzy prac z tej dziedziny przedkładali mi rękopisy, z prośbą o przeczytanie ich, o wyrażenie uwag względnie o polecenie ich wydawcom. Przypomina mi się jeden taki: Tekst jego wspomnień roił się od zarzutów pod adresem współobywateli nie-Żydów. Lecz oto, niebardzo w związku z relacjonowanymi przez niego wypadkami, znajduję tam nagle szereg stronic, pisanych stylem utkanym z superlatywów i włączonych w narrację dosyć sztucznie, mianowicie pod pozorem cytowania okolicznościowej rozmowy, o chłopie z pobliskiej wsi, który pomagał Żydom. Oddając rękopis i formułując moje zastrzeżenia, powiedziałem autorowi, że rzeczony ustęp nie tłumaczy się tokiem pracy i wyłamuje się całkowicie z jej konstrukcji. Autor który wszystkich innych moich uwag słuchał ze skupioną uwagą i notował je z myślą o wprowadzeniu poprawek, tym

razem gniewnie mnie ofuknął: „Gwiżdżę na tok i na konstrukcję, powiedział mi bardzo niegrzecznie, skoro to przecież prawdziwa rozkosz móc napisać o takim dobrym człowieku".

Czuję się zażenowany, że asumpt do tych wszystkich wyjaśnień wziąłem z kilku zdań pani Marii Czapskiej, i to może wbrew zamiarowi, który jej przytoczenie odnośnych cytatów podyktował. Zdaję sobie dobrze sprawę, że jeśli komu, to nie jej na pewno należy moje wyjaśnienia adresować.

Chodzi jednak o sprawy dość zasadnicze. Po pierwsze, o ustalenie zwykłych faktów: Wydzielenie, zsumowanie i uwypuklenie, aktów pomocy w oddzielnej książki, jest pozycją pożyteczną. Nie ma jednak żadnych przyczyn, by z tej okazji zapominać raptem o wielu dziesiątkach publikacji rozsypanych na przestrzeni lat trzynastu.

Po wtóre: Uwypuklenie (przez wydzielenie) aktów poświęceń dokonanych w obronie życia bliźnich mówi nieraz w istocie więcej i wzrusza głębiej sumienia „od potępiających antysemityzm artykułów, uczonych rozpraw albo letniego ducha kazań". Prawda ta nie przeszkadza jednak innej. Tej mianowicie, że jeśli — w pracach typu monograficznego — wolno autorowi wybierać odcinek jaki uważa za najbardziej pociągający, wzruszający czy budujący, zasadniczym i bezlitosnym zadaniem pisanej historii jest (jakże często bolesne i niewdzięczne !) utrwalanie pełnej prawdy. Tym więcej, że zazębienia faktów i jednej strony, a wnioski i wskazania jakie one nasuwają — z drugiej strony, są nie tylko wielo-kierunkowe lecz również — by tak rzec, wielowarstwowe.

Myślę m. in. o ustępie dotyczącym „znanych działaczy endeckich jak Mosdorfa i Stanisława Piaseckiego, zmarłych w Oświęcimiu za pomoc okazaną Żydom". Nie wiem, czy wiadomość powyższa zaczerpnięta jest ściśle z książki F. Friedmana (której nie miałem jeszcze w ręce), lecz nie wydaje mi się ona dokładna: *Ani aresztowanie, ani męczeńska śmierć tych obu działaczy i publicystów nie miała związku z pomocą okazaną Żydom. Ponadto Stanisław Piasecki nie był nigdy więźniem Oświęcimia. Zginął on, zamordowany przez Niemców, na Palmirach.* Sam fakt przemiany jest jednak prawdziwy i posiada swoją głęboką wymowę. Podobnie zresztą, jak analogiczna metamorfoza Adolfa Nowaczyńskiego w tych samych latach. O wszystkich trzech wypadło mi pisać dosyć obszerniej w wymienionej już książce o „Aryjskich papierach". Oddawszy hołd należny ludziom, którzy umieli, i to właśnie w dobie gdy antysemityzm dochodził „zwycięskiego" szczytu swoich szaleństw, przeciwstawić się czynnie propagowanym wcześniej przez siebie tendencjom, uczyniłem tam melancholijną refreksję

O co bowiem chodzi w tym fatalizmie niekończących się sporów na temat antysemityzmu w Polsce czasu wojny? Nie o obronę chlubnej pamięci czynów tych ludzi, którzy mieli odwagę psychozie się przeciwstawić, gdyż pamięć o nich (jak to starałem się tutaj *bardzo pokrótce* przypomnieć) Żydzi głoszą z pietyzmem i nieprzerwanie *od pierwszej chwili.* I nie, z drugiej strony, o zaprzedanych okupantowi szpiclów etapowych, ponieważ żadnemu polskiemu publicyście nie przyjdzie do głowy ich bronić. Chodzi natomiast o ów *klimat,* sprawiający że niebezpieczeństwo grożące za równo ukrywającym się Żydom jak tym wszystkim, „którzy wtedy, w każdej chwili dawali swoje życie za brata swego", czyhało w Polsce *zewsząd.* Złożyło się na taki klimat cały szereg i to różnych przyczyn, to prawda. Jego podglebia, jego pożywki szukać jednak trzeba w ideowej i psy

chicznej spuściźnie po okresie między-wojennym w ogóle i po jego ostatniej dekadzie w szczególności. Nie będzie też, sądzę, żadną przesadą twierdzenie, że czołowymi krzewicielami nastrojów o które idzie byli w Polsce właśnie trzej wymienieni publicyści i działacze: Adolf Nowaczyński, autor codziennych i rozpienionych pamfletów, których hitlerowski wigor wywoływał zażenowanie nawet we własnych kręgach autora (tj. wśród endeków ,,starej szkoły"); Stanisław Piasecki i jego ,,Prosto z mostu", które (nawet po bardzo niefortunnym — z rasistowskiego punktu widzenia — procesie jego twórcy i redaktora) było tubą ,,rasizmu psychicznego" oraz jego realizacyj, (aż do pochwał — potępianego nawet przez antysemitów — Zbąszynia !), przytuliskiem i trybuną zarówno dla rodzimych jak dla zagranicznych Tyrteuszy żydożerstwa: od ,,odmienionego" już wówczas (lecz w odmiennym kierunku!) przyszłego kolaboranta i zdrajcy J. E. Skiwskiego począwszy, do Céline'a, tego najgorszego (,,Bagatelles pour une massacre" !) włącznie; Jan Mosdorf, ,,wódz" tych nowoczesnych, tych tzw. dynamicznych ,,sturm-abteilung'ów", którym sam Roman Dmowski widział się okrutnie przestarzały, niemal ,,filosemitą".

W czasie okupacji, wychowankowie nie koniecznie odbyli metamorfozę, która zostanie na zawsze pośmiertną chwałą ich byłych mistrzów. Ci ostatni, choćby nawet i chcieli, nie posiadali już ani środków ani możności dotarcia do mas. Ilu śmierciom mogli oni zapobiec swoim poświęceniem nawet najżarliwszym? A ile wcale nie-nieuchronnych śmierci zawinił rzeczony ,,klimat", którego oni byli wybitnymi współtwórcami? Rzadko zaiste przysłowiowa parabola o uczniu czarnoksięskim, nie umiejącym i nie mogącym już zatrzymać rozpętanych przez siebie żywiołów, uzyskuje ilustrację aż tak tragiczną.

Nie chciałbym być źle zrozumiany. Uwagi powyższe w niczym nie umniejszają okupacyjnej zasługi wymienionych osób. Przeciwnie: w wymiarze ludzkim, powiększają one patos i wymowę ich zmienionego stanowiska. Do nauk, przekazanych przez pełną prawdę tamtych lat, należą jednak również owe wnioski melancholijne.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, słowa prawdziwego poważania.

Michał BORWICZ



Kraków, dnia 11. 9. 1958.

Szanowny Panie Redaktorze!

We wrześniowym numerze ,,Kultury" Londyńczyk czyli Juliusz Mieroszewski w rubryce ,,Kronika angielska" przeprowadza coś na kształt polemiki z niżej podpisanym i z innymi publicystami krajowymi. Tytuł ,,Kronika angielska" jak i sam tekst wziąłem początkowo za żart, po uważnym przeczytaniu zrozumiałem jednak, że są to na serio przez autora traktowane polemiczne ,,strzały zza płotu" (w danym wypadku strzały zza Kanału). Sporo tam płycizny, karykatury, miejscami zgoła fałszu, wobec czego proszę o umieszczenie niniejszej repliki. Przeznaczona jest ona dla czytelnika emigracyjnego, czytelnicy w Polsce bowiem znają na ogół nasze stanowisko i jego ewolucyjne perypetie. Czytelnik emigracyjny natomiast to czytelnik bezbronny, o sprawach krajowych nie poinformowany.

Mieroszewski twierdzi, że głoszę konieczność sojuszu z Rosją z „krakowską naiwnością” bez „dramatyzmu czy hamletyzmu”, po prostu w duchu Badenich i Gołuchowskich. Jest to zwykła bujda, obliczona właśnie na nie znającego sprawę odbiorcę. Każdy natomiast mój czytelnik czy słuchacz w kraju wie dobrze, że do dzisiejszego poglądu na nasz sojusz z Rosją doszedłem, jak wielu ludzi w Polsce, drogą żmudnych i skomplikowanych, bynajmniej nie „oddramatyzowanych” przeżyć i przemyśleń. Droga ta może się wydać prostą i łatwą chyba tylko z perspektywy nie zainteresowanego bezpośrednio sprawą kibica z Londynu.

Głównym motorem ewolucji moich poglądów było obserwowanie nie genialnej zaiste lecz schematycznie krótkowzrocznej i ciasno, wręcz partykularnie egoistycznej polityki Zachodu (czy krajów reprezentujących tę politykę) po wojnie. Myślę, że Zachód swoją polityką powojenną przekonał nas o konieczności sojuszu z Rosją skuteczniej, niż mogłoby to zrobić sto lat propagandy komunistycznej. Racjonalne sojusze polityczne w historii nie bywają wynikiem gustów, sympatii i antypatii, lecz układu elementów geopolitycznych, gospodarczych, strategicznych i innych. Sojusz z Rosją i z całym blokiem narodów biednych i gospodarczo zacofanych, to w dzisiejszym układzie świata jedyna nasza postawa polityczna, gwarantująca życie. W przeciwnym wypadku narodowi polskiemu grozi śmierć polityczna i zgoła biologiczna. To sprawa nie błaha a nawet bardzo poważna — przynajmniej dla mnie. I zaręczam panu Londyńczykowi, że żadnych decyzji nie podejmuje się u nas beztrosko czy bez dramatyzmu. Tylko że naszymi kłopotami nie zawsze dzielimy się z kolegami z emigracji...

Mieroszewski powie, że tak pojęty sojusz z Rosją jest sojuszem wymuszonym. Niech mu będzie, niech się cieszy tym odkryciem. Sojusz Unii Południowo-Afrykańskiej z Anglią i wejście tejże Unii do Wspólnoty Brytyjskiej też wymuszone zostały niegdyś Wojną Boerską. Małżeństwa z rozsądku trwalsze bywają, niż małżeństwa z miłości. Rzeczą zgubną byłoby wzmagać w narodzie polskim dostatecznie już rozwinięty kompleks niższości, zależności czy upokorzenia. Chodzi natomiast o to, aby nasz stosunek do Rosji podnieść do rangi dobrowolnego i świadomego sojuszu, sojuszu, respektującego jednak polskie odrębności światopoglądowe, kulturalne czy gospodarcze. O to właśnie toczy się trudna, częstokroć ukryta walka, walka, w której niestety nie zastąpi nas nikt spoza kraju.

Jak widać, konieczność sojuszu z Rosją motywuję względami narodowymi, nie zaś ideologiczno-ustrojowymi. Być może nie spodoba się to koledze Mieroszewskiemu, który od pewnego czasu głosi, że jest zwolennikiem socjalizmu (przez długie lata skrzętnie to jakoś ukrywał...). Ja natomiast w odróżnieniu od p. Mieroszewskiego, byłem, jestem i chyba do śmierci będę przeciwnikiem socjalizmu zarówno w dziedzinie światopoglądowo-filozoficznej jak gospodarczej czy kulturalnej. Postawa ta skazuje mnie w kraju na opozycyjność, co automatycznie wyklucza „karierę Badenich”. Wszystko to nie przeszkadza, że względy ogólno-narodowe uważam za nadrzędne i decydujące o całokształcie naszej postawy. Postawy nie łatwej. amatorów hamletyzmu zapewniam, że swoisty nadwiślański hamletyzm w niczym nie ustępuje londyńskiemu...

I ostatnia rzecz „pro domo sua”. Pan Mieroszewski, sam krakauer, zarzuca mi „krakowską naiwność”. Otóż komunikuję uprzejmie, że jestem warszawianinem, a moim uniwersytetem politycznym nie były bardzo zresztą szacowne przemyślenia Szkoły Krakowskiej, lecz... Powstanie Warszawskie. Przymusowe obserwowanie, jak to niezbyt pokaźne, policyjne raczej siły niemieckie przez dwa miesiące bezkarnie burzyły Warszawę i mordowały kwiat polskiej młodzieży, a zajęty swymi kłopotami świat przyglądał się temu z roztargnieniem, było bardzo pouczające. Na całe życie wyniosłem naukę, że nigdy już nie wolno Polsce stawać wśród dziejowej burzy bez

sojuszników politycznych i militarnych. Sojuszników zaś ma się nie takich, jakich się sobie wymarzyło w dziecinnym pokoiku, lecz takich, jakich nam zleci sroga dla małych narodów Pani Historia i jej pomocnice, panie Geografia, Ekonomia, Polityka.

I jeszcze parę spraw innych. W tymże felietonie p. Mieroszewski atakuje Cata-Mackiewicza. Zarzuca mu niezrozumienie tego, że polska „filoangielskość" jest tylko wynikiem „antysowieckości". Zaręczam Londyńczykowi, że Mackiewicz wszystko doskonale rozumie. Jego nie najzręczniejsza zresztą kampania przeciw filoangielskości ma swe źródło w głębokiej i namiętnej trosce o to, aby nasza platoniczna miłość do Zachodu nie skończyła się „wykiwaniem" nas po raz nie wiem który. A tym razem może się nie skończyć na zburzeniu jednego milionowego miasta. Jak się zdaje, od tego rodzaju trosk i odpowiedzialności jest nasz Londyńczyk zupełnie wolny — to sprawa różnicy klimatu. W tymże numerze „Kultury" ktoś słusznie zauważył, że żyjemy tu w Polsce w ciągłym stanie podgorączkowym. Istotnie — żyjemy. Mamy po temu swoje powody i niczyj olimpijski spokój znad Tamizy nas, jak się to mówi, „nie urządza".

Wreszcie sprawa ostatnia: sprawa „PAX'u". Z PAX'em" walczyłem i polemizowałem długie lata. Nie zgadzam się z ich nacjonalizmem i totalizmem; uważam, że nie mieli prawa mieszać się w sprawy katolickie, z których też słusznie zostali wyeliminowani. Ale nie zgadzam się też na symplifikujące określenie ich jako agentury.

W kraju, który, jak to cytuje Mieroszewski, „nie posiada historii, tylko sąsiadów", każdy, kto ma jakąś koncepcję polityki zagranicznej naraża się na zarzut agenturalności. Piłsudczycy uważali Dmowskiego za agenta caratu, endecy Piłsudskiego za agenta niemieckiego. Nasi marksiści nazywają Mieroszewskiego agentem anglosaskim, Mieroszewski nazywa Piaseckiego agentem sowieckim. A ja proponuję,aby skończyć z epitetami i przejść do głębszej analizy oraz argumentacji. Koncepcje Bolesława Piaseckiego uważam za błędne i szkodliwe, niemniej są one takim samym odgałęzieniem polskiej myśli politycznej jak i szereg innych poglądów w kraju i na emigracji. Zarzut agenturalności bez znajomości sprawy i bez argumentów to już naprawdę cios zbyt niskiej marki.

Zachodzi pytanie, dlaczego tak wybitny i wytrawny publicysta jak Juliusz Mieroszewski napisał o naszych sprawach felieton płytki, pełen tanich uproszczeń i niewybrednych chwytów? Wytłumaczenie tego jest chyba oczywiste. Mieroszewski, który po Październiku spróbował włączyć się bliżej w problemy krajowe, nie wytrzymał panującego w Polsce napięcia politycznego. Nie można być jednocześnie specem od wielkiej polityki angielskiej i od drobniutkiej polityki polskiej, takich geniuszów nie ma. Nie sposób wyrokować bezbłędnie o wewnętrznych sprawach kraju, w którym nie było się lat osiemnaście, ani oceniać autorytatywnie zawiłości ustroju, którego nie widziało się na oczy. Brak bezpośrednich wiadomości i doświadczeń mści się zawsze.

Łączę wyrazy niezmiennego szacunku i serdecznej sympatii.

Stefan KISIELEWSKI

◆

Paryż, dnia 10 października 1958

Szanowny Panie Redaktorze,

Występując w obronie PAX'u, którego Londyńczyk nazwał — i słusznie — płatną agenturą, Stanisław Mackiewicz ogłosił w „Kulturze" dłuższy list protestujący przeciwko tego rodzaju „brechtom". Czegóż tam nie ma w

tym liście ! Jest i Piłsudski i Aleksandra Teodorówna i Studnicki, jest Hitler, hr. Teleky i Free Europe...

Za to o pochodzeniu pieniędzy PAX'u zaledwie pół zdania : ,,Każdy w kraju wie" — pisze p. Mackiewicz — ,,że organizacja PAX'u opiera swój byt na energicznie prowadzonych przedsiębiorstwach przemysłowo handlowych..".

Oto typowy przykład pół-prawdy, pół-kłamstwa, na które niestety skazany jest dziś Stanisław Mackiewicz, propagandzista PAX'u Nr 1. — Czytając list p. Mackiewicza ktoś nieuświadomiony mógłby rzeczywiście sądzić, że dziś w Polsce każdemu wolno zakładać przedsiębiorstwa, ,,energicznie" je prowadzić, zarabiać miliony i zajmować się akcją ,,katolicką, społecznie-postępową". Tak jednak nie jest i p. Mackiewicz wie o tym lepiej niż ja. Olbrzymie zyski PAX'u, który może sobie pozwolić na parotysięczną armię urzędników-agentów, na wille, samochody, mieszkania, rozjazdy zagranicę i inne luksusy, niedostępne dziś często nawet dla wielu czołowych komunistów — wszystko to możliwe jest tylko dzięki łaskawości partii, która a) udzieliła PAX'owi wyłącznych koncesji na eksploatację rentownych przedsiębiorstw oraz b) zastosowała do przedsiębiorstw PAX'u wyjątkowe ulgi i zniżki podatkowe. Opowiadano mi, że zeszłego roku centralna spółdzielnia inwalidzka, owiana jeszcze atmosferą Października, zwróciła się do rządu z prośbą o to, aby związki inwalidzkie, tzn. warsztaty itp. ludzi ułomnych, okaleczonych, mogły korzystać z podobnych ulg podatkowych. Rząd odmówił. Bo PAX to ,,wypadek specjalny", ,,instytucja wyższej użyteczności publicznej".

Przypuszczam, że gdyby PAX prowadził swe interesy nie tak ,,energicznie" i zarabiał mniej, to by partia znalazła jakiś inny sposób subwencjonowania jego działalności.

Czy p. Mackiewicz nigdy nie postawił sobie pytania, dlaczego to polska partia komunistyczna, która stara się likwidować każdy przebłysk zorganizowanej niezależności, konfiskuje gazety, rozpędza redaktorów, zamyka kluby, rozwiązuje związki młodzieżowe i robotnicze, zabiera powielacze proboszczom w obłędnym strachu przed ,,dzieelniem się władzą" z... narodem, dlaczego ta partia sama własnymi rękami buduje w socjalistycznym państwie prywatne, kapitalistyczne imperium Piaseckiego, pozwala mu na zakładanie placówek i rozsyłkę agentów po całym kraju, daje mu środki działania i nolens volens zaprasza omal do współrządów krajem ? Jest rzeczą przerażającą, że dotychczas są ludzie — jest wielu ludzi w Polsce — których PAX i Piasecki omamił do tego stopnia, iż wierzą oni, że pod znakiem PAX'u pracować mogą dla dobra kraju nie płacąc jednocześnie ciężkiego haraczu na rzecz głównego sojusznika PAX'u : komunizmu, Moskwy. Ale trudno przypuszczać aby Stanisław Mackiewicz do nich należał.

Powie mi ktoś na to : Ależ panie, przecież oni wydają książki, przecież spółdzielnie, odnowa moralna itp. Za Mussoliniego też suszono bagna we Włoszech. Nie to stanowi o politycznej roli PAX'u. Żadne książki i żadne spółdzielnie nie potrafią zasłonić, ani tym bardziej okupić faktu, że PAX od lat dąży różnymi sposobami do podważenia wszystkiego co stanowić może przeszkodę dla partii, dla komunizmu w kompletnym zawładnięciu Polską i narodem polskim, budując jednocześnie swą własną potęgę. W swoistej frazeologii Piaseckiego nazywa się to ,,instynkt państwowy". Ale instynkt państwowy nie wymaga rozbijania Kościoła, podburzania księży, przekupywania ludzi i instytucji, ani popierania sowieckich agentów spod znaku Natolina, zohydzania Zachodu, ani straszenia Polaków czołgami armii czerwonej. Krwawa rewolta nie jest na pewno zgodna z polską racją stanu, ale dobrowolne pójście na sowiecką służbę też nie. Zapewne osobista kalkulacja Piaseckiego polega na tym, aby zostać w przyszłości czymś w rodzaju namiestnika rosyjskiego w Polsce w nagrodę za to, że przez lata

za pieniądze z łaski komunistów otrzymane, wiernie wykonywał powierzone mu zadania z pomocą tak zdolnych propagandzistów jak... Stanisław Mackiewicz.

Przykro mi to pisać, bo oto już przed dwudziestu kilku laty rzucił na mnie Cat-Mackiewicz urok swego słowa. Pamiętam przed wojną, jako młody jeszcze chłopiec, czytałem z wypiekami na twarzy wielkie płachty wileńskiego pisma, pamiętam dreszcz zgrozy jaki przebiegł przez Polskę na wieść, że Cata zabrali do Berezy. Pamiętam w Szkocji, w namiotach żołnierskich, namiętne pamflety Cata, który, jak sienkiewiczowski harcownik w pojedynkę szedł naprzeciw uznanym oficjalnie tezom i władzom, pamiętam Cata książki i artykuły. Jeszcze dziś jak to wszystko wspominam, stają mi przed oczyma obrazy wywołane magią mackiewiczowskiego pióra, śmierć Sławka, pogrzeb Piłsudskiego i ,,chmury nad Polską zbierające się, czarne..."

Niechże Catowi służba paxowska lekką będzie.

Proszę przyjąć Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego poważania i szacunku.

Z. MICHAŁOWSKI

◆

Cupar-Fife, dnia 2. 10. 1958 r.

Szanowny Panie Redaktorze !

Po przeczytaniu reportażu pp. B. Czaykowskiego i B. Sulika ogłoszonego w ,,Kulturze" Nr 9/131 pt. ,,Polacy w Szkocji" stwierdziłem wiele nieścisłości. Z uwagi na to, że reportaż ten jest fragmentem opracowywanej przez autorów książki, jako prezes Koła Terenowego Związku Inwalidów Wojennych P.S.Z. w Edynburgu zmuszony jestem tą drogą sprostować te nieścisłości, aby zapowiedziane wydawnictwo (prawdopodobnie historyczne) pt. ,,Emigracja Polska w W. Brytanii" oparte zostało na faktach prawdziwych.

Na stronie 116 w podtytule ,,Dom Polski" umieszczono zdanie: ,,Także niedaleko znajduje się Dom Inwalidy, piękny i stary budynek, ładnie choć nieco w *wulgarnym stylu* urządzony, kupiony *niecałe dwa lata* temu *częściowo z inicjatywy zwolenników prezydenta Zaleskiego,* częściowo jako rezultat potrzeby własnego lokalu, odczuwanej przez Związek Inwalidów". (podkreślenia własne).

Od pięciu lat mojej kadencji organizację inwalidzką na terenie Edynburga stawiałem zawsze poza rozgrywkami polityczno-partyjnymi wychodząc z założenia, że Związek Inwalidów jako organizacja charytatywna, gdy ma spełnić swoje zadania pomocy inwalidom wojennym to nie może angażować się po jednej czy po drugiej stronie przeciwników politycznych. Stale publicznie oświadczałem, że jako organizacja jesteśmy apolityczni, nie zabraniając naszym członkom należenia do takiej czy innej organizacji politycznej. — Tak zajęte stanowisko przyczyniło się do tego, że dziś w Zarządzie Koła posiadamy członków o różnych przekonaniach politycznych pracujących w zgodzie z myślą przyjścia z pomocą inwalidom.

Z tych też względów kupno domu nie było inicjatywą zwolenników ,,Zamku" ani też ,,Zjednoczenia" i nie było przemyśliwane jako konkurencja domu S.P.K. — Projekt kupna domu wyszedł od inwalidów przed 7-miu laty w oparciu o subwencje organizacyj społecznych, a zwłaszcza Towarzystw Szkocko-Polskich, *przeznaczane wyłącznie* na kupno domu inwalidzkiego. Gdy kupno tego domu przeciągało się ofiarodawcy stanowczo oświadczyli, że jeżeli dom nie zostanie w najkrótszej przyszłości zakupiony, to przyznane subwencje w kwocie około £. 1000 (tysiąc) zostaną prze-

znaczone na inne cele. Od 7 lat tą sprawa była dyskutowana na Zebraniach Inwalidów w Szkocji i gdy nadarzyła się okazja nabycia taniego i na dobrych warunkach domu plan został zrealizowany.

Bylibyśmy bardzo wdzięczni, aby autorzy reportażu dokładniej określili na czym polega urządzenie tego domu ,,w wulgarnym stylu'', gdyż chętnie ten styl poprawimy i będzie to ich zasługą na rzecz pomocy dla inwalidów. Ktokolwiek znalazł się w naszym domu każdy nam oświadczał, że dom ten jest najładniejszym domem polskim w Szkocji a w opiniach tych były też opinie fachowców. Pragnę przy tym zaznaczyć, że w ocenie domu autorzy nie są jednego zdania albowiem na str. 120 ust. 3 jest zdanie ,,*P.* Wilson z dumą pokazuje nam dom inwalidów, *rzeczywiście piękny, a przy tym tani''.*

Niezgodne z prawdą jest, że dom został zakupiony niecałe dwa lata temu, albowiem dom ten został zakupiony w dniu 28 października 1957 r. (nie minął jeszcze rok) a otwarcie domu nastąpiło *w dniu 1 lutego* 1958 r. to jest 8 miesięcy temu.

Żałuję mocno, że autorzy reportażu nie nawiązali kontaktu, poza Kol. Wilsonem, z bardziej kompetentną osobą odnośnie spraw inwalidzkich, gdyż na pewno otrzymaliby lepszy i prawdziwszy obraz spraw inwalidzkich nie tylko na terenie Edynburga ale i całej Szkocji. Kol. Wilson pełni funkcję kierownika domu od paru miesięcy honorowo wykonując zlecenia Zarządu Koła. Każdy laik stwierdzi, że absurdem jest składanie oświadczenia jakie złożył Kol. Wilson że: ,,Początkowo Dom przynosił deficyt. Po objęciu jednak kierownictwa przez niego daje wcale nie mały dochód''. Czy można myśleć o ustabilizowaniu dochodu po paru miesiącach otwarcia domu. Logika dyktuje, że nowo otwarty dom potrzebuje wiele napraw i przeróbek aby go dostosować do własnych potrzeb i w tym okresie czasu nie można mówić o dochodach. Można przewidywać dochody jednak po dłuższym okresie czasu a przynajmniej po roku gospodarki i sporządzeniu bilansu gospodarczego.

Również niezgodne z prawdą jest, że dochód z domu przekazywany ma być w przyszłości na Szkoły Sobotnie lub na młodzież, albowiem zgodnie z powziętymi w tej sprawie uchwałami Walnych Zebrań i Zjazdów Inwalidów, dochód z domu ma być przeznaczany w pierwszej kolejności na spłacanie pożyczki hipotecznej a następnie na pomoc inwalidom w Szkocji, a zwłaszcza tym, co nie otrzymują rent inwalidzkich.

Nieścisłością jest określenie, że ,,właścicielem domu jest Zarząd Główny'', albowiem dom jest własnością Związku a Zarząd Główny wybierany na Zjazdach na 2-letnią kadencję sprawuje tylko władzę organizacyjno-gospodarczą Związku jako całości.

W końcu pragnę wyjaśnić, chociaż to jest mniej ważne w czasach pokojowych, że nie jest zgodne z prawdą, że Związek Inwalidów na terenie Edynburga w gronie swoich członków posiada ,,tylko *jednego oficera,* reszta to podoficerowie i szeregowi (podoficer też jest szeregowym), którzy na ogół z inteligencją, jako klasą, mało mają wspólnego''. — Stwierdzam dla ścisłości, że Koło nasze w gronie swoich członków posiada 13 oficerów (w tym 5 oficerów wyższych) oraz 6 członków (część z nich szeregowców) z wykształceniem wyższym lub średnim.

W przeświadczeniu, że Pan Redaktor nie odmówi mi umieszczenia tego listu w Jego poczytnym wydawnictwie, łączę wyrazy należnego szacunku i poważania.

A BIESZCZAD

Prezes Koła Terenowego Związku
Inwalidów Wojennych PSZ
w Edynburgu

Londyn, październik 1958.

Szanowny Panie Redaktorze,

P. H. Schoenfeld, w artykule ,,Tu i tam", zamieszczonym w n-rze 6/128 ,,Kultury" cytuje wiersz ,,Moskwa". Pragnę wyjaśnić, że autorem był nie Tytus Czyżewski a Stanisław Młodożeniec. Wiersz jest w tomie ,,Kreski i Futereski", właśnie parę tygodni temu odpisałem go z mikrofilmu. Był to kiedyś rzeczywiście słynny wiersz. Oto on cały :

tu-m czy-m ta-m ?
tam-tam Tam —
TU-M — —
tam-tam TAM tam-tam-tam TAM
TU-M TU-M
czy-m tam-tam ? tam-tam ? czy-m tam ?
TA-M ? TU-M ?
czyli-m tam ? — jeżeli-m tam to i tu-m
TUM-TUM
a i tam a i tum — — —
oj-ja JJAJ tam a i tu-m
to-m i tam i tum
TUM

,,moskwa"

W dokładnej transkrypcji. Tom ukazał się w 1921 r. Nakład Klubu Futurystów ,,Katarynka".

Bogdan CZAYKOWSKI



Londyn, październik 1958.

Szanowny Panie!

W numerze wrześniowym ,,Kultury" Józef Czapski pisze, że ,,chyba jeden tylko W. A. Zbyszewski neguje wielkość literatury rosyjskiej". *Trop d'honneur*. Mam pretensję do rozumienia zjawisk demograficznych, do zdawania sobie sprawy z potwornych skutków braku umiarkowania w płodzeniu dzieci. Natomiast nie mam żadnych tytułów do ferowania wyroków o literaturze rosyjskiej. Moje zdanie o niej jest doskonale obojętne.

Chciałbym jednak z tej okazji podzielić się z czytelnikami ,,Kultury" inną uwagą. Są dwa rodzaje ,,...filizmów". Pierwszy jest czysto polityczną doktryną, bez żadnego związku z podziwem i zainteresowaniem cywilizacją danego kraju. Ten ,,...filizm" jest płytki, przemijający, nietrwały, powierzchowny, a więc bez znaczenia. Stanisława Mackiewicza nazywano np. często germanofilem. Nic fałszywszego. Dla Mackiewicza literatura niemiecka nie istniała, obyczaj niemiecki nie istniał, język niemiecki był mu zupełnie obcy, nawet kuchnia niemiecka nie przedstawiała dla niego żadnych uroków. Natomiast prawdziwymi germanofilami byli moi dawni krakowscy profesorowie: Estreicher i Jaworski. Estreicher mi kiedyś mówił: ,,Co tu mówić o pięknie Krakowa? Rothenburg — to dopiero piękne miasto!" Jaworski mi się kiedyś zwierzył swym chrapliwym głosem: ,,No, tak. Francuzi są bardzo efektowni, ale, wie Pan, prawdziwa nauka to istnieje tylko w Niemczech..."

Józef Czapski, podobnie jak Stanisław Mackiewicz, należy do ludzi zafascynowanych kulturą rosyjską. Obaj przy każdej okazji wyjadą z cytatami z Tiutczewa, Niekrasowa, Dostojewskiego, Błoka, Miereżkowskiego w chwilach bardziej frywolnych z tłustym „russkim aniekdotikom". Żaden z nich nigdy nie był i nie jest politycznym rusofilem. Ta dwoistość wywołuje u obu — takie przynajmniej odnoszę wrażenie — jakieś wewnętrzne rozdarcie, jakiś konflikt, który ich obu strasznie męczy, z którym wszakże nie umieją sobie dać rady. Uważam i Czapskiego i Mackiewicza, skutkiem tego, za głęboko nieszczęśliwych ludzi, i szczerze im współczuję, ale wiem, że pod tym względem nikt im pomóc nie może. Nie rozwiążą oni nigdy dylematu rozkoszowania się kulturą a zwłaszcza literaturą rosyjską, uwielbieniem, bałwochwalstwem dla niej, a repulsją, którą w nich wywołuje, wywoływać musi widok barbarii tego narodu, świadomość, że w polityce, w moralności publicznej i międzynarodowej, państwo rosyjskie prawie zawsze w przeszłości, a stale od lat czterdziestu, reprezentuje absolutne ZŁO.

Ja natomiast należę — w przeciwieństwie do Czapskiego i Mackiewicza — do tej licznej bardzo na świecie grupy „zapadników", dla których wszystko co jest wschodnie jest doskonale obojętne, bo właściwie nie istnieje. Odrzucam wszystko co wschodnie z góry, nie pragnąc ani poznać, ani zrozumieć. Nie jestem np. ani pro-, ani antyukraiński: po prostu Ukraińcy, Białorusini, Rosjanie, Chińczycy, Japończycy mogą dla mnie nie istnieć. Są mi niepotrzebni, nieciekawi, idealnie obcy. Podobne stanowisko jest również typowe dla wielu innych „okcydentalistów" że wymienię wśród nich przykładowo Franciszka Józefa i Adenauera.

Oczywiście stanowisko takie grzeszy pewną oschłością intelektualną, stanowi pewne zubożenie umysłowe. Zgoda. Ale daje wewnętrzny spokój. Cieszyłbym się gdybym Paryżaninowi-Czapskiemu mógł trochę tej obojętności pożyczyć, tak by ten jego „niepokój" literacki, i intelektualny ukoić. Ale wiem, że to niemożliwe. Na chorych na bakcyl rosyjskiej literatury, rosyjskiej poezji, rosyjskiego języka — obawiam się, że nie ma lekarstwa.

W. A. ZBYSZEWSKI

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Cena ogłoszeń: *cała strona* 20.000 frs., 1/2 *strony* 10.000 frs.
(*w tekście* + 50%; *okładka* + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 4e *trimestre* 1958.

Zapowiedzi wydawnicze

BIBLIOTEKA "KULTURY"

JAMES BURNHAM

REWOLUCJA MANADŻERSKA

w tłumaczeniu Jerzego Horzelskiego i ze wstępem autora do czytelnika polskiego



JAN KOWALIK

KULTURA

Bibliograficzna analiza 10 lat, 1947-1957



TADEUSZ KATELBACH

ROK ZŁYCH WRÓŻB (1943)



PAWEŁ ZAREMBA

HISTORIA POLSKI

(*DO ROKU* 1957)

KULTURA

REDAKTOR : **JERZY GIEDROYC**
Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.
Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	22,50 peso	135 peso	270 peso
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmuja : **Julia Barcinska,** r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia Kietlinska,** Av. Batel 1514, Curitiba Parana; **Hanna Lekszycka,** Av. Dr. Arnaldo 1513, Sao Paulo		4 dol. am.	6 dol. am
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Krolikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
FRANCJA : « Libella », 12, r. St-Louis-en-l'Ile, Paris-4	220 fr.	1.100 fr.	2.200 fr.
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5, Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o **Polish Voice,** 1089 Queen St. W, Toronto Ont.; **K. Krakowska,** 3445 Marlowe Av., N.D. de G., Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; **H.R. Radomski,** 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tél. : HY-0829; **Vatra Trade,** 277 Selkirk Av., Winnipeg 4, Man.; **« Zwiazkowiec »,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25 fr. s.
SZWECJA : Red. Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A. : W. Bienkowski, « Gryf Publ. », 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **S. Dobczynski, Alma Shipping Co,** 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; **L. Dudarew Ossetynski,** 127-97th Str., Brooklyn, N.Y.; **S. Dziarczykowski,** 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, California; **M.K. Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; **T. Konopacki,** 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; **V.B. Kwast,** 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; **A. Pleszczynski,** 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; **Polish Amer. Book Co,** 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; **The Polish Book Importing Co, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; **E. Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; **Praca,** 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; **K. Trojanowski** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
WLOCHY : Aleksander J. Mikucki, Viale Parioli 124, int 12, Roma. Tél. : 87-10-27	300 lires	1.750 lires	3.000 lire

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 30 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
C.C.P. PARIS 7585-94

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe).

Cena 220 frs.